



ROBERT SAMBORSKI
**SAKRAMENT
OBŁUDY**
WSPOMNIENIA
Z SEMINARIUM

NIE-FIKCJA

ROBERT SAMBORSKI
**SAKRAMENT
OBŁUDY**
WSPOMNIENIA
Z SEMINARIUM



Przedmowa

Artur Nowak

Co ma w głowie ktoś, kto w wieku dziewiętnastu lat decyduje się na życie w celibacie, zrywa relacje z bliskimi, a potem jeszcze przez sześć lat, pełnych rozmaitych wyrzeczeń, żyje w koszarach seminarium? Odpowiedź jest złożona: to bardzo często szlachetne pobudki, młodzieńczy żar wiary, że dane mu będzie zmienić świat, naiwne przeświadczenie, że sam Bóg powołuje młodego człowieka do stanu duchownego. Bywa i tak, że ten radykalny pomysł na życie wynika z chęci spełnienia marzeń bliskich, których kapłaństwo syna czy wnuka napawa dumą, albo ambicji proboszcza, od którego biskup wymaga, by kierowana przez niego parafia dała Kościołowi powołania. Tacy podobno przychodzą do seminarium z mentalnością czterdziestoletniego proboszcza, można ich poznać po brzuchu, saszetce i postarzającym kaszkiecie na głowie. Zdarza się wreszcie, że motywacją do kapłaństwa jest „ucieczka od wolności” do uporządkowanego świata zakazów i nakazów, którym wystarczy się bezrefleksyjnie poddać, by znaleźć bezpieczeństwo.

Kościół wieki temu opanował do perfekcji zgrabne racjonalizacje masochistycznych mąk łamania jednostki, które zowie cnotą: cierpcie, bo to miłe Bogu, bądźcie posłuszni przełożonym, hartując pokorę, nie oceniacie, bo to pyszne, nie wątpcie, ale miejcie ufność w Panu. Brzmi to naiwnie i nielogicznie, ale „w tym szaleństwie jest metoda”. Chodzi bowiem o ujarzmienie jednostki tak, by dobrze się sprawdziła w sklepie z obietnicami cudów i zbawienia oraz sprzedała jak najwięcej koncesjonowanego przez Kościół towaru.

Po setkach rozmów z duchownymi doszedłem do wniosku, że adepci seminarium to bardzo często ludzie, którzy uciekli przed światem, których na starcie przeraziły emocje i wizja tego, że człowiek sam powinien rozwiązywać

swoje problemy. Duzi infantylni chłopcy, często zakompleksieni, których ubrano w złote kiecki z falbankami i dopuszczono do czytania świętej księgi albo włączono do grona klakierów w pałacu biskupim. Władza moralnego osądu drugiego człowieka i widok tłumu, który klęczy przed ołtarzem, oszołomiły ich. Trudno się dziwić ich wierze w to, że rzeczywiście są wybrani. Trudno się też dziwić, że przypisują sobie nadludzkie cechy. Jak mawiał mój ulubiony filozof katolicki Lord Acton: „Każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie”.

Kościół w Polsce od wieków grał kombatancką kartą, skupiał prostych ludzi wokół wyimaginowanych wrogów i lęku przed otwarciem się na świat. Zaczadzał przy tym umysły wiernych rzekomym wybraństwem narodu polskiego, z którego – jak wieszczyla św. Faustyna – „wyjdzie iskra”. Na szczęście dziś ten kolos na glinianych nogach się wali, a chodzenie po mieście w sutannie może się stać ryzykowną prowokacją. Polska młodzież przoduje w odchodzeniu z Kościoła i nie przekaze już „depozytu wiary” następnemu pokoleniu w trosce o jego bezpieczeństwo. Budzimy się.

Chyba każdy, kto ze zrozumieniem przeczytał Ewangelie, nie ma złudzeń, że Bogu niepotrzebne są te wszystkie bazyliki, katedry, plebanie i kurie. Służą nie ludziom, ale spasionemu establishmentowi hierarchii Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce. Te monstrualne budowle to w istocie targi, miejsca do zarabiania pieniędzy: za zbawienie siebie i zmarłych. Cała ta ściema o ewangelizacji, która de facto polega nie na wyjściu do ludzi, ale na ich spędzie w kościele, o dobroczynności, którą Kościół się chełpi, rozdając środki zabrane wcześniej z wdowiego grosza – to pretekst, by przyciągnąć ludzi do sklepu.

Znam wielu księży i zakonników, którzy skonfrontowali się z tym, jak naprawdę działa ta instytucja, zbyt późno. To często ludzie, którzy nie nabyli podstawowych umiejętności radzenia sobie w dorosłym życiu. Oprani, nakarmieni, nigdy o nic nie musieli zabiegać. Przyzwyczajeni do tego, że ludzie kłaniają im się w pas, wpychają do kieszeni kopertę, na kolanach wyznają grzechy – nie potrafią sobie nawet wyobrazić funkcjonowania poza Kościołem w świecie, w którym trzeba na siebie zarobić. Kilku z nich poznałem na

odwykach, więzili swoje emocje w alkoholu albo narkotykach. Inni mówili mi, że ich odejścia z kapłaństwa nie przeżyłaby mama, jeszcze inni, że poza byciem księdzem nic nie potrafią.

Trzon tej zdemoralizowanej instytucji, niejednokrotnie wyjętej spod świeckiego prawa, zawsze będą stanowić ludzie butni, chamscy, bez zasad. To typowe dla każdej organizacji totalnej, a Kościół Rzymskokatolicki nią jest.

Cieszę się, że Robert spisał swoją historię, a jeszcze bardziej z tego, że stanął na nogi. Był czas, kiedy wydawało mu się, że rozwiązaniem w przepętnionej bólem codzienności jest już tylko śmierć. Ocaliła go natura, jej siła, której jesteśmy częścią, ucząca nas współczucia i wdzięczności. Wystarczy żyć w zgodzie z samym sobą i nie krzywdzić innych.

Mam nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy ta zdeprawowana instytucja poniesie odpowiedzialność za przymuszanie kobiet do trwania w przemocowych związkach, wmawianie młodym ludziom nienawiści do własnego ciała, wdrukowywanie od dziecka poczucia winy, stygmatyzowanie orientacji seksualnej, okradanie ludzi i gwałty na dzieciach dokonane przez księży.



Banner zachęcający studentów do udziału w mszy przy ulicy Witelona.

Czego oni ich uczą w tych seminariach?

Film braci Sekielskich Tylko nie mów nikomu był wielkim wstrząsem dla polskiego społeczeństwa. Pan Tomasz Raczek, wybitny krytyk filmowy, w trakcie swojej wideorecenzji dokumentu nie krył emocji. „Czego oni ich uczą w tych seminariach?” – pytał dramatycznym tonem.

Czego oni ich uczą w tych seminariach? Nie tylko pan Tomasz zadawał sobie to pytanie. Zadawała je sobie cała Polska. Ludzie świeccy, katolicy, nie mogli pojąć, jak to się dzieje, że sześć lat studiów, modlitwy, codziennej mszy, spowiedzi i kościelnego nadzoru nie wystarczy, żeby wyeliminować z grona kandydatów zbrodniców, którzy potem przez wiele lat, korzystając z zaufania wiernych, krzywdzą dzieci i młodzież w tak ohydny i podły sposób.

Do seminarium w Legnicy wstąpiłem w 2003 roku. To były nieco inne czasy niż dzisiaj: do kapłaństwa przygotowywało się wówczas ponad stu dwudziestu kleryków, siedemnaście lat później ta liczba spadła do dwudziestu trzech. Pewne rzeczy się jednak nie zmieniają. Nie ma tutaj znaczenia większa czy mniejsza liczba kandydatów. Seminarium jest instytucją stworzoną według żelaznego wzorca, który dane mi było poznać od początku do końca.

Jak wielu przede mną, zostałem z seminarium usunięty wbrew woli. W odróżnieniu od wszystkich kleryków usunięto mnie jednak nie na drugim, trzecim czy czwartym roku. Rektor kazał mi się wynosić na miesiąc przed wieńczącymi naukę święceniami prezbiteratu.

Zdążyłem więc przeżyć całość seminaryjnej formacji, widziałem na własne oczy, jak ta instytucja działa. Mogę więc – i czuję się w obowiązku – odpowiedzieć na pytanie: „Czego oni ich uczą w tych seminariach?”.

Ludzie, zwłaszcza wierni katolicy, mają prawo znać tę odpowiedź. Mają prawo wiedzieć, jak powstaje ksiądz, czyli ktoś, komu później ufają, powierzają swoje

najskrytsze rozterki, kto mniej lub bardziej, ale zawsze w sposób znaczący, odciska się na ich życiu i wierze, bo im poważniej swoją wiarę traktują, tym mniej mają możliwości pominięcia księdza w swojej relacji z Bogiem.

Wierni nie mogą jednak szukać odpowiedzi na to pytanie w Kościele, gdyż duchowni zazdrośnie strzegą tajemnicy tego, jak formacja seminaryjna naprawdę wygląda. Pamiętam, że zanim wstąpiłem do seminarium, pytałem różnych księży, w tym tych, do których miałem głębokie zaufanie: „Czego mam się spodziewać? Co mnie czeka? Na co mam się przygotować?”.

Nigdy nie uzyskałem nic poza ogólnikowymi, zdawkowymi odpowiedziami, które w żaden sposób nie dały mi wyobrażenia o tym, na co się decyduję. Jeden z zapytanych przeze mnie księży powiedział:

– Wyrzucają czasami. Ot tak, za nic. Mówią, żebyś sobie szedł, i tyle.

Myślałem, że żartuje. Śmiał się zresztą, mówiąc te słowa. Logicznie rzecz biorąc, co jak co, ale tak poważna instytucja jak seminarium duchowne nie może wyrzucać za nic. Musi być jakiś powód. Dopiero w seminarium zobaczyłem, że prawa logiki tam nie obowiązują, a cały zdrowy rozsądek trzeba zostawić przed drzwiami.

Czego oni ich uczą w tych seminariach?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Trudno ją uzyskać, bo ci, którzy wiedzą, albo się boją, albo nie chcą mówić, albo wiąże się to dla nich z bólem wspomnień, którego nie są w stanie znieść. Odpowiedź nie jest też łatwa do przyjęcia, gdyż biegunowo odbiega od wizji Kościoła, jaką on sam lansuje. Boleśnie uderza nierzadko w samą istotę wiary, a przynajmniej stawia tej wierze wiele trudnych pytań.

Trzeba więc wiele odwagi – i żeby chcieć poznać odpowiedź na to pytanie, i żeby jej udzielić.

Nie ukrywam, że droga, którą przebyłem w seminarium, była też – w dużej mierze – moją drogą do ateizmu. Przestałem wierzyć w Boga i niejednokrotnie, siłą rzeczy, będę się do tego odwoływał. Nie zamierzam jednak niejako przy okazji

nikogo do swoich poglądów przekonywać. Chcę jedynie udokumentować to, co sam zaobserwowałem. Jeśli więc gdzieś będę przedstawiał swój subiektywny światopogląd na sprawy religijne, to tylko po to, żeby – także wierzącym – zilustrować, z jak wielkimi problemami musi się mierzyć każdy seminarzysta. I jak wielkim problemem – także z punktu widzenia wiary – jest instytucja Wyższego Seminarium Duchownego.



Katedra pw. św. Apostołów Piotra i Pawła.

Kto idzie do seminarium

Jedno z najczęstszych pytań, jakie zadają sobie ludzie na temat seminarium, brzmi: „Dlaczego oni w ogóle tam idą?”. Co sprawia, że chłopak po maturze pozwala się zamknąć w takim miejscu? Myślę, że odpowiedź na to pytanie można odnaleźć, przyglądając się ludziom, którzy wstępują do seminarium: temu, kim są i co ich odróżnia od rówieśników.

Pamiętam, jak dwa lata przed moim wstąpieniem do seminarium podczas rekolekcji oazowych, na których było też i kilku kleryków, starszy ode mnie o rok kolega usilnie radził mi, żebym zaczekał z realizacją swojej decyzji. Powiedział:

– Ty masz siedemnaście lat, a zachowujesz się, jakbyś miał piętnaście. Ja mam osiemnaście lat, a zachowuję się, jakbym miał czternaście, ale przecież ja nie idę do seminarium. A popatrz na nich – wskazał kleryków – jacy oni są dojrzałi.

Myślę, że utrafił w sedno, choć niezupełnie. Niezupełnie, dlatego że źle skalibrował punkt odniesienia. Otóż to nie my byliśmy niedojrzali jak na nasz wiek, to oni, klerycy, byli jak na swój wiek... No właśnie. Słowo: „dojrzałi” będzie w tym kontekście mylące. Po wstąpieniu do seminarium zobaczyłem bowiem, że ludzi tam przebywających można spokojnie nazwać bardzo niedojrzałymi pod względem psychicznym, co więcej, przełożeni robią wszystko, żeby ich w tej niedojrzałości utrzymać. Tu chodzi o coś innego.

Kiedy zobaczyłem skład mojego rocznika, byłem pewien, że co najmniej dwie trzecie kleryków jest już po jakichś innych studiach, ale okazało się, że się myliłem. Wszyscy z jednym wyjątkiem byli dziewiętnastolatkami po maturze. Chociaż wyglądali jak panowie po czterdziestce.

Bardzo wielu młodych ludzi, którzy idą do seminarium, jest zwyczajnie brzydkich, z wadami lub dziwactwami fizjonomii. Ludzie, widząc kleryków czy księży, często wołają: „Taki ładny chłopak, a poszedł do seminarium!” – nie mają

jednak racji. Ten „ładny chłopak”, kiedy wstępował do seminarium, najczęściej taki ładny nie był. To seminarium nauczyło tych ludzi dbać (czasami wręcz przesadnie) o swój wygląd: w końcu reprezentują Kościół i Kościołowi na ich wyglądzie zależy. A taka jest właściwość brzydali, że jak się ich ładnie uczesze, wyperfumuje i najlepiej ubierze w jakiś mundur albo sutannę, zaczynają wyglądać na przystojnych, tylko trochę starszych.

Między bajki można włożyć romantyczne historie o nieszczęśliwie zakochanych, którzy utraciwszy miłość swojego życia, poszli na księdza. Do żalosnych bajęd należy zaliczyć opowieści proboszcza z serialu Plebania. Najczęściej do seminarium wступują tacy, których żadna dziewczyna nie chciała.

Idą więc do seminarium brzydale, którzy w liceum wyglądają jak ojcowie wielodzietnych rodzin po przejściach, osobnicy z paskudnym charakterem, z najprzeróżniejszymi odstręczającymi dziwactwami, z niską inteligencją i bez talentów. Dopiero seminarium wykonuje ogromną i w rezultacie godną podziwu pracę i przerabia tych ludzi na przystojnych, poważnie wyglądających panów, odznaczających się wytwornymi obyczajami, błyszczących wiedzą i mądrością.

I dlatego też, gdy się bliżej przyjrzeć, te wszystkie cechy księży okazują się bardzo, ale to bardzo powierzchowne.

Potwierdza tę moją obserwację i to, że bardzo mało w seminarium znajdziemy przedstawicieli młodzieży zaangażowanej religijnie: oazowiczów, członków Odnowy w Duchu Świętym czy choćby Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Znaczna część kleryków z mojego rocznika nie była nawet ministrantami. Bardzo wielu miało poważne braki w podstawowej wiedzy o Kościele czy samej religii chrześcijańskiej.

Był ze mną na roku seminarzysta, który nie wiedział, że czarny, długi strój księdza nazywa się sutanną. Mało tego, po dwóch latach w seminarium, kiedy grupą pojechaliśmy do krawca w Częstochowie sprawić sobie rzeczony strój, kolega ten nie złożył zamówienia na sutannę, ale na sukmanę.

Wiem, że ludzie wyobrażają sobie, że jeśli ktoś idzie do seminarium, to z pewnością od najmłodszych lat wyróżniał się pobożnością, religijnością itd. Nic podobnego. Owszem, nieznaczna większość była jakoś zaangażowana w praktyki religijne, nie można jednak powiedzieć, żeby było to coś nadzwyczajnego. Co najwyżej byli ministrantami, co najwyżej raz na jakiś czas uczęszczali do kościoła. W całym seminarium (a liczyło ono na moim pierwszym roku jakieś sto dwadzieścia osób!) była garstka kleryków, którzy wcześniej mieli kontakt z Ruchem Światło-Życie (tzw. oazą), nie było natomiast, o ile wiem, nikogo z Odnowy w Duchu Świętym.

WSTĄP DO
SEMINARIUM

**WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE
W LEGNICY**

UL. JANA PAWŁA II nr 1

☎ 76/ 724 41 25

✉ WSDLEGNICKA

Dlatego twierdzę, że w przytłaczającej większości do seminarium nie wstępują wyjątkowo pobożni ani zaangażowani religijnie ludzie. Powody ich decyzji są bardziej prozaiczne: a to chęć bycia „kimś”, gdy nie ma się predyspozycji do tego, by stać się tym „kimś” w jakiejś normalnej dziedzinie, a to wadliwy charakter, a to podstarzała fizjonomia.

Jest wszakże jeszcze jedna, szczególna grupa ludzi, z której większość kleryków się rekrutuje. Chodzi tu o tych, których do seminarium popchnęło środowisko.

Są to na przykład ludzie z biednych rodzin, którzy z tego powodu byli przez rówieśników w szkole źle traktowani, a dzieci potrafią być wyjątkowo okrutne.

Mógłbym tutaj pół żartem, pół serio powiedzieć: drodzy rodzice, jeśli przyjdzie wasz syn i powie, że chce być księdzem, zastanówcie się, czy nie kupić mu lepszych butów albo markowej kurtki.

Bywa też tak, że ktoś w pierwszej klasie (liceum, gimnazjum) pod naciskiem rodziców wyjątkowo dobrze się uczył i koledzy przykleili mu łatkę kujona na tyle skutecznie, że sam w to uwierzył. Bywa tak, że ktoś był chorowity lub kilka razy musiał zmieniać szkołę, bo rodzice się przeprowadzali lub rozwodzili, bywa tak, że ktoś przeżył w dzieciństwie jakieś bolesne doświadczenia. Tak czy inaczej, wszystko sprowadza się do jednego: do alienacji w grupie.

Niech teraz do takiego odrzuconego przez środowisko rówieśnicze podejdzie charyzmatyczny, błyskotliwy ksiądz, a często tak jest, bynajmniej nie dlatego (choć i tak się zdarza), że ten ksiądz odczuwa pociąg do młodych chłopców. Wystarczy, że pójdzie za zwyczajnym ludzkim odruchem dowartościowania słabszego. Jeżeli jeszcze doleje trochę religijnej pociechy płynącej z nieba, może sprawić, że taki wyobcowany ze środowiska młody człowiek skusi się na wizję bycia wreszcie „lepszym”, wreszcie w grupie, a nawet nieco powyżej.

Czy to znaczy, że wstępujący do seminarium nie mają ideałów? Wręcz przeciwnie, niektórzy mają ich aż w nadmiarze. Często jest to zasługa księdza,

który zainspirował ich do wstąpienia na drogę ku kapłaństwu. Nikt nie chce być nikczemny, cyniczny, wyrachowany. To wszystko, co opisałem powyżej, najczęściej odbywa się w podświadomej części ludzkiej psychiki. W tej świadomej umysł zgodnie z logiką wiary racjonalizuje to jako powołanie – wezwanie z nieba, żeby iść i... No właśnie: i co dalej? Różne wyobrażenia mają ludzie na temat posługi księdza. Niektórym adeptom drogi ku kapłaństwu jawi się wzór ulepiony naraz z Jana Marii Vianneya, Franciszka z Asyżu i Jana Pawła II: nieskazitelny pocieszyciel strapionych, nawracający grzeszników na dobrą i szczęśliwą drogę ku zbawieniu, tchnący mądrością autorytet wiary i moralności. Jedni mają tych ideałów więcej, inni mniej. Jedni są w nie zapatrzeni, inni zaś przeczuwają, że droga księdza polega bardziej na byciu sprytnym jak węź niż nieskazitelnym jak gołąb.

Dlaczego poszedłem do seminarium

Pochodziłem z domu, w którym religia była, a i owszem, obecna, ale wcale nie stanowiła jakiegoś szczególnie ważnego elementu życia. Przeciwnie, nigdy nie było wspólnej modlitwy rodzinnej, przez większość dzieciństwa nie chodziłem nawet do kościoła.

Jednak czas mojej podstawówki przypada na lata 90., kiedy to w Polsce bardzo szybko narastały nierówności społeczne. Obok ludzi, którzy nagle zaczęli mieć trudności z tym, by związać koniec z końcem, pojawiły się mniejsze lub większe fortuny i od razu odbiło się to na uczęszczających do szkoły dzieciach. Co bogatsi rodzice wychodzili ze skóry, żeby właśnie na przykładzie swoich pociech pokazać, jak to się dorobili, do czego to doszli. Odbiło się to też na psychice dzieci, bo bardzo szybko podzieliły się one na te lepsze i te gorsze.

Bardzo szybko też dzieci, które nie mogły się pochwalić na przykład lepszym ubraniem, stały się obiektem okrutnych szykan ze strony tych bogatszych. Doszło do tego, że naprawdę każdego dnia bałem się iść do szkoły. Bałem się gangsterskich zapędów kolegów z klasy, ale bałem się jednocześnie nauki i nauczycieli, bo jedynym, co gwarantowało mi względną nietykalność, były moje oceny. Dopóki miałem dobre stopnie, mogłem podpowiadaniem i „daniem odpisać” wykupywać się od prześladowań ze strony bogatszych. O wiele gorzej mieli ci, którzy byli biedni i jednocześnie nie na tyle zdolni.

To wszystko wpędziło mnie w pobożność. Nie miałem nikogo, kto mógłby mi pomóc, bo nawet nie rozumiałem dobrze tego, co się dzieje. Sami dorośli tego nie rozumieli. Nie widzieli, że im lepsza jest sytuacja materialna w jednych domach, tym bardziej rośnie buta i agresja tych bogatszych dzieci wobec biedniejszych. Nie rozumieli powodu tych zjawisk ani mechanizmu kryjącego się za coraz większą przemocą w szkole, przemocą, która w tamtym czasie była zupełną nowością.

Skoro dorośli tego nie rozumieli, jak ja miałem to rozumieć? Jediną instancją odwoławczą wobec okrucieństwa szkolnej rzeczywistości wydawał się Bóg.

Gdzie pojawia się pobożność połączona z pewnym wyalienowaniem ze środowiska rówieśniczego, zawsze kielkuje też myśl o oddzieleniu się od świata i oddaniu się Bogu.

Nie jest to oczywiście czynnik decydujący, to tylko asumpt, pierwszy pomysł, zwiastun tego, co ludzie zwykli nazywać w takim wypadku powołaniem.

Dla mnie też nie byłby to czynnik decydujący. Miałbym jeszcze szansę ocaleć przed tym, co miało nadejść. Moja klasa w liceum składała się z ludzi wielkiego formatu: inteligentnych, niezależnych i w wielu wypadkach niewierzących albo przynajmniej sceptycznych wobec Kościoła hierarchicznego. Niestety, zanim poszedłem do liceum, w ostatniej klasie podstawówki lekcje religii objął nowy ksiądz z pobliskiej parafii, ks. Paweł O.

Był to świeżo wyświęcony i bardzo charyzmatyczny człowiek. Całym sobą był też oddany Ruchowi Światło–Życie, szerzej znanemu jako oaza. On też założył komórkę tego ruchu w parafii i natychmiast zaczął werbować co pobożniejszych uczniów.

Oaza to wewnątrzkościelny ruch odnowy, mający ogromne zasługi w Polsce w kwestii wprowadzania i krzewienia nowej wizji Kościoła, lansowanej po Soborze Watykańskim II. Niestety, ruch ten od początku miał pewne nieusuwalne wady, jedne z tych, które nieodłącznie związane są z zaletami. W ruchu dużo jest retoryki opartej na biblijnym pojęciu tzw. wojska Gedeona. Tym pojęciem często posługiwał się założyciel ks. Franciszek Blachnicki. Nawiązując do biblijnej opowieści o izraelskim przywódcy Gedeonie, który stwierdził, że nie całe wojsko jest godne walczyć z wrogami, i na Boże polecenie wybrał do bitwy tylko garstkę nielicznych, następnie odnoszących wielkie zwycięstwo, założyciel ruchu chciał zbudować pewnego rodzaju elitę wiernych, którzy będą swoim zaangażowaniem przemieniać Kościół i promieniować na pozostałych wierzących.

Gdzie jednak pojawia się elitarność, tam od razu powstaje też groźba pewnego zadufania połączonego z pogardą wobec tzw. letnich chrześcijan, tych niezaangażowanych. Zaraz za nią nadciąga kolejne niebezpieczeństwo oderwania od rzeczywistości i tworzenia własnej, innej od zwyczajnej. A potem pojawia się syndrom obłądzonej twierdzy.

Po śmierci założyciela niestety sporo z tych niebezpieczeństw w ruchu oazowym się zadomowiło. I do takiej oazy ściągnął mnie nowy katecheta. Piszę „ściągnął”, gdyż ja za bardzo nie chciałem tam iść. Czułem gdzieś w sobie, że jest to wielkie niebezpieczeństwo. Jaka szkoda, że nie posłuchałem tej wewnętrznej wilczej intuicji!

Niestety katecheta nie ustawał w wysiłkach. Nie przyszedłem na jedno, drugie spotkanie, a on wciąż nalegał. Był w stosunku do mnie bardzo opiekuńczy i przyjazny. Nic dziwnego, że ja, głupi czternastolatek, uległem.

A gdy już wszedłem w Ruch Światło–Życie, natychmiast zadziałała na mnie cała mroczna magia takich organizacji. A więc pojawiło się poczucie elitarnego przynależności do grupy „lepszyc”, bezcenne dla kogoś takiego jak ja, stojącego poza nawiasem gangsterskiej elity szkolnych bogatych osiłków. Ruch Światło–Życie ma w swojej ofercie dla młodego człowieka coś, co można by nazwać swego rodzaju atrakcyjną ścieżką kariery. Roczna formacja na cotygodniowych spotkaniach kończy się dwutygodniowymi rekolekcjami, z których każde są przejściem do kolejnego stopnia wtajemniczenia. Już po rekolekcjach drugiego stopnia taki młody człowiek może zostać tzw. animatorem, czyli w praktyce guru własnej grupy młodszych, niższych stopniem oazowiczów. Guru ten pozostaje oczywiście pod komendą księdza moderatora danej parafialnej czy rekolekcyjnej komórki oazy, ale to w niczym mu nie umniejsza, a nawet niweluje niedostatki osobistych umiejętności i charyzmy, bo może taki niedojrzały a ambitny mały dyktatorek oprzeć swój autorytet na najwyższym w danej komórce oazy autorytecie księdza.

Nic dziwnego, że zaangażowałem się w ruch oazowy. Po pierwszym roku formacji nasz parafialny ksiądz moderator z jakichś powodów nie mógł

zorganizować rekolekcji rekapitulujących pierwszy stopień, więc chętnych wysłał do swojego znajomego, księdza Piotra S.

To był kapłan zupełnie inny niż ks. Paweł. O ile ten drugi opierał swoją charyzmę na spontaniczności, przyjaznym i pełnym dobroci podejściu do młodych ludzi, ks. Piotr prezentował się niczym kontrreformacyjny kaznodzieja. Na rekolekcjach wygłaszał bardzo, ale to bardzo długie i surowe kazania, besztające i w proch ścierające sumienia słuchaczy. Bez przerwy wyrzucał nam egoizm, pychę, letniość w podejściu do wiary. Nieustannie mówił o tym, że chrześcijaństwo jest radykalne i musi takie być. Potrafił jednak te swoje tyrady ułożyć tak, że nie poniżały one słuchaczy. Przeciwnie, stawiały ich w pozycji mających, a i owszem, poważne niedostatki początkujących, ale za to stojących w obliczu wielkich wewnętrznych wyzwań, wezwanych do bycia radykalnie lepszymi niż cała reszta. Był jak surowy sierżant elitarnego oddziału komandosów, który krzyczy, bije i wymaga, ale robi to, bo skończyły się przelewki, to nie żłobek, tylko bitwa na śmierć i życie między siłami Boga i Szatana, wojna, w której nie ma miejsca na mazganie się, tylko na krwawą i bezwzględną walkę.

Ponieważ jako jeden z nielicznych w parafialnej grupie zaliczyłem pierwszy stopień, rok później, po stopniu drugim, zostałem animatorem. I byłem najgorszym animatorem na świecie, gdyż moim wzorem i mistrzem był właśnie ten surowy sierżant, ks. Piotr. Zdarzało mi się doprowadzać młodszych oazowiczów do płaczu i jeszcze się tym okropieństwem szczycić.

Stałem się dzięki oazie najokropniejszą kreaturą, jaką takie ruchy wydają: fanatycznym, bezmózgim wykonawcą esesmańskich metod, ślepo wpatrzonym w ideał radykalnego chrześcijaństwa, postawionego wobec konieczności walki.

Jednak prawdziwą katastrofą dla mnie okazało się to, że oaza skutecznie zasłoniła mnie przed przynależnością do mojej klasy z liceum, klasy ludzi bardzo inteligentnych, czytanych, o otwartych umysłach i horyzontach. Gdyby nie oaza, uratowaliby mnie przed seminarium. Niestety oaza skutecznie wytłumaczyła mi, że moje koleżanki i moi koledzy z klasy to idący na zatracenie ateści,

wolnomyśliciele tkwiący w szponach złego świata, Szatana, moralni degeneraci, którym należy współczuć i których trzeba bezwzględnie nawracać.

Kto wie, gdyby na tym sprawa się zakończyła, pewnie poszedłbym do seminarium jako bezmózgi fanatyk i takim bym pozostał, a to bardzo by się spodobało Kościołowi. Kto wie, może dzisiaj zamiast pisać tę książkę, byłbym wysoko postawionym w hierarchii podobnych kreatur, gdyby nie jeden drobny zbieg okoliczności, który odegrał doniosłą rolę w mojej dalszej historii.

Nigdy z wyżej opisanych powodów nie integrowałem się ze swoją klasą z liceum. Ale na jedną, jedyną imprezę z nią pójść musiałem. Mowa oczywiście o studniówce.

I tam, jak za machnięciem kity kojota – trickstera z indiańskich legend, zachwiał się mój fanatyzm. Bo zobaczyłem nagle, że ludzie, którymi tak pogardzałem, wcale nie są źli. Że coś w tej oazowej retoryce się nie klei. Ba, mało, że oni nie są źli. Zobaczyłem ich inteligencję, klasę, zadziwiło mnie to, że przez cztery lata chodziłem z tymi ludźmi na te same lekcje i nic o nich nie wiedziałem, a oto teraz dostrzegłem – niestety za późno! – że naprawdę miałem wielkie szczęście wśród nich być. I to szczęście zmarnowałem. Nie pierwsza to strata i – niestety! – nie ostatnia, którą w moim życiu spowodowała wiara .



Diakon na ambonie podczas mszy w katedrze pw. św. Apostołów Piotra i Pawła.

W tym samym czasie w Ruchu Światło-Życie zaszły daleko idące zmiany. Ustąpił dotychczasowy moderator diecezjalny ruchu, przyjaciel samego jego założyciela, zasłużony tak, że można by go bez przesady nazwać współzałożycielem całej organizacji, ks. dr Marek Adaszek. Na jego miejsce wybrano nie kogo innego jak ks. Piotra. I nagle zobaczyłem, jak ten człowiek, tak wyrzucający innym pychę i egoizm, sam bez przerwy wypowiada się, w jednym zdaniu co najmniej kilkukrotnie używając słowa „ja”, i jak teraz beszta i krytykuje samego współzałożyciela oazy. Nie mieściło mi się to w głowie.

Pamiętam taką scenę: gdzieś w styczniu miał miejsce zjazd księży związanych z oazą, którzy w ostatnie wakacje organizowali rekolekcje różnych stopni w danej diecezji. Na to spotkanie nowy moderator diecezjalny ks. Piotr zaprosił również co znaczniejszych „swoich” animatorów, w tej grupie i mnie. Na spotkaniu każdy

z moderatorów składał sprawozdanie ze swoich rekolekcji, dzielił się doświadczeniami i przemyśleniami.

Nestor ruchu oazowego, ks. dr Marek Adaszek, opowiedział wtedy o swoim eksperymencie. Ruch Światło–Życie od początków swojego istnienia miał sekcję młodzieżową i sekcję tzw. Oazy Rodzin, w której rekolekcjach uczestniczyły małżeństwa z małymi dziećmi. Dotychczas rekolekcje i w ogóle cała formacja tych sekcji odbywały się osobno. Ks. Adaszek próbował połączyć jedno z drugim, na jednych rekolekcjach gromadząc zarówno młodzież, jak i kilka małżeństw.

Pamiętam, jak swoim spokojnym głosem doświadczonego starca – przy czym starcem uczynił go nie tyle wiek, ile nowotwór, z którym od wielu lat się zmagał – opowiadał o tym, jak piękne owoce wydało takie eksperymentalne połączenie dwóch sekcji ruchu, jakich nadziei na przyszłość można by w tym upatrywać...

Dużo młodszy od niego ks. Piotr przerwał mu brutalnie i zarzucił – jemu, współzałożycielowi całego ruchu! – że „wypacza charyzmat” oazy, że takie eksperymenty są, a i owszem, ciekawe, ale zupełnie niepotrzebne, a nawet niebezpieczne.

Dodam, że ks. Marek Adaszek był również jednym z przełożonych w seminarium. Jedynym, którego zapamiętałam naprawdę dobrze. I jedynym tak pogardliwie traktowanym przez młodszych kolegów. Rektor wyśmiewał go w publicznych wystąpieniach przed klerykami, tłumacząc, że „ojciec Marek ma swoje lata” i w związku z tym „nie należy go brać poważnie”.

Te właśnie wydarzenia spowodowały, że radykalnie przeformowało się moje spojrzenie na Kościół, na chrześcijaństwo i – na moje nieszczęście! – na wizję tego, jakim księdzem chciałbym być.

Jest w Ewangeliach sporo fragmentów mówiących o łagodności, o dawaniu raczej przykładu niż rozkazów. Jest mowa o tym, że kto chce być pierwszy, powinien być sługą i najmniejszym spośród reszty. Na moje najwyższe nieszczęście – a może i szczęście? – poszedłem do seminarium z głębokim przekonaniem, że chrześcijaństwo naprawdę nie może polegać na tym, czego uczą

zadużani w sobie, gardzący ludźmi dyktatorzy, tacy, jakim sam niedawno byłem. Wydawało mi się wtedy, że Kościół polega na miłości, miłosierdziu i dobroci. Jakże bardzo się myliłem!

Takich jak ja wstępowało do seminarium wielu. Każdy ze swoją historią, mniej lub bardziej okaleczony przez wiarę, okaleczony w sferze psychicznej, społecznej i seksualnej (o tej ostatniej przyjdzie mi tutaj jeszcze wiele opowiedzieć). Każdy z nas miał różną historię, ale wbrew pozorom nie byliśmy różnorodni, nie byliśmy zgromadzeniem ludzi, w którym każdy jest inny, kocha swoją inność, szanuje ją i jest za nią szanowany. Przeciwnie, każdy z nas swoją inność ukrywał i był z tego dumny, a każdego, kto – tak jak ja – swojej inności nie umiał ukrywać odpowiednio skutecznie, czekał marny los.

Tacy to właśnie ludzie idą do seminarium: to zbieranina jak w wojsku czy w więzieniu, tylko według innych kryteriów dobrana. I przede wszystkim według innych zasad żyjąca już na samym wstępie, zanim się zebrała. Za takimi to ludźmi zamykają się czarne, ciężkie drzwi seminarium i tak wpadają oni pod absolutną, patriarchalną i nieznoszącą sprzeciwu władzę wąskiej grupy przełożonych.

Kim są przełożeni

I na to pytanie trudno odpowiedzieć. Obserwowałem znaczne wahania kryteriów, wedle których biskup diecezjalny powoływał tych czy innych księży na przełożonych w seminarium. Świat się zmienia i nawet biskupi to wiedzą. Na te zmiany próbują reagować, między innymi zmieniając skład kierownictwa seminarium.

Są jednak podstawy, które zmianom nie ulegają, podstawy teoretyczne obowiązujące w każdym seminarium duchownym, i nad nimi musimy się tu nieco dłużej zatrzymać.

Czytelnikowi nieobeznanemu ze skomplikowanym mikroklimatem seminarium należy się na wstępie wyjaśnienie, że seminarium duchowne to NIE studia teologiczne. Na studia teologiczne uczęszcza się W RAMACH pobytu w seminarium. Seminarium nie jest dla studiów teologicznych tym, czym dla każdego innych studiów jest akademik, bursa studencka czy internat. W życiu świeckim są to zupełnie osobne sprawy – najważniejsza i niezbędna jest sama nauka, a dom studencki pełni wobec tej rzeczywistości funkcję pomocniczą.



Przejście podziemne pod ulicą Muzealną, gdzie klerycy zdejmowali koloratki, idąc do centrum miasta.

Seminarium zaś to rodzaj koszar, surowego domu formowania umysłów, i to jego rola dominująca, a studia odbywają się tylko pokątnie, dodatkowo i wcale nie są najważniejsze. O wiele ważniejsza od nauki jest „formacja”, która odbywa się nie w określonych godzinach, jak wykłady, ale trwa cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Tak w ogóle przeraża mnie – i myślę, że każdego myślącego człowieka przerazić powinno – samo słowo „formacja”, we wszystkich odmianach stosowane w kontekście katolickich seminariów czy choćby wewnątrzkościelnych ruchów, takich jak Światło–Życie czy neokatechumenat. Formacja, czyli wbijanie w ustaloną formę. Formacja, czyli kształtowanie umysłów wbrew temu pięknu, ku któremu każdy wolny umysł sam dąży.

Najważniejsze dla Kościoła jest kształtowanie w seminarium umysłów i psychiki. Temu też służy rozdzielenie tzw. formacji intelektualnej, czyli nauki na

wykładach, od formacji duchowej i ludzkiej, za którą odpowiada seminarium.

Za naukę odpowiadają wykładowcy. Za formację – przełożeni.

Przełożeni w seminarium dzielą się na dwie kategorie: przełożonych zewnętrznych i wewnętrznych.

Przełożeni zewnętrzni odpowiadają za dyscyplinę i organizację życia w seminarium, a przełożeni wewnętrzni mają służyć jako spowiednicy i kierownicy duchowi kleryków. Dlatego też przełożeni zewnętrzni z założenia nie mogą kleryków spowiadać. Zasada ta obowiązuje w tym celu, żeby tajemnica spowiedzi nie wiązała przełożonych podczas obradowania nad dopuszczeniem kleryka do kolejnych posług czy święceń. I analogicznie przełożeni wewnętrzni nie mają (znów podkreślam: z założenia!) prawa głosu w sprawie dopuszczania kleryka do kolejnych stopni formacji, a wszystko, co ze spowiedzi i rozmów o klerykach wiedzą, ma pozostać między nimi. O tym, jak to w rzeczywistości wygląda, będziemy mieli jeszcze nieraz okazję się przekonać podczas czytania tej opowieści.

Przełożeni zewnętrzni to rektor, jeden lub więcej wicerektorów, dyrektor administracyjny i prefekci. Rektor jest najwyższą władzą w seminarium. W tym, do którego uczęszczałem, to rektor był wychowawcą ostatniego rocznika, czyli kleryków bezpośrednio przygotowujących się do święceń kapłańskich. Jednocześnie, co należy podkreślić, rektor nie jest jakąś władzą odwoławczą, kleryk nie może od decyzji niżej postawionego przełożonego odwołać się do rektora, bo źle się taka próba dla niego skończy. Wszelkie odwoływanie się jest uważane w seminarium i w ogóle w Kościele za próbę kwestionowania decyzji bezpośredniego przełożonego, a to niedopuszczalne.

To jest coś, co wbija się klerykom do głowy od pierwszej chwili, gdy wstąpią do seminarium: nie kwestionuje się, nie podważa żadnej decyzji przełożonego.

Czy więc przełożonym rocznika jest rektor, czy wicerektor, czy zwykły prefekt, ma on nad danym rocznikiem alumnów władzę totalną i bezdyskusyjną. Jeżeli nakaże klerykowi myć klozety – kleryk ma myć klozety. Jeżeli każe pilnować tych,

co myją klozety – ma pilnować tych, co myją klozety. Jeżeli każe szpiegować kolegę – ma szpiegować.

Posłuszeństwo wobec przełożonych jest czymś, o czym mówi się ciągle, nieustannie, przy każdej okazji, a nawet bez okazji. Przypomina się o tym w trakcie krótkich ogłoszeń podczas posiłków, na codziennym kazaniu, w rozważaniu różańcowym, na wykładach, przed egzaminami, po egzaminach, przy spowiedzi, mówi się o nim do Najświętszego Sakramentu podczas wystawienia.

I zawsze – zawsze! – jest to okraszone stwierdzeniem, że jeśli klerykowi choćby zaświta myśl o sprzeciwie wobec decyzji któregośkolwiek przełożonego, ba, nawet wobec decyzji delegowanego do pilnowania go na przykład podczas prac porządkowych starszego kleryka, to powinien się zastanowić, czy się nadaje na księdza.

Każdy rocznik ma swojego przełożonego wychowawcę – wicerektora lub któregoś z prefektów – i taki przełożony jest bezpośrednio za kleryków danego rocznika odpowiedzialny.

Za moich czasów dyrektor administracyjny seminarium nie opiekował się żadnym z roczników. Jego zadaniem była troska o materialną stronę funkcjonowania uczelni – zarządzał takimi sprawami, jak jedzenie, budżet, umeblowanie, remonty, pracownicy świeccy itp. Miał jednak swój znaczący wkład w życie kleryków, bo to on kierował pracami, które musieli wykonywać.

Do przełożonych zewnętrznych nie wolno się zwracać samym prostym „proszę księdza”. A już zupełnie niedopuszczalna jest forma: „księżę”. Kleryk, który chce klerykiem pozostać, musi zawsze, nawet w jednej wypowiedzi, nawet w jednym zdaniu, używać pełnej tytułatury: „proszę księdza rektora”, „proszę księdza prefekta” itd.

Przełożeni wewnętrzni zwani są w seminarium ojcami duchownymi i wymaga się od alumnów, żeby tak się do nich zwracali: „proszę ojca” (w żadnym wypadku: „ojcze”!). Są oni kierownikami duchowymi kleryków, a każdy rocznik ma takiego kierownika przydzielonego. Oczywiście kleryk może wybrać sobie innego

spowiednika niż wyznaczony dla jego roku ojciec duchowny, ale i tak będzie co jakiś czas proszony do rocznikowego przełożonego wewnętrznego, by zdawać mu relację ze swojego życia duchowego. Nazywa się ta praktyka „kierownictwem duchowym”. Klerycy od początku są do niej namawiani, tak jakby była ona dobrowolna, podczas gdy jest obowiązkowa. W zasadzie więc różnica między klerykiem, który obrał drogę „kierownictwa duchowego”, a tym, który tego nie chciał, polega na tym, że kleryk pierwszy umawia się na rozmowę z rocznikowym ojcem duchownym mniej więcej raz na tydzień, a ten drugi bywa wzywany nieco rzadziej.

Tak seminaryjne przełożenie wygląda w założeniach. Trzeba dodać, że przy różnych okazjach przełożonym dla kleryka może być też inny kleryk z racji przydzielonych mu funkcji. Szczególną kastą w seminarium byli na przykład kierownicy prac. Podlegali oni bezpośrednio dyrektorowi administracyjnemu, mieli pewne przywileje, na przykład mogli mieć telefony komórkowe, podczas gdy innym alumnom było to zabronione. To oni na każdym obiedzie wstępowali na mównicę i wyczytywali, którzy klerycy mają się stawić do pracy. A prace były różne: przy różnych okazjach alumni służyli jako pomocnicza darmowa siła robocza, na przykład przy rozładowywaniu ogromnych transportów żywności i wszelkich dóbr wpływających do magazynów diecezjalnego Caritasu.

Kiedyś zostaliśmy wezwani do akcji rozdzielania takich darów, co ciekawe, pochodzących w pełni z jakiejś inicjatywy pomocowej zorganizowanej przez Unię Europejską. Tym razem było to mnóstwo żywności: mąki, cukru, makaronów i konserw, opatrzonej specjalnymi banderolami z napisem, który brzmiał mniej więcej tak: „Produkt nieprzeznaczony do sprzedaży, wyprodukowany w ramach europejskiej akcji pomocy najbiedniejszym”.



Dom Biskupa Legnickiego.

Pod magazyn podjeżdżały furgonetki, półciężarówki czy nawet samochody osobowe z parafii, w których – rzeczywiście czy rzekomo – istniała parafialna komórka Caritasu. Według z góry ustalonego planu – tyle opakowań czy tyle palet tego czy tamtego tu i tu – rozdzielaliśmy całą zgromadzoną tam żywność. Jej część, i to lwia część!, została przeznaczona dla... seminarium i rezydencji biskupa. I tak biskupi, kurialiści i cała społeczność seminaryjna zajadała się „darami dla najbiedniejszych”.

Kiedy indziej alumni wykonywali kompletnie bezsensowne zajęcia, jak przesypywanie łopatami pryzmy piachu z jednego końca podwórza w drugi. Nie muszę chyba dodawać, że kierownicy prac często wykorzystywali swoją pozycję do upokarzania młodszych kolegów, zwłaszcza nielubianych.

Pamiętam, jak w czasie jednego z remontów nakazano trzem z nas przesypywać taką właśnie pryzmę piachu. Po mniej więcej dwóch godzinach tego zajęcia minął nas jeden z księży pracujących w kurii, późniejszy biskup Marek M. Zobaczywszy

nas, natychmiast podszedł i swoim nieco zachrypniętym, cienkim głosem obwieścił, że to, co robimy (a robiliśmy z polecenia innego przełożonego!), jest bez sensu, i dodał:

– Jak panowie chcecie zrobić coś dobrego (tak jakbyśmy byli tam na ochotnika!), to macie tutaj te wielkie głazy, przenieście je bliżej drogi.

No więc zaczęliśmy przenosić kamienie, bez choćby pozorów zachowywania przepisów BHP, bez rękawic, bez jakichkolwiek narzędzi. Głazy ważyły – dziś umiem to na oko ocenić – mniej więcej po dwieście, dwieście pięćdziesiąt kilogramów. We trzech dało się je więc przenieść, ale nie było to ani łatwe, ani bezpieczne.

Po kolejnej godzinie tego bezsensownego zajęcia zauważył nas przełożony, który pierwotnie wyznaczył nam pierwszą pracę. Zobaczywszy, co robimy, natychmiast podbiegł i zaczął nas besztać:

– Chłopie, chłopie, zostaw to, to jest robota kamieniarzy, oni mają za to zapłacone!

Dowiedziawszy się od nas, że tak nakazał nam ks. Marek M., przełożony rzucił pod nosem kilka przekleństw pod adresem kolegi, po czym wyznaczył nam zupełnie inną pracę w zupełnie innym miejscu.

Plan dnia

Dzień w seminarium zaczynał się z reguły o godzinie 6.00. Ostry szkolny dzwonek budził wszystkich, by ponownie zadzwonić o 6.25, na pięć minut przed tym, kiedy należało się stawić w kaplicy seminaryjnej.

Tak na marginesie: rektor ciągle nam powtarzał, że punktualny nie jest ten, kto mając przyjść o 6.30, przyjdzie o 6.30. Nie, punktualny według niego był ten, kto mając przyjść o 6.30, przyjdzie o 6.27.

To niecałe pół godziny miało być przeznaczone na umycie się, ubranie itd. Oczywiście byli cwaniacy, którzy spali w najlepsze, a później narzucali sutannę na samą bieliznę czy piżamę. Praktyki takie rzecz jasna tępiono, jednak nie u wszystkich. Każdy przełożony miał swoich ulubieńców. Co więcej, każdy kleryk przychodził na pierwszy rok już z pewną łatką, kredytem: jeżeli proboszcz jego rodzinnej parafii cieszył się w diecezji wpływami i poważaniem (co w praktyce często zależało od tego, ile pieniędzy do kasy kurialnej odprowadzał), jego kleryk mógł sobie na odpowiednio więcej pozwolić. I odwrotnie: jeżeli proboszcz nisko stał w rywalizacji o względy biskupa czy ważniejszych dostojników kurii, kleryk z jego parafii musiał się liczyć z trudnościami i gorszym traktowaniem.

Był to zresztą układ sprzężenia zwrotnego: jeżeli kleryk mniej poważanego proboszcza mimo utrudnień utrzymywał się w seminarium, rosła pozycja proboszcza. Proboszczowie, którzy mieli w seminarium więcej niż jednego czy dwóch kleryków ze swojej parafii, mogli się już poszczycić większymi wpływami. Oczywiście ostateczna pozycja danego księdza w diecezjalnej drabinie układów, wpływów, bardziej i mniej formalnych poufałości zależy od bardzo, ale to bardzo wielu czynników i posiadanie swoich kleryków jest tylko jednym z nich, tym niemniej nie należy się dziwić, że proboszczowie zabiegają o powołania ze swojej parafii. Nie kierują się jednak bynajmniej, jak to się zabawnie w kościelnej retoryce

określa, „troską o to, by nie zabrakło rąk do pracy w winnicy Pańskiej”. Główną ich troską jest własne przetrwanie pod butem bezwzględnej władzy biskupa i jego dworu, a kleryk jest wcale niezłą kartą przetargową.

O godzinie 6.30 następowało tzw. rozmyślanie. Praktyka ta, sławiona jako „podstawa duchowości kapłańskiej”, polegała na tym, że należało przez pół godziny medytować bądź nad fragmentem Pisma Świętego, na przykład z liturgii dnia, bądź nad jakimś innym pobożnym tekstem. W praktyce ojcowie duchowni bardzo źle widzieli wszelką dowolność w tym zakresie. Zalecano raczej korzystanie z tzw. książki do rozmyślań, czyli zbioru esejów na tematy biblijne, liturgiczne czy pobożnościowe. Pozycji takich jest całkiem sporo, bo wielu teologów i uznanych księży pisze tego typu publikacje. Każdy kleryk był przez swojego ojca duchownego odpytywany z tego, z jakiej książki do rozmyślań korzysta, i jeżeli ojciec duchowny polecił mu inną, alumn musiał się do tego zastosować.

I znów: byli tacy, którzy „rozmyślali w oparciu o Pismo Święte”, czyli kładli głowę na ławce czy książce i po prostu spali. Byli tacy, którym wolno to było robić nieomal jawnie, a byli tacy, którzy musieli się liczyć z poważnymi konsekwencjami nawet za opuszczenie głowy.

Po jakichś dwudziestu pięciu minutach kleryk, który miał wyznaczony w danym tygodniu dyżur, wzywał do pacierza porannego, po czym wszyscy siadali, asysta wraz z księżmi przełożonymi udawała się do zakrystii i po krótkim przygotowaniu około 7.10 rozpoczynała się msza.

Po zakończonej eucharystii, w okolicach godziny 8.00, klerycy wspólnie udawali się do refektarza, czyli jadalni, na śniadanie. Rozpoczynało się ono oczywiście wspólną modlitwą przed posiłkiem, natomiast każdy mógł je zakończyć, kiedy chciał, byleby o 8.30 stawił się na wykładach.

Wykładów było pięć dziennie, po czterdzieści pięć minut z pięciominutowymi przerwami i jedną długą przerwą między trzecim a czwartym wykładem. A więc: 8.30–9.15 – pierwszy wykład, pięć minut przerwy, 9.20–10.05 – drugi wykład,

znów pięć minut przerwy, 10.10–10.55 – trzeci wykład, długa przerwa, 11.10–11.55 – czwarty wykład i 12.00–12.45 – ostatni, piąty wykład.



Oczywiście nie zawsze wszystkie pięć godzin wykładowych było wykorzystywane. Jeżeli w danej godzinie dla danego rocznika nie odbywał się żaden wykład, klerycy mieli przebywać w swoich pokojach lub w bibliotece. To był czas, jak to się określało, silentium studiorum, czyli „ciszy uczących się”. Kleryk miał się w tym czasie indywidualnie uczyć, a w każdym razie zabronione były rozmowy, słuchanie muzyki, chodzenie po korytarzach czy seminaryjnym ogrodzie. Co ciekawe, nawet przebywanie w kaplicy w tym czasie nie było szczególnie mile widziane. Wiele razy ojcowie duchowni podkreślali swoją podejrzliwość wobec nadmiernej pobożności. Nawet kontakt z Bogiem jest w seminarium reglamentowany, a wszelki indywidualizm także w tym zakresie bezwzględnie tępiący. Porządny kleryk modli się, kiedy jest to przewidziane w programie dnia.

Toteż o godzinie 12.50 należało przyjść do kaplicy i następowały modlitwy południowe, na które składało się odmówienie modlitwy Anioł Pański i kilka minut na tzw. szczegółowy rachunek sumienia. Bo trzeba Ci, drogi Czytelniku, wiedzieć, że według katolickiej duchowości są dwa rodzaje rachunku sumienia. W pierwszym, szczegółowym, rozpatrywać należy, jak wypełniło się codzienne postanowienia powzięte podczas porannego rozmyślenia. Drugi natomiast, czyniony wieczorem, to rachunek sumienia ogólny, w którym należy przypomnieć sobie wszystkie wady, występki i grzechy, jakie zdarzyły się w ciągu całego dnia. Praktyka ta, z emfazą sławiona jako „praca nad sobą”, również podlegała ścisłej kontroli ze strony kierowników duchowych – należało opowiedzieć o swoich wadach, nad którymi zamierza się pracować, oraz złożyć samokrytykę za niepowodzenia w tym zakresie.

Po zakończeniu modlitw, o 13.00, wszyscy przechodzili do jadalni na obiad. Ważna uwaga: w czasie drogi z kaplicy do refektarza obowiązywało tzw. silentium sacrum, „święte milczenie”, z uwagi na to, że modlitwa przed posiłkiem była jakby

kontynuacją tej odbywającej się w kaplicy. Każde odezwanie się było surowo tępione. I znów u jednych bardziej stanowczo, u innych mniej.

Pamiętam, jak pewnego dnia na korytarzu dał się słyszeć bodajże jakiś szept, a niestety wicerektor był tego dnia w bardzo złym nastroju. Po dojściu do refektarza natychmiast podszedł do mównicy i powiedział słowa, które przeszły do kanonu seminaryjnych powiedzonek:

– Pragnę przypomnieć, że silentium sacrum w przejściu z kaplicy do refektarza nie jest fakultatywne!

Nie jestem w stanie oddać specyficznej modulacji głosu tego przełożonego w chwilach zdenerwowania, ale to dzięki niej właśnie ten bon mot zyskał popularność.

Od obiadu nie odchodziło się indywidualnie. Należało czekać na znak dany dzwonkiem przez przełożonego. Wtedy na zakończenie następowała wspólna modlitwa po posiłku, znów przejście w ciszy do kaplicy i krótkie tzw. nawiedzenie Najświętszego Sakramentu.

W trakcie obiadu ogłaszano różnego rodzaju informacje i rozporządzenia. Na przykład takie jak wspomniane wyczytywanie kleryków, którzy mieli się stawić do jakiejś pracy.

Wyczytanie do pracy było szczególnie dla kleryka bolesne z uwagi na to, że po obiedzie następował czas tzw. przechadzki, czyli możliwość wyjścia z seminarium na miasto. Oczywiście klerykowi, który został do pracy wyczytany, możliwość ta przepadała. Gdy więc rozlegał się dzwonek przełożonego i na mównicę wychodził kierownik prac, wszyscy zamierali. Następowala niemal liturgiczna, od niepamiętnych czasów stosowana formułka:

– Bardzo proszę, aby piętnaście minut po nawiedzeniu na furcie w strojach roboczych stawili się następujący bracia...

Pewnego razu, a było to na moim czwartym roku, jeden z ojców duchownych nagle – zapewne w przypiływie złego humoru – zrobił kierownikom prac awanturę o to, że każą się stawiać w strojach roboczych. „Przecież do pracy nikt się nie

stroj!” – krzyczał. Wówczas to kierownicy prac zmienili formułkę na „w roboczym przyodziewku”, co naturalnie wywołało jeszcze większy atak wściekłości przełożonego. Cała awantura, trwająca łącznie kilka dni, skończyła się powrotem do dawnej utartej formułki.

Piszę to, żeby zilustrować, o jakie rzeczy potrafili się pieklić przełożeni i od jakich rzeczy zależał nasz los. Jak głosi sentencja do bólu i jednogłośnie powtarzana przez wszystkich przełożonych kościelnych, od biskupa przez prefektów w seminarium po wiejskiego proboszcza: „Życie składa się z drobnostek!”.

Poobiednia przechadzka odbywać się miała w ściśle kontrolowany sposób. Po pierwsze, klerykom nie wolno było wychodzić z budynku samotnie, musieli iść co najmniej w parze z kolegą. Po drugie, klerycy po trzecim roku, mający prawo do stroju duchownego, musieli wychodzić w sutannie lub chociaż w koszuli z widoczną koloratką. Po trzecie, czas na przechadzkę był dość mizerny: do 15.00 w poniedziałki, piątki i soboty, we wtorki i czwartki do 15.30. Co ciekawe, seminarium, do którego uczęszczałem, było pod tym względem i tak bardzo liberalne: kiedyś z dwoma kolegami widzieliśmy plan dnia w seminarium w Częstochowie i tam, o ile dobrze pamiętam, trzeba było wracać już o 14.00 lub 14.30.

Biada temu, kto by się spóźnił! Często któryś z przełożonych czuwał przy wejściu i jeśli ktoś powrócił za późno lub sam, musiał się gęsto tłumaczyć. Dochodziło przy tej okazji do komicznych wręcz scen, kiedy to jacyś spóźnieni spacerowicze powracali niemalże na czworakach, skradając się jak komandosi do okienka furty, żeby sprawdzić, czy któryś z przełożonych nie czyha na zbyt późno powracających.

Po przechadzce następował czas tzw. studium, czyli obowiązywało wyjaśnione wyżej silentium studiorum. Kleryk w założeniu miał się uczyć, przebywać w swoim pokoju, ewentualnie w bibliotece, i być cicho. W praktyce klerycy słuchali wtedy muzyki na słuchawkach lub grali w gry komputerowe, choć musieli się z tym bardzo pilnować, bo gdyby do pokoju w tym momencie wszedł

przełożony kontrolujący podopiecznych, natychmiast zrobiłby karczemną awanturę lub nawet ukarał delikwenta.

Przy okazji nieustannych kontroli ze strony przełożonych narodził się specyficzny seminaryjny zwyczaj. Przełożeni zawsze pukali do drzwi, zanim zajrzeli do pokoju, niezależnie od tego, czy usłyszeli „proszę”, czy nie. Klerycy więc, żeby rozpoznać się nawzajem, nie pukali do siebie nigdy, tylko po prostu wchodzili. Jeżeliby któryś zapukał – co się zdarzało najmłodszym, którzy jeszcze nie poznali tej zasady – zostałby ciężko zrugany przez kolegę. Źle było też widziane pukanie do kogoś dla kawału – taki żart uchodził za bardzo niesmaczny.

Studium trwało do kolacji, to znaczy do 18.30, z półgodzinną przerwą o 16.00. Podczas tej przerwy można było rozmawiać, odwiedzać się w pokojach itp. Aczkolwiek wszelkie zbyt głośne i nieprzystojne zachowania nie były przez przełożonych mile widziane. Tutaj też po raz kolejny ujawniała się seminaryjna nierówność. Byli klerycy, którzy przyjeżdżali do seminarium z drogimi ekspresami do kawy, organizowali dla kolegów prawdziwe przyjęcia i byli za to wręcz chwaleni i cenieni, a u co znaczących kleryków na takich kawach bywali nawet przełożeni. A byli tacy, którzy jeśliby spróbowali zrobić tak samo, znaczy zaopatrzyć się w jakiś sprzęt do kawy i pozapraszać kolegów, z miejsca zostaliby potraktowani z ogromną podejrzliwością, a ojciec duchowny kazałby się im zastanowić, czy „nie są aby pyszni”.

W zależności od dnia tygodnia plan po kolacji wyglądał różnie. W poniedziałki był to czas wolny, z tym że nie wolno było oczywiście wychodzić z budynku i głośno się zachowywać. We wtorki odbywały się tzw. spotkania rokowe, czyli coś w rodzaju godziny wychowawczej, kiedy to każdy rocznik spotykał się z opiekunem roku, czyli jednym z przełożonych zewnętrznych. Środowe wieczory były przeznaczone na naukę śpiewu w kaplicy, prowadzoną przez profesora muzyki kościelnej. W piątki któryś z ojców duchownych wygłaszał tzw. konferencję ascetyczną, czyli długie kazanie na przeróżne tematy związane z duchowością, seminaryjną dyscypliną itp. W soboty odbywała się adoracja Najświętszego

Sakramentu i nabożeństwo maryjne. Celowo pominąłem czwartki, bo w ten dzień cały plan wyglądał nieco inaczej, ale do tego dojdziemy za chwilę.

Niezależnie od wszystkiego o godzinie 20.30 była Kompleta, czyli modlitwa na zakończenie dnia z Liturgii godzin (znanej szerzej jako brewiarz), a o godzinie 21.00 – tzw. czytanie duchowne. Było to pół godziny, kiedy to należało w pokoju lub w kaplicy czytać przez piętnaście minut Pismo Święte, a przez kolejne piętnaście minut – ustaloną z kierownikiem duchownym lekturę z dzieł świętych, Ojców Kościoła czy innych tym podobnych pobożnych pozycji. Od tego też czasu aż do pobudki obowiązywało silentium sacrum i jego złamanie, jak nas nieustannie pouczano, należało rozpatrywać jako grzech ciężki i się z tego spowiadać.

Po czytaniu duchownym pół godziny było przeznaczone na mycie się, po czym o 22.00 wszystkie światła obowiązkowo miały być gaszone, a wszyscy alumni – leżeć w łóżkach. Zwłaszcza w tym czasie na korytarze wychodzili przełożeni i sprawdzali, czy aby przypadkiem nikt nie ma włączonego światła.

Nieco inaczej wyglądał plan dnia w środy, czwartki i w soboty. W środy po obiedzie nie było przechadzki, odbywało się generalne sprzątanie seminarium. Każdy kleryk miał wyznaczoną jakąś część budynku do posprzątania, a to korytarz na danym piętrze, a to aulę czy kaplicę. O godzinie 15.00 zaś rozpoczynało się nabożeństwo pokutne. Odprawiał je któryś z diakonów, czyli kleryków ostatniego roku seminarium. Składało się z liturgii słowa z czytaniem oraz modlitw, po których następował czas na spowiedź. W konfesjonałach zasiadali ojcowie duchowni oraz kilku księży spoza seminarium, którzy zostali specjalnie wyznaczeni przez biskupa do roli spowiedników dla alumnów.

Oczywiście spowiedź nie była obowiązkowa, można się było wyspowiadać także na przykład w trakcie porannego rozmyślenia w inny dzień czy nawet w razie potrzeby w jeszcze innym czasie poprosić któregoś z ojców duchownych. Zachęcano jednak, żeby ze spowiedzi korzystać szczególnie w tym dniu, a klerycy, którzy za swojego spowiednika obrali któregoś z wyznaczonych księży spoza seminarium, mogli się z nim spotkać w zasadzie tylko wtedy.

Raz w miesiącu w czwartek klerycy udawali się na wieczorną mszę o 18.30 w katedrze, w pozostałe czwartki msza wieczorna odbywała się o 19.30, ale w kaplicy. Tej czwartkowej liturgii przewodniczył najczęściej biskup diecezjalny. Wówczas poranne miejsce w rozkładzie dnia zajmowała Jutrznia – modlitwa z Liturgii godzin. Jeśli szliśmy do katedry, kolacja odbywała się wcześniej, o 17.30, w inne czwartki normalnie. Nie było wtedy też Kompletu.

W soboty przechadzka była właściwie tylko teoretycznym punktem programu, w tym czasie bowiem jednocześnie odbywało się drugie w ciągu tygodnia sprzątanie seminarium i każdy, kto miał wyznaczoną jakąś część budynku do posprzątania, musiał się tym zająć najpierw, a kiedy skończył, najczęściej nie było już czasu, żeby gdziekolwiek wyjść.

Zupełnie inny plan dnia obowiązywał w niedzielę. Pobudka była aż pół godziny później, o 6.30. O godzinie 7.00 odprawiano Jutrznię, po niej było śniadanie, a mniej więcej od 8.30 do 10.30 – czas silentium studiorum. O 10.30 odbywała się msza. Raz w miesiącu mieszkańcy seminarium udawali się na mszę do katedry o 11.00, wówczas o 10.30 należało się stawić przy furcie. Następnie pochód czarnych sutann maszerował przez środek miasta do kościoła. Rektor uważał, że jest to znakomite świadectwo.

Po mszy, już o 12.30, był obiad, a po obiedzie – najdłuższa przechadzka w tygodniu – trwała od 13.00 aż do 16.00. Po powrocie następował czas wolny, a o 17.30 odbywały się Nieszpory – kolejna modlitwa z Liturgii godzin. O 18.30 wydawano kolację, po niej znów odrobina czasu wolnego, Komplet, czytanie duchowne i obowiązkowy spoczynek o 22.00. Dodam, że za czasów mojej nauki w Legnicy w centrum miasta – a właśnie tam umiejscowione było seminarium – nie dało się dostać wszystkich nieraz bardzo potrzebnych artykułów i trzeba było je kupować w jednym z dużych hipermarketów. Problem polegał na tym, że wszystkie one mieściły się dość daleko od seminarium i dotarcie do nich, zrobienie zakupów i powrót w zwykły dzień, gdy przechadzka trwała maksymalnie dwie godziny, nastroczały sporych trudności. Dochodziło więc do komicznej sytuacji: klerycy udawali się na zakupy w niedzielę, gdyż tylko w ten dzień czas wyjścia na miasto

na to pozwalał. Rodziło to kolejny, drobny, acz znaczący seminaryjny zwyczaj: żeby zmylić przełożonych, klerycy, umawiając się na wspólny wyjazd do hipermarketu, mówili: „Jedziemy dzisiaj do filialnego?”. Nawiązywało to do prozy życia typowego wiejskiego proboszcza, którego parafia obejmuje kilka miejscowości, nieraz oddalonych od siebie. Parafia taka dysponuje często oprócz głównego kościoła parafialnego tzw. kościołami filialnymi, czyli niestanowiącymi siedziby osobnej parafii, ale będącymi właśnie filiami kościoła głównego, położonymi bliżej parafian zamieszkałych w odrębnych miejscowościach. Wiejscy proboszczowie mają więc często po trzy, cztery msze niedzielne w kościele głównym, a w międzyczasie wyjeżdżają na dodatkowe msze w kościołach filialnych, z reguły po jednej w niedzielę. Określenie „wyjazd do filialnego” idealnie więc pasowało do niedzielnego wypadu na zakupy.

Nie tylko dzień czy tydzień miały swój rozkład. Dotyczy to także całego roku akademickiego. Każdy rok miał swój w miarę stały rozkład. W skrócie opisałbym go jako „od święta do święta”.

Pierwszym świętem w seminarium jest zawsze mająca miejsce tydzień po rozpoczęciu roku uroczysta inauguracja. Odbывała się w poniedziałek i obowiązywał wtedy niedzielny plan dnia. Oprócz mszy w katedrze przed południem w auli seminarium urządzano galę, zawsze zapraszano jakiegoś mniej lub bardziej znanego teologa z wykładem inauguracyjnym, po którym następowała immatrykulacja, czyli zaprzysiężenie kleryków pierwszego roku.



Budynek główny kurii biskupiej i Wyższego Seminarium Duchownego. Zakratowane okna powyżej sutereny to główna aula seminarium, a piętro wyżej znajdują się okna refektarza.

We wrześniu odbywał się też tzw. epilog diecezjalnej pielgrzymki do Częstochowy. Pielgrzymi z całej diecezji zjeżdżali się wtedy do Legnicy i udawali się pieszo do położonego nieopodal miasta sanktuarium na Legnickim Polu, w miejscu bitwy pod Legnicą. Seminarzyści wraz z przełożonymi również uczestniczyli w tej minipielgrzymce i mszy świętej w sanktuarium.

Przypomina mi się, jak to podczas jednej z tych pielgrzymek trafiliśmy na burzę. Kilku kleryków zapytało ojca duchownego:

– A co będzie, jeśli kogoś trafi piorun?

– No, wtedy to będzie znak szczególnego wybrania przez Pana Boga – odpowiedział ojciec.

Upływał październik i na święto Wszystkich Świętych można było wyjechać do domu, przeważnie na trzy dni. Koniec października przynosił też pewną ulgę

w planie dnia: przed Kompletą przez cały ten miesiąc odbywało się nabożeństwo różańcowe, a w listopadzie zamiast niego był czas wolny.

Grudzień był zawsze najlepszym miesiącem w seminarium.

6 grudnia następowały obchody św. Mikołaja. Polegały one na tym, że rok czwarty przygotowywał na ten dzień uroczystą kolację i aż dwa przedstawienia: jedno poważne – na przykład coś z klasyków polskiego dramatu. To przedstawienie odbywało się w auli. Natomiast w refektarzu, przy kolacji, występował kabaret, w którym klerycy odgrywali przełożonych. Teoretycznie można było się z nich ponaśmiewać, ale w praktyce rocznik przygotowujący to przedstawienie często marnie kończył. Dotyczy to tych, których role nie spodobały się komuś z przełożonych, lub – jeśli całość przedstawienia była zbyt kąśliwa – odpowiedzialnych za scenariusz.

Dwa dni później, 8 grudnia, zawsze odbywały się obłóczyny, czyli uroczystość, podczas której klerycy trzeciego roku otrzymywali prawo do noszenia stroju duchownego. Również w ten dzień obowiązywał plan niedzielny, a klerycy trzeciego roku przygotowywali dla kolegów jakieś przedstawienie, tym razem poważne.

Zadaniem drugiego roku było przygotowanie kolejnej uroczystości w seminarium – ledwie dwa tygodnie później odbywała się seminaryjna wigilia. A więc była uroczysta kolacja, śpiewanie kolęd, kolejne przedstawienie i co chyba najmielsze – wyjazd do domu z rana następnego dnia. Ferie bożonarodzeniowe trwały aż do 7 stycznia.

W drugiej połowie stycznia dwa tygodnie przeznaczone były na sesję egzaminacyjną. Po niej następowały ferie zimowe. Trwały jednak tylko tydzień, i to nie dla wszystkich, część kleryków zostawała bowiem, żeby obsługiwać tzw. rekolekcje młodzieżowe w seminarium. Na takie rekolekcje księży z całej diecezji wysyłali – bardziej lub mniej chętnych – ministrantów, oazowiczów, oczywiście tylko chłopców. Rekolekcje te miały bowiem na celu pozyskiwanie nowych powołań.

Druga połowa roku upływała o wiele mniej przyjemnie. Wolnego było niewiele – tylko tydzień wyjazdu do domu z okazji Wielkanocy. Z reguły też rektor wydawał pozwolenie, żeby na pierwsze trzy dni maja każdy rocznik z Dużego Domu (nie dotyczyło to pierwszorocznych) ze swoim prefektem zorganizował sobie jakiś wspólny wyjazd.

Pod koniec maja odbywały się święcenia kapłańskie diakonów. Gdy zaczynałem seminarium, święcenia diakonatu miały miejsce w ostatni dzień roku i po uroczystości w katedrze bezpośrednio wyjeżdżało się do domu. Na moim drugim roku nowy biskup nakazał zmienić termin i odtąd święcenia diakonatu odbywały się w maju, tydzień przed święczeniami kapłańskimi.

Co ciekawe, te dwie uroczystości są ważne właściwie tylko dla tych, których dotyczą. Odbywają się zawsze w sobotę, ale nie dają klerykom żadnego dodatkowego luźnego dnia i zapamiętałem je raczej jako nieistotną dla wszystkich uciążliwość. Rozbudowanym uroczystościom, które wymagały dużego zaangażowania całego niemal seminarium – chóru, ceremoniarzy, sprzątających – nie towarzyszyły żadne ulgi w postaci dodatkowego czasu wolnego. W praktyce wszyscy starali się więc jak najszybciej przejść nad święczeniami kapłańskimi do porządku dziennego. Zbyt bolała każdego świadomość, że to jeszcze pięć, cztery, trzy lata, rok... Zbyt zazdrościliśmy tym, którzy mieli już to wszystko za sobą.

Czerwiec w większości zajmowała sesja egzaminacyjna.

Podsumowując: takie precyzyjne zaplanowanie czasu w seminarium jest podręcznikowym przykładem tego, jak to zamysły i założenia nie sprawdzają się w praktyce. Rygorystyczne życie „na dzwonek”, według uporządkowanego planu, miało służyć wzniosłym celom: kleryk miał się nauczyć zorganizowania, miało to jakoby wywrzeć zbawienny wpływ na jego życie wewnętrzne itd. W praktyce, czego często byłem świadkiem, opuszczający seminarium młody ksiądz, gdy tylko wymknął się spod dyktatu seminaryjnych dzwonków, dyscypliny planu dnia i nadzoru przełożonych, natychmiast porzucał wszelkie zorganizowanie.

Kiedy przebywałem w jednej z parafii na praktyce, widziałem wikarego, który korzystając z tego, że zastępowałem go w szkole jako katecheta, wstawał dopiero

na obiad. Widziałem księży, którzy z nadmiaru niezorganizowanego czasu wpadali w hazard, alkoholizm albo znajdowali sobie jakieś kosztowne hobby, na przykład strzelanie do dzikich zwierząt czy budowanie zajmującej cały pokój makiety z miniaturowymi kolejkami.

Zamknięci w seminarium klerycy bardzo różnie reagowali na ten nienaturalny tryb życia. Często jednak ta reakcja miała w sobie coś chorobliwego.

A więc byli tacy – zwłaszcza ci od lepszych proboszczów, ci, którzy na więcej mogli sobie pozwolić – którzy stawali się arcycwaniakami, z wiecznie przyklejonym drwiącym uśmieszkiem, obeznanymi z meandrami obłudy, a co najdziwniejsze – takich przełożeni bardzo cenili. Byli tacy, którzy uciekali w głęboką pobożność – tych się przełożeni szybko pozbywali. Byli tacy, którzy siedzieli cicho, ale w duszy się im aż gotowało. Tacy w końcu nie wytrzymywali i albo odchodzili, albo – częściej! – robili coś niestosownego lub głupiego i byli wyrzucani. Jeden z kleryków na przykład któregoś dnia wyszedł z seminarium i po prostu szedł i szedł, aż przewędrował w ciągu kilku dni ponad dwieście kilometrów, zanim znaleźli go zawiadomieni o zaginięciu policjanci. Umysł człowieka wciśnięty w tak chore środowisko może w końcu się poddać tej najpierwotniejszej i najnaturalniejszej w tej sytuacji sile: chęci ucieczki za wszelką cenę, ucieczki już nie ludzkiej, ale zwierzęcej.

Pół roku dzieliłem jeden pokój z klerykiem, który większość czasu wolnego spędzał, siedząc w oknie i gapiąc się na ulicę. Ożywiał się tylko momentami, krzycząc do mnie:

– Panie, panie, ale dupa poszła!



Budynek główny kurii biskupiej i Wyższego Seminarium Duchownego.

Funkcje i dyżury

W seminarium istniało mnóstwo tzw. funkcji, czyli stałych, związanych z pewnymi obowiązkami i prawami posad. Było ich tyle, że każdy z kleryków od drugiego do piątego roku miał przynajmniej dwie albo trzy. Oczywiście były funkcje prestiżowe, związane ze znaczną władzą, a nawet takie, które po seminarium otwierały drogę do dalszej błyskotliwej kariery. Były też i takie, które zupełnie nie miały znaczenia, a niektóre wprost zapowiadały usunięcie alumna.

Funkcji nie mieli klerycy pierwszego roku ze względu na to, że żyli osobno od reszty seminarium, ale o tym opowiem później. Gdy zaś alumn zostawał diakonem pod koniec piątego roku, musiał swoją funkcję przekazać młodszemu z uwagi na to, że szósty rok w dużej części składa się z praktyk, podczas których diakoni są rozsyłani do parafii w różnych częściach diecezji.

Do najznacześniejszych funkcji należały dwie, sprawowane przez kilku, a nawet kilkunastu kleryków. Byli to ceremoniarze, zajmujący się oprawą liturgiczną obrzędów, tak w seminarium, jak i w katedrze z udziałem biskupa, oraz wcześniej wspomniani kierownicy prac, bezpośrednio podlegający dyrektorowi administracyjnemu. Kierownicy prac, mimo że mieli w seminarium wysoką pozycję, byli ze zrozumiałych względów (odbieranie klerykom możliwości wyjścia na miasto, kontrolowanie często bezsensownych prac) nie lubiani, co źle wpływało na ich dalszą karierę w Kościele.

Zupełnie inaczej było z ceremoniarzami. Ci od niepamiętnych czasów stanowili najwyższą kastę seminarium, gdyż dzięki swojemu częstemu kontaktowi z biskupami i wyższymi urzędnikami kurii mieli wiele możliwości pozyskania ich sympatii. Nie należy się więc dziwić, że do funkcji ceremoniarzy wybierano kleryków od „lepszych” proboszczów, tych, którzy mieli należycie wysokie wpływy. To oczywiście jeszcze bardziej wzmacniało ich cwaniactwo i próżność,

przez co byli właściwie niepodzielnymi władcami seminarium, zdolnymi wspólnymi siłami oprzeć się nawet przełożonym. Co ważniejsze, ich władza i wpływy nie kończyły się po opuszczeniu seminarium, jak w przypadku kierowników prac. Przeciwnie, trafiali zawsze – zawsze! – na najbogatsze parafie, kierowane przez najbardziej wpływowych proboszczów, byli wysyłani na studia, zostawali urzędnikami kurii biskupiej czy przełożonymi seminarium.

Niszową funkcję pełnili tzw. sacelani, czyli zakrystianie seminaryjnej kaplicy. Często, ale nie zawsze, zostawali nimi ceremoniarze. Funkcja ta dawała również dużo wpływów, a nawet była uważana za bardziej elitarną, jako że ceremoniarzy było kilkunastu, a sacelanów – najwyżej czterech. Ceremoniarz, który jednocześnie został sacelanem, miał niemal pewną drogę do funkcji sekretarza biskupa lub innego wyższego i wpływowego stanowiska w kurii.

Ważnym miejscem w seminarium, z własnym mikroklimatem, był dla mnie chór. Chór to specyficzne środowisko, zwłaszcza jeśli ma takiego kierownika jak nieżyjący już ks. Piotr Dębski. Był on osobą całkowicie oddaną muzyce. Nic poza muzyką dla niego nie istniało, ani polityka kurialna, ani wewnętrzne rozgrywki wśród przełożonych w seminarium ani w diecezji. Przy tym miał ze względu na swoje kompetencje na tyle wysoką pozycję w kurii, że mógł zapewnić chórzystom sporą autonomię.

Udział w chórze wykluczał z funkcji ceremoniarza ze zrozumiałych względów: podczas mszy ceremoniarz musiał być przy ołtarzu, a nie na chórze. Zapewniał za to coś unikalnego: możliwość przetrwania seminarium nawet najmniej odpornym psychicznie.

Dlaczego? Sprawa jest prosta. Próby zajmowały dużo czasu, trwały po trzy–cztery godziny tygodniowo plus okazyjne próby dodatkowe, no i oczywiście sam czas śpiewu przy okazji różnych uroczystości. Chórzysci obowiązkowo uczestniczyli w czasie wakacji w tygodniowych zjazdach, na których mieli ćwiczyć i poszerzać repertuar. Wreszcie sam przedmiot muzyka kościelna zawarty w programie studiów i jako jedyny (sic!) wykładany przez wszystkie sześć lat nauki zabierał klerykom z chóru więcej czasu, gdyż więcej od nich wymagano.

Zasługą dyrektora chóru ks. Piotra Dębskiego było to, że gdy zamykały się za chórzystami drzwi sali, w której ćwiczili śpiew, wszystko poza muzyką przestawało być ważne. Niektórzy żartowali, że ks. Dębski jest w 5 procentach księdzem, a w 95 procentach muzykiem. Kto jakiego miał proboszcza, czy wpływowego, czy nie, kto miał lepsze wyniki w nauce, kto miał lepsze funkcje – to wszystko traciło jakiekolwiek znaczenie. Ważne było tylko jedno: jak kto śpiewa.

Tym samym chór był, przynajmniej dla niektórych, ucieczką, miejscem w samym środku seminarium, gdzie to seminarium nie sięgało. Był odskocznią od rzeczywistości na tyle częstą, że dawała oparcie.

Niech za dowód posłuży to, że choć klerycy piątego i szóstego roku byli zwolnieni z chóru, ja pozostałem w nim aż do szóstego roku. Czułem, że jeśli mogę psychicznie to wszystko przetrwać, to tylko dzięki chórowi.

Oczywiście do chóru można się było dostać tylko z odpowiednim słuchem i głosem. Myliłby się jednak, kto by sądził (a wiele takich opinii spotykam), że umiejętność śpiewania jest ważna na drodze do kapłaństwa.

Przeciwnie, jeżeli ktoś pochodził z parafii odpowiednio ustawionego proboszcza i został ceremoniarzem, jego pozycja była o lata świetlne wyższa od jakiegokolwiek chórzysty. Znam księdza, który miał wyjątkowy talent do fałszowania: nie potrafił nawet dwóch dźwięków w śpiewie „Pan z wami” czysto zaintonować. Ba, śpiewał to tak, że nawet osobom niemuzycznym uszy więdły. Ten ksiądz jako kleryk był najbardziej bezwzględny i bezczelny cwaniakiem, drwiącym nawet publicznie z wszelkich świętości, a mimo to uwielbianym przez przełożonych. Dziś na swoim profilu na Facebooku zamieszcza wpisy żywem wzięte z retoryki byłego ks. Międlara, jawnie nawołuje do eksterminacji osób LGBT, bez ogródek popiera prawicowe partie polityczne i właściwie niczym innym poza polityką się nie zajmuje. Czy któryś z przełożonych kościelnych reaguje? Nie.

Sporą grupę kleryków stanowili redaktorzy „Echa Seminarium” – czasopisma wydawanego specjalnie dla członków tzw. Stowarzyszenia Przyjaciół Wyższego Seminarium Duchownego w Legnicy. Było to stowarzyszenie powołane u początków seminarium i służyło – co tu owijać w bawełnę – do pozyskiwania

pieniędzy. Jego członkowie – ludzie świeccy z diecezji – zobowiązani byli bowiem do stałego wsparcia finansowego dla uczelni. Różnie to wyglądało w praktyce: były parafie, zwłaszcza wiejskie, w których istniały rzeczywiste, całkiem liczne koła wiernych należących do stowarzyszenia. Były też parafie, w których żadne koło nie istniało, ale proboszczowie w nadziei zyskania większego uznania deklarowali założenie takiego stowarzyszenia, a następnie w imieniu nieistniejącego koła wpłacali odpowiednią kwotę z własnych środków.

Jakkolwiek było, dla członków tego stowarzyszenia wydawano darmowe czasopismo „Echo Seminarium”. W czasach, kiedy wstępowałem do seminarium, jego redaktorem naczelnym był kleryk z jakiegoś nieznanego mi powodu bardzo faworyzowany przez ówczesnego biskupa pomocniczego diecezji. Biskup posuwał się nawet do zabierania go ze sobą na co znaczniejsze uroczystości, a przełożeni seminaryjni musieli się na to zgadzać. Dlatego też pozycja redaktora naczelnego „Echa Seminarium” uchodziła wówczas za bardzo prestiżową, niemal równą ceremoniarzom. Jak się jednak później okazało, w tym przypadku nie funkcja była decydująca, ale osoba sprawującego ją kleryka.

Objąłem tę funkcję bardzo wcześnie, bo już w połowie drugiego roku. Stało się tak dlatego, że ów wpływowy redaktor naczelny znał mnie z rekolekcji oazowych, a najpewniejszego, starszego ode mnie kandydata na swoje miejsce zwyczajnie nie cierpiał. Gdy więc pod koniec piątego roku musiał zdać posadę, użył swoich wpływów, żeby wyznaczyć na następcę mnie, po części w celu upokorzenia nielubianego kolegi.

Tak to w seminarium działa. Niestety fakt, że redaktorem naczelnym „Echa Seminarium” został kleryk ledwie drugiego roku, błyskawicznie obniżył znaczenie i prestiż tej funkcji. Dodam, że ów rywalizujący ze mną kleryk był swego rodzaju ofiarą, bezustannie i w bardzo okrutny sposób poniżaną przez kolegów z roku wyłącznie dlatego, że ubzdurali sobie, że jest on fizycznie podobny do nielubianego wykładowcy łaciny (ja nie dostrzegłem żadnego podobieństwa). Mój poprzednik na urzędzie redaktora naczelnego nie lubił go nie ze względów osobistych, ale z powodu opinii na roku.

Inne funkcje były mniej znaczące. Kierownicy pięter – było ich trzech – musieli przy każdym z dwóch tygodniowych sprzątań otworzyć kantorek ze środkami czystości i skontrolować pracę. Dwóch tzw. dekoratorów przygotowywało umoralniające gazetki na tablicy przed wejściem do kaplicy.

Istniało jeszcze więcej zupełnie pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia funkcji, na przykład koło misyjne, którego jedynym zadaniem było przygotowanie nabożeństwa z okazji tygodnia misyjnego. Była schola – zmniejszona wersja chóru zajmująca się oprawą muzyczną co uroczystszych wewnętrznych nabożeństw w seminarium. Byli organiści – dość elitarna mała grupka trzech–czterech kleryków, którzy opanowali trudną sztukę gry na organach, i to na odpowiednio wysokim poziomie. Jednak funkcja ta, aczkolwiek ekskluzywna, nie wiązała się z jakimikolwiek wpływami czy władzą, a wręcz przeciwnie: od kleryków tych wymagano bezbłędnego wykonywania akompaniamentu, a za każdą niedoskonałość surowo ich besztano. Byli też tzw. kierownik małej auli i kierownik dużej auli – dwóch pomieszczeń konferencyjnych w seminarium. Ci kierownicy nie mieli nic do roboty oprócz nadzoru nad sprzątaniami tych pomieszczeń. Istniała funkcja sacelana, czyli zakrystiana tzw. kaplicy na czwartym piętrze – małej pomocniczej kaplicy, gdzie msze odprawiali w samotności niektórzy urzędnicy kurialni. Sacelan taki nie cieszył się specjalnym prestiżem, a już zupełnie nie mógł się porównywać z sacelanami kaplicy głównej ani jeśli chodzi o władzę, ani o wpływy. Dlaczego? Otóż o ile sacelan kaplicy głównej często asystował biskupowi czy znacznym osobistościom diecezji w przygotowaniu do mszy, to sacelan kaplicy pomocniczej najczęściej nie widywał się z księżmi celebrującymi – miał wszystko przygotować i zostawić do dyspozycji kapłana, który bardzo często odprawiał mszę późno w nocy.

Na marginesie dodam, że było trzech księży szczególnie często korzystających z takiej możliwości odprawienia mszy. Byli to: dyrektor wydziału katechetycznego kurii biskupiej, późniejszy biskup pomocniczy Marek M., dziś biskup świdnicki, dyrektor biblioteki seminaryjnej ks. Bogusław D., wreszcie dyrektor wydziału sztuki sakralnej kurii biskupiej ks. Stanisław S. Ci trzej księża nie należeli

w zasadzie do przełożonych seminarium, ale w przeciwieństwie do innych urzędników kurii nie byli rezydentami żadnej parafii, gdzie mogliby odprawiać msze. Mieszkali na terenie seminarium, a dokładniej w budynku łącznikowym między częścią mieszkalną seminarium a biblioteką.



Budynek główny kurii biskupiej i Wyższego Seminarium Duchownego.

Z reguły więc odprawiali msze samotnie, późnym wieczorem lub nawet w nocy, i to mimo że przepisy liturgiczne od czasu Soboru Watykańskiego II w zasadzie zabraniają samotnego sprawowania eucharystii bez udziału choćby jednego wiernego. Inaczej było w czasach przed soborem, kiedy było to nie tylko możliwe, ale powszechnie praktykowane, a w średniowieczu powstała nawet instytucja tzw. altarzystów. Byli to księża przydzieleni do danego ołtarza w jakimś dużym kościele, ufundowanego przez zamożnego szlachcica czy ziemianina, który stawiał taki ołtarz i przypisywał do niego konkretne dochody, na przykład z jednej z posiadanych przez siebie wsi. Altarzysta żył z tego uposażenia pod warunkiem codziennego samotnego odprawiania mszy przy takim ołtarzu w intencji

wyznaczonej przez fundatora. Było to jedyne jego zajęcie. O tym wszystkim dowiedzieliśmy się na wykładach i od tego czasu prześmiewczo nazywaliśmy tych trzech księży altarzystami.

Każdy rocznik miał seniora i wiceseniora, obieranych przewodniczących, którzy zajmowali się organizacją pewnych obowiązków należących zbiorowo do danego rocznika: na przykład sobotnie nabożeństwo maryjne mieli po kolei przygotowywać klerycy piątego roku, a seniorzy wyznaczali, kto kiedy jest za to odpowiedzialny. Seniorzy też reprezentowali rocznik w kontaktach z przełożonymi czy wykładowcami, na przykład ustalali w imieniu kolegów terminy poszczególnych egzaminów.

Istniały wreszcie funkcje najwyższe w seminarium, dziekana i wicedziekana, wybieranych przez kleryków spośród teoretycznie wszystkich alumnów piątego roku. Dziekan i wicedziekan ustalali podział dyżurów w danym tygodniu, sprawowali najwyższą władzę wśród kleryków w seminarium, ba, byli nawet z urzędu członkami diecezjalnej Rady Kapłańskiej. W praktyce zawsze zostawiali nimi tylko najznamienitsi, ci, którzy byli ceremoniarzami, ulubieńcami znaczących przełożonych, biskupów czy kurialistów.

Dyżury polegały głównie na sprzątaniu lub posłudze liturgicznej. Po dwóch kleryków dostawało do zamiatania i umycia korytarze na pierwszych trzech piętrach, jeden – na czwartym. Czterech sprzątało główną kaplicę, dwóch kaplicę na czwartym piętrze. Innych dwóch alumnów miało zająć się dużą aulą, jeden małą – ci wszyscy swój obowiązek mieli wykonywać w środy i w soboty. Natomiast klerycy, którzy dostawali do sprzątania łazienki, mieli to robić codziennie około 21.45, a więc przed samą ciszą nocną.

Dodam, że mycie łazienek i toalet wiązało się czasami ze sporymi niedogodnościami. Po pierwsze, trzeba było takie sprzątanie wykonać sumiennie i dokładnie, czuwali nad tym starsi klerycy funkcyjni i przełożeni, a niestety czasu było niewiele, bo po 22.00 sprzątać już nie było wolno. Najgorszą jednakże niedogodnością – tak to oględnie nazwijmy – było to, że kleryk nienawidzący

z jakiegoś powodu tego, kto w danym tygodniu dyżurował, miał spore możliwości utrudnienia mu życia.

O ile sam tego nie doświadczyłem, to spotkał się z tym kolega z roku. Któregoś dnia w czasie sprzątanía przechodziłem korytarzem części mieszkalnej seminarium na trzecim piętrze. Kiedy mijalem toalety, wypadł z nich kolega.

– Chodź szybko, musisz to zobaczyć – powiedział pełnym wściekłości głosem.

Poszedłem za nim, a on zaprowadził mnie do jednej z toalet. Oczom moim ukazał się obrzydliwy widok. Sedes był podniesiony i cały, wraz ze spłuczką i ścianą za klozetem aż do wysokości mniej więcej półtora metra, zanieczyszczony kałem. Wyglądało to, jakby granat eksplodował w stercie ekskrementów.

Koledze temu tajemniczy prześladowca sprawił taką złośliwość jeszcze kilkakrotnie, ale mimo śledztwa nie udało się ani nam, ani powiadomionym o tym przełożonym dojść, czyja to była sprawka.

Drugi blok stanowiły najprzeróżniejsze dyżury związane z liturgią, a więc wyznaczany był dyżurny diakon spośród kleryków szóstego roku, akolici z roku piątego, lektorzy i psalterzysta z roku czwartego i trzeciego. Sacelani pełnili obowiązki na zmianę: dwóch w jednym tygodniu, dwóch w następnym. Byli też dyżurny ceremoniarz, ministranci itp. Jeżeli w danym tygodniu miała miejsce jakaś uroczysta msza, na przykład w katedrze, z kadzidłem, procesją z krzyżem i ewangeliarzem, asystę na takie okazje wyznaczano osobno.

Ważny dyżur pełnili też tzw. furtianie. Furtę, czyli rodzaj portierni przed wejściem do seminarium, do pory obiadu, czyli kiedy klerycy byli na wykładach, obsługiwał świecki pracownik. Natomiast od obiadu przejmowało ją dwóch kleryków. Jeden siedział w portierni, wpuszczał osoby wchodzące i obsługiwał interesantów, a drugi w tym czasie był w seminaryjnym żargonie tzw. zajęcem. Na sygnał dwóch krótkich dzwonków miał stawiać się na furcie, na wypadek gdyby trzeba było dyżurującego furtiana na chwilę zmienić albo gdy przyszła jakaś osoba z zewnątrz, chciała się widzieć z którymś z księży lub kleryków i trzeba było o tym

kogoś powiadomić. Do obowiązków furtianów należało też cotygodniowe sprzątanie furty i korytarza przy niej.

Przy tej okazji wspomnę, że kleryków można było odwiedzać wyłącznie w czasie przechadzki, co dotyczyło też rodziny. Ponadto nie wolno było klerykom wpuszczać świeckich z zewnątrz poza furte, mogli się z nimi spotkać tylko w znajdującym się tuż obok specjalnym pomieszczeniu zwanym rozmównicą.

W czasie posiłków stoły – każdy rocznik miał swój osobny stół – obsługiwało po dwóch tzw. portatorów. Nosili oni posiłki z okienka w kuchni dla kolegów i odnosili naczynia po jedzeniu. Do ich obowiązków należało też ścieranie stołów i sprzątanie refektarza.

Warto przy tej okazji wspomnieć, że seminarium posiadało osobny tzw. mały refektarz – ekskluzywną, bogato urządzoną jadalnię wyposażoną w kredensy z najlepszą zastawą oraz lodówkę z drogimi alkoholami (nie wiem dlaczego, ale wysoko sytuowani księża uwielbiają wszelkiego rodzaju koniaki; nie interesują ich nawet wyborne wina ani inne trunki, ale właśnie koniaki). Mały refektarz oczywiście nie służył klerykom, ale przełożonym. Nie podczas zwykłych posiłków – wtedy zajmowali oni miejsca przy stole u szczytu refektarza wspólnego. Zdarzały się jednak imieniny jakiegoś przełożonego lub biskupa, spotkania tzw. Rady Moderatorów obradującej nad dopuszczeniem kleryków danego rocznika do któregoś z etapów formacji itd.

Mały refektarz miał osobnego funkcyjnego kleryka, który w takich wypadkach go obsługiwał, aczkolwiek jego funkcja najczęściej polegała na tym, że miał wszystko przygotować i się wynosić. Wbrew pozorom stanowiło to więc bardzo niewdzięczną rolę. Kleryk ten był w nieustannym niebezpieczeństwie, że zobaczy odrobinę za dużo, a wówczas przełożeni podejmą kroki, żeby go zmusić do odejścia.

Codziennosc każdego człowieka składa się z wielu rzeczy. Będzie to zaspokajanie życiowych potrzeb, a więc jedzenia czy snu. Będzie to jego praca czy nauka. Będą to jego rodzina i bliskie osoby, przyjaciele. Będą to jego zainteresowania i sposoby spędzania wolnego czasu.

Te cztery filary codzienności w seminarium są obecne, ale zwyrodniałe, wynaturzone ponad wszelką miarę.

Weźmy takie jedzenie. Wspomniałem już o tym, że seminarium przejada lwią część „darów dla najbiedniejszych”, którymi rozporządza diecezjalny Caritas. Oprócz tego korzysta z hojności podmiejskich rolników, a w kwestii kulinarnej – z taniej siły roboczej. Oprócz kilku zatrudnionych w seminarium kucharek – osób starszych, podejrzewam, że wręcz emerytek za groszowe pensje – przygotowaniami posiłków za darmo zajmowały się też zakonnice ze zgromadzenia sióstr magdalenek. Z kolei rezydencja biskupa korzystała z darmowej obsługi w wykonaniu sióstr boromeuszek. Wszystko to jest skutkiem oszczędności Kościoła, żeby mógł przepuszczać ogromne środki gdzie indziej.

Co ciekawe, posiłki seminaryjne były zupełnie inne, zwyczajnie lepsze, dla mieszkającego osobno pierwszego roku. Natomiast jakość, a przede wszystkim ilość posiłków dla kleryków mieszkających w samym seminarium znacznie spadała. Nie było to jednak takie ważne. Istotniejsze były pewne drobne, ale znaczące rzeczy składające się na codzienne osvajanie kleryków z fundamentalną różnicą między nimi a przełożonymi.

I tak na przykład w czasie Wielkiego Postu w piątki klerycy dostawali na obiad jedynie zupę, podczas gdy przełożonym serwowano jeszcze drugie danie. Klerycy korzystali z esencji herbacianej rozcieńczanej wrzątkiem w dzbankach, podczas gdy przełożeni pili osobno parzoną kawę i herbatę.

O zwyrodnieniu pracy czy nauki w seminarium już częściowo wspomniałem, a częściowo opowiem o tym szerzej przy okazji omawiania poszczególnych lat w seminarium. Przyjdzie mi też napisać o najgorszym zwyrodnieniu, dotyczącym najgłębszych pokładów psychiki człowieka.

Rok pierwszy

„Synkowie moi, witam was w Domu Ziarna, w Domu Niewyblakłych Wartości, w Kuźni Serc Kapłańskich. Przyszedłeś tu, synku, z różnych rodzin, z różnych parafii, różnymi drogami Pan Bóg doprowadził cię do tej chwili. Z różnymi wyobrażeniami przyszedłeś tutaj, ale dzisiaj, teraz – musisz te wszystkie wyobrażenia zostawić za sobą. Zapewne niejeden z was miał wielkie, wybujałe wizje na temat tego, jakim by chciał być księdzem, ale te wszystkie wizje musisz odrzucić i otworzyć się na to, jak Pan Bóg rękami i ustami przełożonych zechce cię tutaj poprowadzić. Pewnie niejeden raz przyjdiesz tutaj, do tej kaplicy, uklękiesz sobie przed Bogiem i łezka w oku się zakręci na wspomnienie czasów, gdy jako byczek młody hasałeś sobie – wspomnij wtedy, jak to Pan Jezus Piotrowi powiedział: »Kto inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz« – i że dziś poszedłeś trudną, ciernistą drogą wybranych, którzy na służbę Kościołowi przez święte posłuszeństwo się oddali...”

I tak dalej, i tak dalej... Trwało to chyba z półtorej godziny. A tak naprawdę nie skończyło się nigdy przez całe te sześć lat, które w seminarium spędziłem.

Tymi słowami powitał nas ojciec duchowny, gdy wyznaczonego dnia zjechaliśmy się ze wszystkich stron diecezji i zamknęły się za nami drzwi seminarium. A dla ścisłości, jeszcze nie seminarium, ale Domu Pierwszego Roku.

Pierwszy rocznik kleryków mieszkał w osobnym budynku. Była to willa, podobno po jakimś radzieckim pułkowniku, znajdująca się na terenie dawnego tzw. Kwadratu, czyli niegdyś zamkniętej dzielnicy miasta Legnica, zajmowanej w czasach Polski Ludowej przez stacjonującą tu Armię Czerwoną. Stąd klerycy powszechnie nazywali Dom Pierwszego Roku właśnie Kwadratem.

Do Kwadratu należał też spory kawałek terenu zajęty przez seminaryjne boiska i korty tenisowe, w praktyce niewykorzystywane. Nie można było pozwolić, żeby

uganiający się za piłką zniszczyli trawę bądź nawierzchnię. Przez całe sześć lat ledwie kilka razy widziałem, żeby ktoś z tych kortów czy boisk korzystał.

Sąsiedztwo mieliśmy nie lada jakie: duży teren tuż obok należał do gmachu bardzo, ale to bardzo bogatej i wpływowej instytucji kościelnej, czyli diecezjalnego Caritasu. W pobliżu swoją willę, a właściwie niewielki pałacyk z prywatną kaplicą z witrażami (sic!), miał były dyrektor Caritasu, kanclerz kurii biskupiej i najpotężniejszy człowiek w diecezji, ks. prałat dr Józef L. Po cichu mówiło się, że swoje wpływy zawdzięczał wielkiej obrotowości w zakresie finansów. Wszyscy, nawet najwyżej postawieni księża, bali się go jak ognia, bo też potrafił się okrutnie mścić na każdym, kto mu podpadł. Nawet biskupi musieli się liczyć z jego zdaniem. Wśród księży mówiło się wręcz o tym, że ks. Józef L. jest w stanie niepokornym duchownym załatwić „drobny wypadek”.



Droga z tzw. Kwadratu, czyli niegdyś zamkniętej dzielnicy miasta, zajmowanej przez stacjonującą tu Armię Czerwoną, do seminarium.

Nieopodal znajdował się także Dom Księży Emerytów i pewien zrujnowany, średniej wielkości dworek. W czasie gdy byliśmy na pierwszym roku, rozpoczęto intensywny remont tego budynku. Po co – jeszcze nie wiedzieliśmy.

Sam Dom Pierwszego Roku składał się z kuchni, refektarza i pralni w suterenie, kaplicy, mieszkania księdza prefekta i rozmównicy na parterze. Na pierwszym piętrze znajdowały się pokoje kleryków i mieszkanie ojca duchownego, pokoje kleryków zajmowały także poddasze.

Pierwszy rocznik miał więc osobnego prefekta i osobnego ojca duchownego. Całe życie świeżo upieczonych kleryków miało upływać osobno: wyjątkiem były wykłady, na które udawaliśmy się do głównego gmachu seminarium, i następujący bezpośrednio po nich obiad. Po obiedzie i przechadzce powracaliśmy do Kwadratu.

Skąd to oddzielenie? W założeniu pierwszy rok miał być tzw. annus propaedeuticus, rokiem przygotowawczym. W gładkich i owijanych w bawełnę słowach wytłumaczono nam, że ludzie przychodzący z zewnątrz nie mogą tak po prostu wejść w życie seminarium, bo nie wszystko by należycie zrozumieli. Trzeba ich przygotować, zrobić jakiś wstęp. Słyszałem nawet opinię jednego z księży, że dziś, w dobie „strasznego zeświecczenia”, należałoby przedłużyć ten czas przygotowawczy do dwóch lat.

Dla samych kleryków takie rozwiązanie miało jeden plus. Życia domu nie regulowali nam dziekani ani inni klerycy funkcyjni – ich funkcje obowiązywały tylko w głównym gmachu seminarium. Wszelkie dyżury, a więc sprzątanina, prace przy porządkowaniu terenu itp., musieliśmy urządzać sobie sami. Na początku zaaranżowano nam spotkanie z klerykiem drugiego roku, który szczegółowo wprowadził nas w to, co i jak jest do zorganizowania, jak funkcjonuje seminarium itd.

Z tego też względu pierwszy rok zjeżdżał się do seminarium prawie dwa tygodnie wcześniej. Chodziło o to, żeby gdy zaczną się wykłady, życie w Domu

Pierwszego Roku było już ułożone jak należy. Ponieważ zaś wszystkich tych żywotnych spraw uczyliśmy się w odosobnieniu, nic nas nie zaskoczyło, kiedy na drugi rok przeszliśmy do głównego gmachu seminarium (zwanego w skrócie Dużym Domem).

Pokoje były dwu- i czteroosobowe. Te dwuosobowe miały nie więcej niż dwa na cztery metry powierzchni, czteroosobowe były nieco przestronniejsze. Właściwie w tych drugich było nawet więcej miejsca na głowę niż w dwuosobówkach.

Oczywiście nikt nie wybierał sobie pokoju. Po przyjeździe zastaliśmy wizytówki z nazwiskami na drzwiach. Każdy miał zająć miejsce w tym pokoju, do którego został skierowany, i z takimi współmieszkańcami, jakich mu przydzieliła fantazja przełożonych. Zmiana pokoi i socjuszów następowała i w Dużym Domu, i u nas co semestr.

Pierwsze dni w seminarium to czas jednego wielkiego zastraszenia. Wszyscy chodzili niemal na palcach, wszyscy byli spięci, nikt nikogo nie znał i początkowo najbliżej siebie trzymali się ci, którzy pochodzili z jednego miasta czy regionu.

Naszym prefektem był ks. Marek L., też nowicjusz, dopiero co powołany na to stanowisko. Ojcem duchownym był zaś ks. Bogdan Ż.



Kwadrat, czyli rezydencja seminarzystów pierwszego roku WSD.



Ten drugi był chodzącą legendą. Jako jedyny w seminarium nie skończył żadnych studiów (z wyjątkiem tych w seminarium oczywiście), miał tytuł tylko magistra, a nie na przykład doktora. I mimo to mało było ludzi w diecezji z równymi mu wpływami i władzą. Nic dziwnego więc, że choć w czystej teorii zarządzaniem zewnętrznym miał się zajmować prefekt, a ojciec duchowny czuwać jedynie nad sprawami duchowymi, w praktyce to on niepodzielnie rządził w Domu Pierwszego Roku.

Był cholerykiem, który gdy chciał coś od jakiegoś kleryka, nie fatygował się, żeby iść do niego do pokoju. Po prostu stawał w drzwiach swojego mieszkania i wyrzaskiwał na całe gardło czyjeś nazwisko. Często urządzał przedstawienia polegające na tym, że udawał zasłabnięcie, na przykład w trakcie nabożeństwa. Robił to w celu zbadania, którzy klerycy służalczo podbiegną i zaczną się nad nim roztkliwiać, a którzy nie. Podczas kolacji, gdy był w nastroju, potrafił przemawiać do nas godzinami, zawsze tym samym tonem dobrego, choć surowego ojca, doświadczonego i przepełnionego mądrością.

Przychodziło mu to o tyle prościej, że jego kolega przełożony, prefekt, był człowiekiem cichym, bardzo spokojnym, a wręcz nieśmiałym. Podobno studiował na KUL-u fizykę i matematykę wyższą i już przez to był całkowicie wyalienowany w środowisku i księży, i przełożonych seminaryjnych. W końcu księża uważają nauki ścisłe za niepotrzebne bzdury.

Ojciec Bogdan stosował więc zasadę mniej więcej taką, jaką posługiwała się inkwizycja: sam oceniał, jak się kleryk sprawuje, a gdy ten nie wypadał w jego oczach dobrze, kiwał ręką na księdza prefekta, żeby czynił swoją powinność i albo zasądził jakąś karę, albo udzielił reprimendy. Ks. Marek czynił to zresztą z wyraźną odrazą. Z biegiem czasu miał coraz bardziej dosyć apodyktycznego, przyzwyczajonego do nieograniczonej władzy kolegi. Nie dziwię mu się. Pod koniec pierwszego roku, gdy nastała już wiosna, nieraz widzieliśmy naszego prefekta, jak odprawiwszy świeckiego pracownika, sam jeździł kosiarką po całym obszernym terenie, żeby uciec od stresu i seminaryjnej rzeczywistości.

Mówiło się, że to ojciec Bogdan ma decydujący głos w sprawie tego, czy dany kleryk po pierwszym roku przechodzi na drugi, czy ma się pakować i nie wracać. Oczywiście w założeniu było to niedopuszczalne, bo to u niego mieli się klerycy spowiadać, a więc tajemnica spowiedzi – znów: w założeniu – wiązała mu ręce.

W praktyce tajemnica spowiedzi jest wśród księży dość swobodnie traktowana. Sam byłem kilka lat później świadkiem rozmowy na obiedzie z udziałem kilkunastu księży, kiedy to jeden z nich z zupełną swobodą i bez żadnego zażenowania opowiadał o tym, kto i z czego się u niego spowiadał. Księża stosują przy tym różne wymówki, tłumaczą na przykład, że dopóki nie wymienia konkretnych grzechów podanej z imienia i nazwiska osoby, to wszystko jest w porządku. A więc jeśli ktoś na spowiedzi nie mówił księdzu o swoich grzechach, ale o problemach życiowych, to niejeden kapłan nie widzi nic niestosownego w tym, żeby co pikantniejszymi historyjkami się z kolegami podzielić. No i właśnie: z kolegami. Póki coś zostaje „w gronie kapłańskim”, to jest w porządku.

Piszę to ku przestrodze. Ludzie często mają mylne wyobrażenie o tym, na czym polega tajemnica spowiedzi. W literze prawa kanonicznego istotnie figuruje zapis, że za złamanie tej tajemnicy ksiądz ściąga na siebie ekskomunikę latae sententiae, a więc automatyczną. Złamanie tajemnicy spowiedzi według prawa obejmuje nie tylko powiedzenie komuś postronnemu o czyichś grzechach, ale też zdradzenie penitenta „w jakikolwiek sposób” „dla jakiegokolwiek przyczyny”. Problemem jest jedno słówko: ekskomunika spada na księdza, który „bezpośrednio” zdradzi tajemnicę spowiedzi. Jeśli nie zrobi tego „bezpośrednio”, to winien być tylko „odpowiednio” ukarany przez władzę kościelną. Nie muszę dodawać, że wielu księży uznaje, że dopóki nie powie literalnie wszystkiego i nie poda danych osobowych penitenta (nieważne, że i tak wszyscy słuchacze będą wiedzieli, o kogo chodzi), to nie zdradza tajemnicy spowiedzi „bezpośrednio”. A że zdradza to kolegom księżom, żadna kompetentna władza kościelna nie robi z tego afery ani nie ukarze „odpowiednio” takiego gaduły. Nawet gdyby osoba świecka dowiedziała się, że spowiednik wygaduje kolegom jej grzechy, nie zdoła tego udowodnić – żaden z księży nie zgodzi się być świadkiem w jej sprawie.

W praktyce więc ojcowie duchowni w seminarium mieli ogromne możliwości, żeby to, co słyszeli od kleryków w trakcie rozmów czy spowiedzi, przekazać władzy zewnętrznej seminarium. Ale przychodzącym do seminarium zastrachanym chłopaczkom, często z rozbitych rodzin, takim, którzy nie mieli ojców, mówiono, że ojcu duchownemu we wszystkim można zaufać, że jest on tylko po to, żeby służyć wsparciem i radą itd., itd.

Oczywiście bywali tacy ojcowie duchowni, co do których należy podejrzewać, że rzeczywiście się tych zasad trzymali. Niestety, nie dotyczy to wszystkich.

Ojciec Bogdan jest też znakomitą przykładem na coś, z czego ludzie świeccy nie zdają sobie sprawy. Chodzi o istnienie w Kościele wielowarstwowej hierarchii godności, honorów, pustych tytułów i realnej władzy i wpływów. Oto zwykły ksiądz, bez żadnego tytułu naukowego, trzęsie całym seminarium, władzami złożonymi z doktorów i urzędników kurii, a siedzący przy nim absolwent studiów, z których wszyscy łącznie z biskupami by z hukiem wylecieli za niekompetencję, musi być cicho i pokornie spełniać polecenia kogoś, kto zgodnie z literą seminaryjnego prawa do jego władzy wtrącać się nie może.

Trudno o lepszy obraz tego, jak według Kościoła powinna funkcjonować wszelka nauka.

Właśnie. Nauka. Program nauczania w seminariach jest tak ułożony, że przez pierwsze dwa lata dominują przedmioty filozoficzne, a przez następne cztery – teologiczne.

Trzeba Czytelnikowi wiedzieć, że jeśli chodzi o filozofię wykładaną w seminarium, to wciąż obowiązują postanowienia encykliki papieża Leona XIII Aeterni Patris z 1879 roku, nakazujące, by wykładaną w seminariach filozofią był wyłącznie tomizm. Dla Kościoła wszelka filozofia wypracowana później, a więc po XIII wieku, jest bzdurą, o której nie warto wspominać! Jeśli w nauczaniu zostanie przez wykładowcę omówiona, to tylko jako ciekawostka, podawana z komentarzem typu: „Patrzcie, jacy głupi ci Kant, Hegel, Nietzsche – po co wymyślać cokolwiek, skoro jest Tomasz z Akwinu!”.

W ramach przedmiotów filozoficznych nauczana była psychologia ogólna. Brzmi poważnie, ale treść nauki już poważna nie była. Szeroko omawiano koncepcje psychoanalizy Freuda, behawiorystów – nic o psychologii nowoczesnej, nic o osiągnięciach neurologii. Dla księdza człowiek jest prosty jak konstrukcja cepa, wystarczy pociągnąć odpowiednią psychiczną dźwigienkę i wierny powinien skakać jak małpa na sznurku.

Nauczano też metafizyki. Chodzi oczywiście o metafizykę Arystotelesa, którą właściwie bez zmian przejął Tomasz z Akwinu. Innej metafizyki według Kościoła nie ma. Nie uczyliśmy się o żadnych późniejszych koncepcjach natury rzeczy istniejących, a już na pewno nikt nie wspomniał, że sama metafizyka jest obecnie raczej zmurszałym reliktem czasów, gdy nikt nie znał na przykład właściwości cząstek elementarnych. A więc przyszłym księżom nadal mówi się, że wszystko, co istnieje, składa się z „materii” i „formy”, że jest coś takiego jak „substancja” i „przypadłości”, chociaż te wszystkie twierdzenia są już dawno przegrane w świecie, w którym naturę rzeczy odkrywa się na podstawie obserwacji i eksperymentu, a nie dumając w fotelu. Metafizyka jest o tyle zdyskredytowana jako nauka filozoficzna, że była ona pomyślana jako przedfizyka, czyli zbadanie najogólniejszych praw dotyczących rzeczywistości, a okazało się, że na żadne ze swoich pytań nie odpowiedziała, bo zrobiła to za nią zwyczajna fizyka. Ale o tym sza!

Historia Kościoła. Na pierwszym roku obejmowała ona mniej więcej czasy od Jezusa do reformacji. Oczywiście – zero kontrowersji. Zero informacji na temat tego, że istnieją różne wątpliwości co do historyczności Jezusa albo wydarzeń opisanych w Ewangeliach czy Dziejach Apostolskich. Od siebie dodam, że może to i lepiej. Wówczas historia Kościoła okazałaby się dla wielu kleryków nie do przeskoczenia. Był taki jeden, co na egzaminie twierdził, że Jezus urodził się w Nazarecie, a Poncjusz Piłat dokonał rzezi niewiniątek.

Nic nie mówiono o rozlicznych wątpliwościach i brakach w źródłach co do powstania Nowego Testamentu. O niejasnych początkach chrześcijaństwa.

Omawiany był, oczywiście jednostronnie, temat prześladowań chrześcijan, na poważnie mówiono o mistycznej wizji Konstantyna Wielkiego, o tym, jak to się cudownie nawrócił, itd. Na jednym z wykładów dowiedzieliśmy się o jakże „wstrętnej legendzie”, wymyślonej oczywiście przez „wrogów Kościoła” – legendzie o papieżycy Joannie.

Historię filozofii wykładał ksiądz, który szczerze filozofii nie cierpiał, ale biskup kazał mu ją studiować, a potem wykładać. Więc wykładał. Póki omawiał filozofów starożytności, wszystko szło jeszcze w miarę gładko. Podziwiał system filozoficzny Platona, Arystotelesa – dziś od dawna nieaktualne, choć piękne tak, jak piękne są wystawiane w muzeach starożytne rzeźby. Gdy przyszła pora na Tomasza z Akwinu, jego spuściznę myślową przerabialiśmy w zasadzie do końca roku.

Na drugim roku poznawaliśmy ze wspomnianym księdzem filozofię po Tomaszu z Akwinu. Do teraz pamiętam, jak zabrał się na wykładzie do omawiania Kanta. Przez chwilę coś ogólnikowo opowiadał, a potem nagle rzucił skrypt i rzekł:

– E tam, wiecie co? Nie chce mi się opowiadać o tych bzdurach. – Po czym puścił nam jakiś film o Janie Pawle II.

Ks. Marek L., nasz prefekt pierwszego roku, wykładał logikę i robił to nadzwyczaj dobrze, choć miał mało czasu na przerobienie materiału. Uczciwie w skrócie wyłożył zasady tej nauki i przez to zasłużył na szczerą niechęć wielu kleryków, którzy uważali te wykłady za niepotrzebne i nudne. A tak naprawdę narzekali na to, że nagle musieli się nauczyć czegoś konkretnego.

Z tego samego powodu nielubianym przedmiotem była łacina, traktowana z większą pogardą, ponieważ wykładowca był człowiekiem świeckim.

Jedynymi praktycznymi przedmiotami były wspomniana wcześniej muzyka oraz fonetyka prowadzona przez emerytowanego aktora. Właściwie były to lekcje dykcji i poprawnego wysławiania się. Co do muzyki, to wykładowca, dyrygent chóru ks. Piotr Dębski, był bardzo wymagający: nauczył nas dokładnie systemu zapisu nutowego, po czym wymagał, żeby umieć na pianinie jednym palcem

odtworzyć z nut zadaną melodię. Na pierwszym roku ćwiczyliśmy też co popularniejsze pieśni kościelne: je również trzeba było umieć odśpiewać na zaliczenie, bez fałszowania, część z pamięci, część z nut. Oczywiście nasuwa się pytanie: co z osobami niemuzycznymi? Ks. Piotr odwołał się do Ewangelii i przypowieści o talentach. Ponieważ przesłuchał każdego z pierwszorocznych, orientował się, kto jakie ma zdolności muzyczne. Jak to powiedział:

– A więc jeśli ktoś z was ma jeden talent, będzie mi musiał pod koniec roku przynieść dwa. A kto ma dziesięć, będzie mi musiał przynieść dwadzieścia.

Liczyła się więc praca, którą każdy wykonał. I trzeba powiedzieć, że ani razu nie widziałem ani nie słyszałem, żeby ks. Piotr kogokolwiek potraktował niesprawiedliwie. Naprawdę wymagał tyle, na ile każdego było stać, ale wymagał stanowczo. Klerycy szczerze nienawidzili tego przedmiotu z tego samego powodu, dla którego utyskiwali na łacinę i logikę. Trzeba było wykonać rzeczywistą pracę.

I tutaj muszę powiedzieć o żenującym poziomie intelektualnym większości kandydatów do kapłaństwa. Jestem pewien, że gdyby wziąć przeciętnego studenta fizyki, chemii czy biologii i kazać mu zdać przedmioty nauczane w seminarium, zdołałby tego dokonać bez najmniejszego problemu. W ogromnej większości przypadków wystarczyło słuchać wykładów, a potem odtworzyć profesorowi (niemal wszystkie egzaminy były ustne – sic!) jego samego: jego powiedzonka, to, co go najbardziej obchodziło w jego własnym przedmiocie, i zaliczenie było gwarantowane.



Dziś studiuję biologię i widzę czarno na białym potworną wręcz przepaść ziejącą między teologią a naukami przyrodniczymi, między tym, jak traktowani jesteśmy jako studenci biologii, a tym, jak traktowano seminarzystów.

Nigdy, ale to nigdy nie zapomnę w tym kontekście jednego z konwersatoriów z ekologii na moim obecnym Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Każdy ze studentów miał przygotować trwające mniej więcej kwadrans wystąpienie o jednym z gatunków ssaków chronionych w Polsce. Przygotowałem referat o wilkach. Wstrząsu doznałem, gdy utytułowany starszy i zasłużony profesor, naukowiec, z wielkim szacunkiem i zainteresowaniem odniósł się do mojej, studenta pierwszego roku, wiedzy. Rozmawiał ze mną jak z kolegą ekspertem, przyznawszy, że wilki nie są jego dziedziną i chętnie się czegoś ode mnie dowie.

Nie zapomnę tego, bo tak potworny to był kontrast ze sposobem traktowania nas na wykładach z bełkotu, jakim jest teologia. Dziedzina, w której niczego nie trzeba udowadniać, wystarczy mieć autorytet wynikający z tego, że się spędziło ileś tam lat na KUL-u czy w Rzymie, z tego, że jest się wyżej czy niżej w łaskach biskupa, a wtedy każde zdanie, które się wypowie, jest i musi być przez podwładnych traktowane jako święta prawda. Autorytet zaś swoich twierdzeń udowadniać nie musi.

Dzisiaj biologia jest moją pasją i miłością tym większą, że doznałem fałszu, jakim jest nazywanie teologii nauką, podczas gdy jest ona dowolną i zależną od wpływów i władzy – a nie od prawdy! – luźną refleksją nad czymś, czego istnienia doświadczyć nie można.

Jeszcze raz powiem też: byłem potwornie zdumiony, gdy zobaczyłem, z jaką łatwością przychodzi mi zdawać wszystkie egzaminy w ciągu całego pobytu w seminarium. I nie mniej zdziwiła mnie trudność, z jaką to przychodziło większości kleryków. Jestem pewien, że moje koleżanki i koledzy z liceum czy moi

współstudenci biologii przewyższają o kilka rzędów wielkości inteligencję przeważającej większości tych, którzy do seminarium wstępują.

Ale – o dziwo – przełożeni bardzo, ale to bardzo nie lubią, gdy ktoś ma dobre wyniki na studiach. Wciąż podkreślali, że najlepsi księża to ci, którzy byli mierni w seminarium. Że ci, którym z trudnością przychodziło zdawać egzaminy, byli najpobożniejsi i najposłuszniesi. I przeciwnie, że ci z najlepszymi wynikami są najpewniej pełni pychy i takich należy z seminarium usuwać.

Pamiętam do dziś, jak rektor niemal ze łzami w oczach, sam się wzruszając własnymi słowami, polecał nam modlitwę do św. Józefa z Kupertynu jako patrona tych, którzy mają trudności w nauce. Mówił, że wszyscy powinniśmy się do niego modlić, bo jeżeli ktoś nie ma trudności w nauce, to jest pyszałkiem i powinien z seminarium odejść.

Z tego powodu przełożeni, o których skądinąd wiadomo było, że w seminarium mieli wcale przyzwoite oceny, z zakłamaną pokorą wyznawali nam, jak to byli „w górnych poziomach stanów średnich co najwyżej”.

Fatalnie dla mnie nie zrozumiałem – bo w głowie mi się to nie mieściło! – że w seminarium i w Kościele w ogóle po prostu opłaca się być głupcem. Byle głupcem posłusznym.

Był taki przedmiot, zdawałoby się bliski prawdziwej nauce, a mianowicie archeologia i geografia biblijna. Tak naprawdę nazywanie tego, co na tym przedmiocie studiowaliśmy, archeologią jest straszliwym nieporozumieniem. Na przykład wykładowca z całą powagą twierdził, że Smenchkare, współregent faraona Echnatona, to nikt inny jak biblijny Józef, mimo że nie ma na to najmniejszych nawet dowodów, a ogólnie przyjęte – także przez naszego wykładowcę! – datowanie wydarzeń biblijnych wyklucza tę możliwość. W ogóle mówienie o wielu wydarzeniach biblijnych jako o historycznych faktach w każdym uczciwym badaczu będzie budziło co najmniej poważne zastrzeżenia, ale w seminarium nie wolno ich mieć.

Na marginesie dodam, że wykładowca ten był dyrektorem administracyjnym seminarium, po naszym drugim roku odszedł jednak na parafię. Od jednego ze starszych kolegów, który po święceniach został jego wikarym, dowiedzieliśmy się, że świeżo upieczony proboszcz pewnego sobotniego wieczoru kazał mu z naręczem dachówek udać się na wieżę kościelną i zrzucić je na plac przed kościołem. A wszystko po to, żeby, jak twierdził były dyrektor administracyjny seminarium, ludzie idący na niedzielną mszę zobaczyli te potłuczone dachówki i dali większą ofiarę na remont dachu.

Wspomnę jeszcze o całej grupie przedmiotów z pierwszego roku, które przedmiotami właściwie nie były – stanowiły, ściśle mówiąc, luźne pogadanki. Mówię o grupie przedmiotów zwanych wspólnie „Wprowadzeniem do chrześcijaństwa” rozbitym na działy: liturgia, życie chrześcijańskie, wiara, modlitwa. Są to swego rodzaju uzupełnienia, na wypadek gdyby wstępujący do seminarium nie wiedział, na czym właściwie polega chrześcijaństwo. Zabawne, że w kraju, gdzie w obowiązkowej szkole jest więcej lekcji religii niż biologii czy fizyki, takie „uzupełnienie” jest potrzebne. Nie będę tutaj odkrywcą – już wiele głosów zarówno ze strony kościelnej, jak i pozakościelnej zauważa, że wprowadzona po upadku komunizmu katecheza w szkole nie spełnia swoich zadań.

Pierwsze pół roku w seminarium upłynęło pod hasłem nieustannej wojny o higienę. Do uczelni wstępuje wiele osób, które, mówiąc wprost, nie mają w zwyczaju się myć. Niektórzy z kolei robią to, ale nie tak, jak trzeba.

Był wśród nas na przykład taki kolega, który odznaczał się wyjątkowo śmierdzącym potem, a na domiar złego nie używał ani mydła, ani szamponu, spłukiwał się tylko gorącą wodą, a odór po prostu z niego parował. W pokoju nie dało się wytrzymać. Unoszący się w powietrzu fetor można by porównać do gnijącej cebuli wymieszanej ze zjełczałym masłem. Przez miesiąc prowadziliśmy z resztą mieszkańców czteroosobowego lokum dochodzenie, co może być przyczyną takiego smrodu. Podejrzewaliśmy z początku, że to gołąb wpadł do przewodu wentylacyjnego, bo któryś ze starszych kleryków zasugerował, że od czasu do czasu coś takiego się zdarza.

Gdy dociekliśmy, o co chodzi, kupiliśmy wspólnie szampon i dwa mydła i postaviliśmy delikwentowi na biurku. Gdy to zobaczył, zapytał:

– Co to jest?

– Test na inteligencję – odpowiedzieliśmy.

Kolega miał bardzo ciężki pomyślny, ale po mniej więcej godzinie rozważania tego, co powiedzieliśmy, zrozumiał.



Furta kompleksu budynków kurii i WSD.

Nie tylko my mieliśmy taki problem. W innych pokojach też dochodziło do takich sytuacji, a szczególnie cierpieli mieszkańcy dwuosobówek – taki bowiem kleryk był sam na sam z niemiłym towarzyszem. Oczywiście nie wchodziło w grę powiedzenie komukolwiek: „Człowieku, śmierdzisz, idź się umyć! Wypierz gacie!” – bo a nuż poszedłby poskarżyć się przełożonym? Z opowiadań starszych wiedzieliśmy, że z załatwianiem takich spraw nie ma co na przełożonych liczyć i że ci przeważnie staną po stronie śmierdziela. Nam akurat udało się to rozwiązać

w miarę spokojnie. Nie każdy jednak potrafił i nie każdy miał możliwość tak zrobić.

To rodziło frustrację. A frustracja sprawiała, że większość postanawiała po prostu przecierpieć te pół roku do czasu zmiany pokojów, a póki co – ulżyć sobie, obgadując socjusza za plecami, ile wlezie.

Co więcej, to wchodziło w krew. Całe seminarium, od nieopierzonego pierwszorocznego po diakona, plotkowało jak przysłowiowe wiejskie kumoszki. A im złośliwsze były te plotki, im bardziej pikantne, tym większe uznanie zyskiwał ten, kto je rozgłaszał. Niektóre seminaryjne kariery na tym urosły.

Coś niecoś jednak niektórzy przełożeni w tej kwestii działali. Wspominali o higienie, a ojciec Bogdan potrafił odmówić podania komunii świętej klerykowi, który nie byłby należycie ogolony. Z wolna więc ci o niskim poziomie higieny przechodzili od pozorów (golenie się) do przynajmniej podstawowego dbania o siebie. Mało tego, na im wyższym roku byli klerycy, tym bardziej nabierali „kapłańskich” manier. Swego czasu głośna była w seminarium sprawa, gdy któremuś z kleryków piątego roku zginęła butelka perfum za trzysta złotych.

W drugim semestrze pierwszego roku ustały więc już spory o sprawy higieniczne, rok się dotarł, zintegrował. Wtedy dowiedzieliśmy się o podziale diecezji. Decyzją Jana Pawła II utworzono w Polsce nową diecezję w Świdnicy. Objęła ona część dotychczasowej archidiecezji wrocławskiej i część naszej – legnickiej. Podział kleryków odbył się w taki sposób, że klerycy pochodzący z parafii włączonych w granice nowej diecezji przenosili się do niej. A nowo mianowany biskup diecezji świdnickiej, bp Ignacy Dec, zarządził, że do czasu utworzenia seminarium diecezjalnego jego alumni uczyć się będą we Wrocławiu.

W ten sposób mieliśmy pożegnać siedmiu kolegów. Przy okazji doszło do pewnego incydentu dużo mówiącego o naszym ojcu duchownym Bogdanie. Było to w dniu, gdy podział diecezji i jego zasady nam ogłoszono. Podczas kolacji jeden z nas rzucił uwagę – zwykłą ludzką uwagę – że szkoda, że będziemy musieli pożegnać niektórych kolegów. Na to ojciec Bogdan zaczerwienił się jak burak, rzucił sztućcami i wybuchnął straszliwym wrzaskiem:

– Jakbyś nie był na pierwszym roku, to już byś wyleciał! Ty Kościoła nie rozumiesz! Nic nie rozumiesz!

Inna zapamiętana sytuacja pokazująca, pod rządami jakiego człowieka na pierwszym roku się znaleźliśmy, miała miejsce przy okazji problemu z telefonami komórkowymi.

Jak już wspomniałem, posiadanie w seminarium telefonu komórkowego było surowo zabronione. Kilku z nas jednak przywiozło ze sobą te pożyteczne urządzenia. Któregoś razu ojciec Bogdan brzęknął na śniadaniu dzwonkiem i przemówił:

– Wiem, że niektórzy z tutaj obecnych – powiódł po nas wzrokiem spragnionego krwi tygrysa – posiadają, wbrew wyraźnemu zakazowi, komórki. BARDZO PROSZĘ, żeby ci, o których mówię, zgłosili się po śniadaniu do księdza prefekta.

Trzech kleryków tak zrobiło. Ksiądz Marek przyjął ich w żartobliwym, luźnym tonie i zasugerował, żeby lepiej się kryli przed ojcem Bogdanem. W tym momencie jak diabeł z pudełka do mieszkania księdza prefekta, niby to przypadkiem, wpadł ojciec duchowny.

Przedstawienie, które urządził, przeszło do historii seminarium. Staął w drzwiach, wyciągnął trzęsącą się rękę, zbladł i rzekł drżącym cichym głosem:

– Ty?... I ty? I... ty? – A potem zachwiał się, oparł o komodę i rozpiął kolaratkę. Zaczerwienił się, zaczął ciężko oddychać. – Marku, podaj mi wody – zacharczał głosem umierającego. A potem dodał: – Tak to jest, jak przyjaciele... tak, przyjaciele! Wbijają ci nóż w plecy...

Taki to był człowiek. Nie on jeden zachowywał się – nazwijmy to – niekonwencjonalnie. Spokojnie można go jednak umieścić pod tym względem w ścisłej czołówce. Przypomina mi się jeszcze jedno wydarzenie.

W drugim semestrze zostałem wybrany na wiceseniora roku. Do obowiązków seniorów należało także zbieranie wśród kolegów pieniędzy na kwiaty, gdy któryś z przełożonych miał imieniny. Tak się składało, że podówczas było w seminarium

aż pięciu przełożonych lub rezydentów, urzędników kurii, którzy nosili imię Marek, w tym nasz prefekt. 25 kwietnia trzeba więc było przygotować aż pięć wiązanek kwiatów dla solenizantów, i to na rano. Z okazji bowiem tych imienin mieliśmy wyjątkowo udać się na poranną mszę do Dużego Domu, a po niej wręczyć bukiety wszystkim pięciu Markom. Kupiliśmy więc z kolegą seniorem roku wiązanki na przechadzce poprzedniego dnia i wstawiliśmy je na noc do wody. Musieliśmy przeszukać całą zakrystię, żeby znaleźć naraz pięć wazonów.

Następnego dnia w pośpiechu zabraliśmy wszystkie bukiety i popędziliśmy na mszę do głównego budynku seminarium. Po mszy zostawiliśmy tam na śniadanie, wykłady... To wszystko sprawiło, że zapomnieliśmy o pozostawionych w zakrystii flakonach i nie sprzątnęliśmy ich natychmiast po powrocie.



Kamienica zajmowana przez seminarzystów w kompleksie budynków kurii
i WSD.

Pamiętam do teraz, że po powrocie z przechadzki udałem się pod prysznic. Będąc już w kabinie, usłyszałem dobiegający z zakrystii piętro niżej potworny wrzask ojca Bogdana:

– Samborskiiii! Flakony! FLAKOOOOOOOONY!!!

Nie ruszyłem się z miejsca. Ojciec Bogdan więc zaczął wywrzaskiwać nazwisko mojego kolegi, seniora roku. On na swoje nieszczęście żadnej wymówki nie miał, musiał przybiec i wysłuchać ordynarnych wrzasków przełożonego. Od tego czasu nasz rocznik przezywał ojca Bogdana: „ojciec Flakon”.

Nieraz zdarzało się, że ojciec Bogdan wracał z Rady Moderatorów czy innego spotkania z przełożonymi mocno podpity i następnego dnia symulował, że jest poważnie chory, a cały nasz rocznik miał obowiązek się nad nim roztkliwiać. Ścigał bezwzględnie każdego kleryka, który by się odważył na przykład w czasie drogi z Kwadratu do Dużego Domu palić papierosy, choć sam w nocy wychylał się przez okno i palił jednego za drugim.

Siłą rzeczy osobowość tego jegomościa odciskała piętno na każdym aspekcie życia pierwszego roku, czyniąc je zwyczajnie nieznośnym.

Chciałbym przy okazji opowiedzieć historię jednego z moich kolegów z pierwszego roku, Wojtka S., albowiem jego losy są świetną ilustracją tego, jak machina kościelna działa i jak bardzo różni się od jej propagandowych przedstawień.

Wojtek po pierwszym roku odszedł do seminarium we Wrocławiu, pochodził bowiem z miejscowości, która znalazła się w granicach nowej diecezji świdnickiej. Seminarium ukończył i dostał przydział jako wikary do jednej z parafii w Kotlinie Kłodzkiej.

Już w seminarium lubił po kryjomu słuchać cięższej muzyki, zwłaszcza Rammsteina. Miał pomysł na to, żeby użyć jej w celu przyciągnięcia młodych ludzi

do wiary. Jak pomyślał, tak zrobił i zorganizował heavymetalowy zespół religijny o nazwie Apostolos.

Jego inicjatywa szybko się rozwinęła. W niektórych lokalnych gazetach, a nawet w jednym z wydań „Gościa Niedzielnego”, można było przeczytać wzmianki o młodym księdzu, który taką inicjatywą stara się dotrzeć z religijnym przesłaniem do młodych ludzi.

Niestety wpadł na pomysł, żeby na koncertach występować nie w sutannie czy garniturze z koloratką, zupełnie zresztą do takiej stylistyki niepasujących, ale po świecku.

To był, o ile wiem, początek jego problemów z przełożonymi kościelnymi. Co gorsza, we wzmiankowanym artykule z „Gościa Niedzielnego” przytoczono jego wypowiedź, w której napomknął – ale naprawdę tylko napomknął! – o niezrozumieniu ze strony przełożonych.

Zespół został rozwiązany, jego profil na Facebooku jest od wielu lat nieaktualizowany, a sam ks. Wojciech zniknął ze spisów diecezjalnego duchowieństwa i ślad po nim zaginął.

To jest coś, czego doświadczaliśmy niemal od początku seminarium przez cały czas jego trwania, a co dotyczy także całego późniejszego życia duchownego. Otóż z reguły ktoś, kto seminarium czy później kapłaństwo opuszcza, znika. Przestaje istnieć dla kolegów, często boi się i ukrywa, znika z internetu, wyjeżdża z kraju. Potęga Kościoła wciąż potrafi zniszczyć, ewaporować niczym w powieści Orwella ludzi, którzy odważą się nie ukrywać, nie bać, nie płaszczyć, którzy ośmielą się nie zniknąć.

Dzisiaj po latach, gdy próbuję dociekać losów niektórych znajomych księży czy kolegów z seminarium, okazuje się to bardzo trudne, a czasem wręcz niemożliwe. Wyżej przytoczoną i niepełną historię Wojtka poznałem po długiej kwerendzie, niemożliwej do przeprowadzenia dla kogoś, kto nie był w seminarium, kto nie znał żyjących tam wtedy ludzi – taki człowiek po prostu nie miałby pojęcia, czego

i gdzie szukać. A przecież nawet dla mnie dotarcie do pełnej prawdy o tamtych wydarzeniach okazało się niemożliwe.

Ciężka seminaryjna atmosfera sprawia, że pierwszy dzień wakacji, dzień wyjazdu, jest dla kleryków niemalże mistycznym przeżyciem. Przynajmniej dla części z nich. Sprawa bowiem nie jest taka prosta.

Wakacje dla kleryka nie do końca są wakacjami. Ci po pierwszym, drugim i trzecim roku musieli na dwa tygodnie pojechać na jakąś organizowaną przez Kościół kolonię dla dzieci, rekolekcje oazowe albo obóz harcerski – w wiadomym celu. Znowu chodzi o to, żeby klerycy rekrutowali – czy im się to podoba, czy nie – kolejnych kandydatów. Następne dwa tygodnie każdy z kleryków tych roczników musiał spędzić w seminarium: po dwóch w wyznaczonych terminach przyjeżdżali klerycy trzeciego roku, żeby obsługiwać przez czas wakacji furtę seminaryjną, a klerycy pierwszych dwóch roczników – na tzw. grupę roboczą, która sprzątała seminarium i wykonywała rozmaite prace, także te bezsensowne.

Na przykład my po ukończeniu pierwszego roku byliśmy kierowani do pomocniczych prac przy remoncie niewielkiego dworku na terenie nieopodal Kwadratu, siedziby Caritasu, Kanclerza i Domu Księży Emerytów. Wtedy też wyszło na jaw, w jakim celu diecezja remontuje ten pałacyk.

Okazało się, że dotychczasowy biskup odchodzi w przyszłym roku na emeryturę. Postanowił więc sobie przygotować lokum na stare lata. I to nie lada jakie! Dworek był wyposażony jak sporych rozmiarów centrum biznesowo-konferencyjne. Niektórzy szeptali, że ustępujący biskup ma nadzieję po odejściu nadal pociągać za sznurki i dlatego potrzebuje takiej siedziby – okazalszej niż normalna rezydencja urzędującego biskupa diecezjalnego.

To, jak klerykowi upływała reszta wakacji, zależało od proboszcza jego rodzinnej parafii. Po każdorazowym przyjeździe do domu kleryk musiał się zameldować na plebanii. Niektórzy koledzy mieli bardzo uciążliwych proboszczów, którzy wymagali od nich, żeby praktycznie cały czas, dzień po dniu spędzali na parafii. Innym księżom wystarczyło to, że kleryk pokazał się raz dziennie na mszy.



Brama wjazdowa i dworek na terenie Caritasu, remontowany przez kleryków na potrzeby emerytowanego biskupa legnickiego.

Rok drugi

Pierwszy rok zakończyliśmy w sposób niezwykły: nikt od pierwszego dnia aż do ostatniego nie odszedł z seminarium. Zakończyliśmy rok w takim składzie, w jakim go zaczęliśmy. Z początkiem drugiego roku uległo to zmianie. W związku z podziałem diecezji siedmiu z nas odeszło do archidiecezjalnego WSD we Wrocławiu. Dodatkowo dwóch odeszło po ledwie kilku dniach spędzonych na drugim roku w Dużym Domu. Tym samym zostało nas szesnastu.

Zwyczajem w Dużym Domu było to, że im młodszy byli klerycy, tym wyżej mieli pokoje. Rok wcześniej w seminarium było aż stu dwudziestu mieszkańców, więc drugi rok zajmował pokoje na ostatnim, czwartym piętrze. Na skutek podziału diecezji liczba kleryków znacznie się zmniejszyła i od tego czasu czwarte piętro zostało wyłączone z użytku, a my zajęliśmy trzecie i część drugiego.

Człowiek to istota stadna. Czyli ciągnie go do życia w stadzie – stadzie, a nie roju. Dlatego w każdej społeczności liczącej więcej niż kilkanaście osób zaczynają się tworzyć paczki z kolegów, którzy najbardziej sobie przypadają do gustu i wolą przebywać raczej ze sobą niż z innymi. Nie inaczej było z nami.

Przełożeni jednak bacznie obserwują powstawanie wszelkich przyjaźni czy więzów zaufania wśród kleryków i starają się takie paczki porozsadzać po różnych pokojach, najlepiej z takim socjuszem, o którym wiedzą, że dany kleryk się z nim nie lubi.

My jednak byliśmy nowi, przełożeni jeszcze nas nie znali, dodatkowe zamieszanie wprowadził podział diecezji – i dlatego popełnili błąd.

Na trzecim piętrze był taki pokój, którego drzwi w przeciwieństwie do innych nie wychodziły bezpośrednio na korytarz. Były oddzielone czymś w rodzaju przedsionka, w którym stała szafa pełniąca funkcję dodatkowego kantorka na szmaty i środki czystości. Sprawiało to, że pokój ten zwykle uchodził uwagi

przełożonych dyżurnych. Nocne rozmowy w każdym innym pokoju byłyby niemożliwe, bo przełożony usłyszałby z korytarza najcichszy szept. W tym jednym przedsionek i szafa skutecznie tłumiły wszelkie dochodzące ze środka odgłosy.

I ten to właśnie pokój zajęło dwóch z paczki, do której i ja należałem. Był to wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, który miał się już nigdy w żaden sposób nie powtórzyć. Nie muszę mówić, że my, jak to młodzi, wykorzystaliśmy ten błąd przełożonych do cna. Mimo że było ściśle strzeżoną tajemnicą to, który przełożony którego dnia ma dyżur, my się tego dowiedzieliśmy. Wiedzieliśmy też, że rektor przechodzi wzdłuż pokoiów raz, może dwa razy do roku. Wicerektor – nigdy. Dyrektor administracyjny zaś i dwóch pozostałych prefektów chodzą zawsze. Wiedzieliśmy więc, które dni są bezpieczne. Na przechadzce zatem co jakiś czas kupowaliśmy piwo lub nawet wódkę, schładzaliśmy ją w rynnie pod oknem wiadomego pokoju i urządzaliśmy sobie w czasie zakazanym posiadówki.

Jeśli ktoś czuje się zgorszony tym, co napisałem, to przepraszam. Ale byliśmy młodzi. Wstąpiliśmy do seminarium, mając – my akurat – jakieś ideały. Pierwszy rok brutalnie nam pokazał, że o żadne ideały w seminarium nie chodzi. Że nie chodzi tu o żadną wiarę, teologię, kontakt z Bogiem czy dobroć, uczynność i chrześcijańską miłość. Chodzi tylko i wyłącznie o posłuszeństwo. Ksiądz ma być BMW – Bierny, Mierny, ale Wierny.

Przyjeliśmy to, bo musieliśmy, jeśli chcieliśmy zostać księżmi. Każdy z nas łudził się, że po seminarium, na parafii, z dala od dzwonek i wszechobecnej inwigilacji ze strony przełożonych będziemy mogli wreszcie realizować to, o czym marzyliśmy, gdy tu wstępowaliśmy.

Póki co ci, którzy nabrali do siebie zaufania, starali się wzajemnie wspierać. Trzymać się razem. Póki mogli. Póki jeszcze oko przełożonych nie zauważyło tego i nie postarało się jak najszybciej takie paczki rozbić, skłócić, sprawić, żeby każdy każdego obserwował i każdy na każdego donosił.

Tak: donosił. Seminarium opiera się na donoszeniu. Któregoś razu na piątkowej konferencji ascetycznej jeden z ojców duchownych całkiem poważnie powiedział:

– Jeśli widzisz, że twój współbrat z pokoju nie gasi światła czy rozmawia, odwiedza innych w pokojach po dwudziestej drugiej, i nie powiesz o tym przełożonym, to jest to grzech i trzeba się z tego spowiadać. To grzech zaniedbania miłości do bliźniego. Bo widzisz, że twój współbrat grzeszy, a nie wzywasz Kościoła, który ma władzę upominania, naprawiania, żeby zawrócił go ze złej drogi. Tym samym stajesz się współwinny tego grzechu. Tak więc, jak widzicie, to, że ktoś powie przełożonemu o złym zachowaniu innego kleryka, to nie jest donosicielstwo. To jest realizowanie w praktyce miłości bliźniego!

Jeszcze tego nie wiedzieliśmy, ale słowa tego ojca duchownego nie dotyczyły tylko seminarium. Dotyczyły całego Kościoła. Na tym właśnie się on opiera, na tym bazuje w codziennym funkcjonowaniu. To, co weszło klerykom w krew w seminariach, zostaje w nich jako księżach. Szybko więc jeden na drugiego zdobywa haki. Szybko dochodzi do sytuacji, gdy nikt nikomu nie może ufać. Dlatego tak wielu księży pije do lustra i staje się alkoholikami. Robią to z samotności, żeby odegnąć strach, który przeżywają za każdym razem, gdy rozmawiają z którymkolwiek innym księdzem, bo cały czas muszą uważać na to, co powiedzą i co zrobią. Wszystko może być wykorzystane przeciwko drugiemu, a za donosicielstwo w Kościele są wielkie nagrody. Wpływy. Władza. Zaufanie i przychylność wysokich urzędników kurii oraz biskupów.

My jednak byliśmy na drugim roku. Dopiero zaczynaliśmy. Władza przełożonych jeszcze nie zdołała nas zdeformować i zachowywaliśmy się – na ile to było w całej tej patologii możliwe – jak inni studenci w naszym wieku. Psociliśmy, czasami siadaliśmy przy piwie czy wódce, czasami jeden do drugiego przychodził, gdy miał problem lub zmartwienie, by zasięgnąć rady i wsparcia.

Dlatego to pierwsze półrocze drugiego roku było moim najszcześliwszym czasem w seminarium. Czasem, który w żaden sposób się już nie powtórzył.

Naszym nowym prefektem został ks. Piotr G. – kolejny nowicjusz, dopiero co powołany na stanowisko. W przeciwieństwie do ks. Marka był niezwykle wierny zasadom i przepisom seminaryjnym, ale za to łatwo było go ograć, bo my byliśmy

tutaj dłużej od niego. No i nie mieliśmy nad sobą ojca Bogdana, który pozostał w Domu Pierwszego Roku.

Zaraz na początku roku nasi nowi seniorzy wpadli na moim zdaniem wspaniały pomysł. Stwierdzili, że po tym, jak aż dziewięciu z nas opuściło rok, potrzebne nam jest coś w rodzaju ponownej integracji. Poprosili więc rektora, żeby wyjazd roku, ten, który zwykle dany rocznik urządzał sobie w maju, dla nas odbył się w długi weekend z okazji 11 listopada. Rektor dał pozwolenie.

Pojechaliśmy do Szklarskiej Poręby, gdzie seminarium utrzymywało własny ośrodek wypoczynkowy – w praktyce wykorzystywany podczas organizowanych przez Kościół kolonii dla dzieci czy na podobne cele. Chodziło oczywiście o to, żeby cały wyjazd kosztował jak najmniej.

W trakcie samego wyjazdu można było zaobserwować bardzo ciekawe zjawisko. Przez tych kilka krótkich dni nagle wszyscy, nawet najwięksi dziwacy, zaczęli się zachowywać jakby zwyczajnie, jak zwykli młodzi chłopcy u progu studiów. Przez trzy dni był z nami tylko jeden niedoświadczony przełożony, czyli nasz nowy prefekt. Przez trzy dni widać było, że seminarium jeszcze nie uśmierciło w nas zwyczajnych ludzi.

W ciągu następnych lat też dokądś wyjeżdżaliśmy. I z roku na rok można było zaobserwować, że coraz bardziej wszyscy „kleryczeliśmy” – coraz mniejsza była różnica między zachowaniem w seminarium a poza nim.

Pod względem studiów drugi rok to ciągle przedmioty z zakresu filozofii chrześcijańskiej. Psychologia rozwojowa zaznajamia kleryków z historią różnych koncepcji rozwoju człowieka: a więc tego, jak wygląda psychika dzieci, nastolatków, dorosłych, ludzi starszych. Oczywiście jeden rok nie wystarczy, żeby ten temat poznać odpowiednio głęboko, a zaledwie na tyle, żeby przyszły ksiądz – hipotetycznie – umiał zróżnicować to, w jaki sposób się zwraca do grup ludzi w różnym wieku. Niestety studia z tego przedmiotu były raczej powierzchowne, co gorsza, jeśli dawały o czymś naprawdę spore pojęcie, to o psychice dzieci i nastolatków. Piszę „co gorsza”, ponieważ dla księdza o skłonnościach pedofilskich czy efebofilskich taka wiedza jest niezwykle przydatna.

Wielu ludzi się dziwi, dlaczego ofiary przestępstw seksualnych ze strony duchownych wyjawiają swoje przeżycia najczęściej po wielu latach. Ludzie dziwią się, dlaczego wysportowany nastolatek tak łatwo ulega sflaczałemu księdzu, dlaczego dzieci boją się mówić rodzicom o aktach przemocy seksualnej czy molestowania przez duchownych.

Uwierzcie mi, uprawiana w seminariach psychologia daje wystarczająco dużo narzędzi do tego, by duchowny mógł takich rzeczy dokonywać. Co gorsza, wielu kleryków doksztalca się w temacie samodzielnie, zachęcanych do tego przez przełożonych, wykładowców i starszych kolegów. Dlaczego? Weźmy pod uwagę to, o czym pisałem w pierwszej części tej książki, gdy opowiadałem o tym, kto do seminarium wstępuje. Wielu kleryków to ludzie, którzy na dzieci i młodzież szkolną spoglądają przez pryzmat swoich doświadczeń ze szkoły, a często są to doświadczenia synów z niezamożnych domów, odsuniętych na boczny tor lub nawet dręczonych przez rówieśników. Wielu kleryków patrzy więc na młodzież szkolną z pewną dozą strachu lub niechęcią. Z góry zakładają, że na katechezie przyjdzie im się mierzyć z nieledwie pomiotami diabła. Po prostu się ich boją. Tym silniej uciekają się do wiedzy z zakresu psychologii, gdyż ta oferuje cały wachlarz metod manipulowania ludźmi. A niestety dziećmi i nastolatkami manipulować bardzo łatwo.

Któryś z kolegów zdobył egzemplarz *Erystyki*, czyli sztuki prowadzenia sporów Schopenhauera. Bardzo szybko stała się ta książka seminaryjnym bestsellerem. Wbrew wyraźnie zaznaczonej przez autora intencji klerycy traktowali ją jako zbawienny elementarz chwytów retorycznych, z których należy korzystać w kontaktach ze świeckimi. Strach przed ludźmi spowodował, że nikt nie widział nic złego w uciekaniu się do *erystyki*, a więc manipulacji, wykorzystywania słabości ludzkiej psychiki w miejsce rzeczowej i logicznej dyskusji. A przekonanie kleryków, że jako przyszli kapłani Kościoła katolickiego posiadają dostęp do pełni prawdy, sprawia, że sama idea prowadzenia merytorycznej dyskusji przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. W końcu ten, kto jest nieomylny, dyskutować nie musi. To,

co mówi, i tak jest prawdą, więc czy oponenta przekona logiką, czy przemocą – nie ma znaczenia.

Spotkałem wielu księży, którzy w sztuce manipulacji doszli do mistrzostwa. Co gorsza, ze swojej umiejętności korzystali bez przerwy – w kazaniach, podczas spowiedzi i na katechezie.

Historia Kościoła na drugim roku zaczynała się do dzisiaj pamiętnym dla mnie wykładem: „Przyczyny reformacji”. Wykładowca wymienił nam ich chyba ze trzydzieści. Z całą powagą nauczał, że jedną z nich było „niezrównoważenie psychiczne” Marcina Lutra oraz to, że nie mógł on sobie poradzić ze ślubem czystości. Mało tego, wykładowca sugerował, że Marcin Luter był próżnym, zarozumiałym i opętanym przez diabła złoczyńcą, który rozbił jedność Kościoła, podczas gdy powinien wykazać się – a jakże! – posłuszeństwem.

Każda okazja była dobra, żeby przypomnieć klerykom o tej najważniejszej z kapłańskich cnót.



Kamienica zajmowana przez seminarzystów, gdzie mieści się biblioteka i mieszkania trzech „altarzystów”.

Kuriozalnym wykładem była metodologia. Na tym przedmiocie najpierw przez wiele długich wykładów mozolnie uczyliśmy się, czym jest nauka, jak należy uprawiać naukę, jakie są metody badań naukowych i jak należy z nich korzystać. Do pewnego momentu wykład był bez zarzutu i spokojnie mógłby się znaleźć we wstępie do studiów z biologii, fizyki czy matematyki. A więc dowiedzieliśmy się, że nauka to systematyczne i odbywające się z użyciem obserwacji i eksperymentu rozumowe dochodzenie do prawdy, że matematyka korzysta z prawideł logiki, historia – z badania źródeł, krytyki tekstu i archeologii, fizyka – z eksperymentów odbywających się w kontrolowanych warunkach itd., itd.

Jak grom spadła na nas pod koniec wykładów z metodologii odpowiedź na pytanie: skoro już wiemy, jak wygląda nauka, to gdzie w całej rodzinie dyscyplin naukowych umieścić teologię?

Była kuriozalna: wszystkie dziedziny wiedzy dzielą się na dwie grupy. Pierwsza, obejmująca wszystkie nauki poza teologią, to te, które korzystają z poznania rozumowego. Druga, w której jest tylko teologia, to te, które korzystają z poznania... nadprzyrodzonego.

A więc uczyliśmy się o tym, czym jest nauka i jak należy ją uprawiać, tylko po to, żeby na końcu dowiedzieć się, że to wszystko teologii nie dotyczy, bo jej filarami są oświecenie z nieba, natchnienie Ducha Świętego i nieomyślność Kościoła.

Co gorsza, wykładowca postanowił dogłębnie udowodnić nam, że teologia jest nauką taką samą jak chemia czy fizyka, a nawet znamienitszą od nich, nie mimo to, ale właśnie dzięki temu! Stwierdził zupełnie wbrew temu, czego wcześniej uczył, że aby coś mogło zwać się nauką, wystarczy, żeby miało swój przedmiot formalny, materialny i określoną metodę naukową. A metodą naukową teologii jest... wiara.

I nie był to jego wymysł. Wynika to, jak zresztą nam rzeczowo wykazał, wprost z encykliki *Fides et ratio* Jana Pawła II.

Stanowi to straszliwe spaczenie samej idei nauki, czyli dążenia do prawdy na tyle pewnej, sprawdzalnej i falsyfikowalnej, na ile się tylko da. Jeżeli dążymy do prawdy nie na drodze rozumu, tylko wiary, a więc bezdyskusyjnego przyjęcia do wiadomości, że jest tak a tak, bo jakiś autorytet nam tak mówi – to w istocie NIE dążymy do prawdy. Dążyć do prawdy przez wiarę to jak korygować wadę wzroku poprzez wydłubanie sobie oczu.

Innym wykładem, na który uczęszczaliśmy, była antropologia filozoficzna – nauka hipotetycznie mająca nam przybliżyć dorobek myśli ludzkiej na temat samego człowieka. Trafiliśmy na bardzo dobrego wykładowcę. Choć nie opowiedział nam on ani trochę o tym, co o człowieku mówili Kant, Hegel czy – broń Boże! – Nietzsche (wszak wszyscy byli już po Tomasz z Akwinu, na którym dla Kościoła filozofia się kończy), to w swoim wykładzie był do bólu uczciwy.

– Dziś omówimy sobie argumenty przemawiające za nieśmiertelnością ludzkiej duszy – powiedział któregoś dnia. – Podkreślam, że są to ARGUMENTY, a nie DOWODY. Jeśli więc po śmierci okaże się, że tam nic nie ma, proszę nie mieć do mnie pretensji.

Kościół doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że na obronę swojego światopoglądu ma wyłącznie argumenty, zawsze oparte na założonych z góry objawieniach boskich lub pobożnych życzeniach. Nie ma dowodów na nic z tego, w co wierzy.

Ciekawym zjawiskiem był przedmiot „Wprowadzenie do Pisma Świętego”. No właśnie, to już kolejne „wprowadzenie”. Chciałoby się zapytać: a dlaczego po prostu od razu nie zaczniemy studiować zagadnień biblistyki? Na zwyczajnych studiach jeśli coś wymaga wprowadzenia, to odbywa się ono na początku zgłębiania tego tematu. Na akademii medycznej nie ma czegoś takiego jak „Wprowadzenie do anatomii”. Próżno na studiach z biologii szukać „Wprowadzenia do botaniki”. Na studiach z chemii nikt nie zalicza egzaminu z „Wprowadzenia do pierwiastków”.

Mogę się mylić – to w końcu tylko moja hipoteza – ale wydaje mi się, że Kościół panicznie boi się, żeby studiujący w seminarium klerycy nie utracili wiary

po tym, co usłyszą na wykładach. Gdyby zrezygnować w programie studiów ze wszystkiego, co obnaża niedostatki, logiczne dziury i słabość fundamentów katolickiej retoryki, trzeba by zrezygnować z całych studiów.

Potrzebne są więc rozmaite „wprowadzenia”, które mają za zadanie nałożyć koniowi klapki na oczy i wędzidło, żeby przemykając po meandrach dróg teologii, nie zobaczył przepaści zięjącej po obu stronach szlaku.

Nasz były prefekt z pierwszego roku na roku drugim prowadził dla nas dwa wykłady: z filozofii przyrody w pierwszym semestrze i z filozofii Boga w drugim. Na tym pierwszym klerycy poznają kilka okruchów współczesnej wiedzy z zakresu kosmologii, fizyki i astronomii. A więc dowiadują się na przykład o Wielkim Wybuchu, ale ani słowa o tym, że wszystko, co współczesna nauka o tym wydarzeniu wie, wskazuje na to, że nie mógł on mieć przyczyny sprawczej, a tym samym że koncepcja ta wyklucza działanie Stwórcy. Drugi z wykładów koncentrował się na pięciu „dowodach” na istnienie Boga według Tomasza z Akwinu. Nasz wykładowca jednak kazał nam je za św. Tomaszem nazywać „drogami”, a nie „dowodami”. I słusznie, bo nie są to wcale dowody, są to drogi logicznego rozumowania, dzięki którym można dojść do wniosku, że istnieje ktoś taki jak Bóg.

Problem polega na tym, że droga od dowodu różni się tym, że jeśli coś udowadnia, to tylko to, że rozum ludzki jest w stanie uargumentować wszystko, nawet gdyby były to kompletne nedorzecznosci.

Wykład z etyki to znów powtórka z historii filozofii starożytnej i średniowiecznej z dodatkiem omówienia encykliki Jana Pawła II Veritatis splendor. Znów nic o czymkolwiek, co na temat etyki powiedziano po Tomaszu z Akwinu i poza Kościołem.

Do programu studiów drugiego roku zalicza się też religiologia, wykładów z tego przedmiotu jest jednak zdecydowanie zbyt mało, żeby naprawdę bez uproszczeń (a tym samym nieścisłości) poznać inne niż chrześcijaństwo religie. Wdzięczny jednak jestem wykładowcy tego przedmiotu, ks. Tomaszowi C., że zainteresował mnie tematem na tyle, że sam zacząłem czytać wszystko, co wpadło

mi w ręce na temat religii, zwłaszcza spoza europejskiego kręgu kulturowego. Do dziś zadaję sobie pytanie: co by było, gdyby globalna cywilizacja stanęła nie na fundamencie chrześcijaństwa, ale na wykazujących się o niebo większą wrażliwością ekologiczną wierzeniach rdzennych Amerykanów?

Na pewno niepotrzebny byłby wówczas papież Franciszek (którego zresztą mało kto z hierarchów Kościoła w Polsce chce słuchać), żeby przypominać ludziom o konieczności szacunku dla ziemskiej biosfery.

Poza kontynuowanymi zajęciami z łaciny dochodził na drugim roku język grecki, jednak wykład z niego, trwający ledwie rok, nie pozwalał na więcej niż pobieżne zapoznanie się z alfabetem i podstawowymi zasadami gramatyki.

Pierwszy semestr drugiego roku upływa klerykom pod znakiem pierwszego wielkiego zadania: drugi rok musi bowiem przygotować seminaryjną wigilię, na którą składa się przedstawienie, opłatek i uroczysta kolacja. Alumni muszą więc omówić z kuchnią, jakie potrawy znajdą się na stole, a nawet dokonać części zakupów. Muszą przygotować świąteczne dekoracje całego seminarium, zwłaszcza kaplicy i refektarza. No i przygotować odpowiednie przedstawienie.

Przedstawienia. W ciągu całej nauki w seminarium klerycy muszą ich przygotować osiem. Nawet w przypadku licznych roczników każdy uczestniczy więc przynajmniej w kilku z nich. Chcąc nie chcąc, każdy przyszły ksiądz, czy ma jakiś talent, czy nie, musi spróbować rzemiosła aktorskiego. Widownia jest złośliwa (klerycy), wymagająca (przełożeni) i wysmakowana (biskupi, kurialiści). To, jak kto się na danym przedstawieniu zaprezentuje, ma bardzo duży wpływ na to, czy seminarium ukończy, jak będzie postrzegany przez środowisko duchowne, a w efekcie – jak potoczy się jego przyszła kariera.

Mój błąd polegał na tym, że na naszym przedstawieniu wigilijnym zagrałem postać Szatana i – co gorsza – byłem w swojej roli podobno bardzo przekonujący. Zostało to – absurdalne, ale prawdziwe! – zapamiętane. I wykorzystane w późniejszym czasie.

To amatorskie zetknięcie się z rzemiosłem aktorskim w seminarium jest ważne także z innego powodu. Liturgia katolicka ma dużo wspólnego z teatrem, a ksiądz – z aktorem. Niestety także to, że klerycy nabywają umiejętności płynnego przechodzenia z różnych ról i przebrań do innych. Piszę „niestety” znów w kontekście wszelkiego rodzaju nadużyć.

Wielu ludzi doznało szoku, gdy ujawniono seksualne zbrodnie założyciela Legionu Chrystusa Marciala Maciela Degollado. Wielu zadawało sobie pytanie: jak to możliwe, że ksiądz katolicki potrafił zgwałcić chłopca, a potem z całym spokojem udać się do ołtarza i odprawiać mszę?



Nie jest to zaskakujące dla kogoś kto – tak jak ja – widział seminarium od środka. Przedstawienia to wierzchołek góry lodowej. Problemem jest to, że kleryk musi grać cały czas. Nie może pokazać nikomu, jaki jest naprawdę, gdyż każda, ale to literalnie każda rzecz może się przełożonym nie spodobać. Nawet najbardziej szczerzy i otwarci z nas musieli nauczyć się pewne swoje cechy czy zachowania tonować, a inne eksponować. I co gorsza, żonglować ustawieniami tego tonowania i eksponowania w zależności od tego, który przełożony patrzył. Często się śmialiśmy, że – sic! – kryterium moralne w Kościele stanowi nie to, czy coś jest dobre, czy złe, tylko czy wypada, czy nie wypada.

Oczywiście nikt nie nazywał takiej obłudy po imieniu, nie, nazywała się ona „pracą nad sobą”. W seminarium zobaczyłem, że granica między pracą nad swoim charakterem a obłudą i oszukiwaniem samego siebie jest bardzo cienka. Nacisk na tę „pracę nad sobą” jest w seminarium tak olbrzymi, że na dalszy plan schodzi to, czy będzie to rzeczywiście praca nad kształtowaniem charakteru, czy tylko odgrywanie takiej pracy. Tym bardziej że to, co przełożeni uważają za „dobry charakter”, niezupełnie pokrywa się z tym, co pod takim pojęciem rozumieją normalni ludzie.

Co gorsza, większość kleryków łudzi się, że święcenia kapłańskie uwolnią ich z tego gorsetu wiecznego udawania. Nic bardziej mylnego. Udawanie dopiero się wtedy zaczyna.

Najgorsze zaś w tym jest to, że takie udawanie szybko, choć niepostrzeżenie, przeradza się w udawanie przed samym sobą. Ksiądz gwałcący dziecko NAPRAWDĘ jest w stanie W TRAKCIE dopuszczania się swojej niegodziwości wierzyć, że jest niewinny. Uformowało go tak seminarium.

Drugi semestr niesie dla alumnów drugiego roku jeszcze jedno zadanie „artystyczne”, choć tym razem nie chodzi o przedstawienie, lecz o przygotowanie ołtarza na Boże Ciało przed seminarium.

Zgodnie z tradycją procesja z okazji Uroczystości Najświętszego Ciała i Krwi Jezusa Chrystusa zatrzymuje się przy czterech polowych ołtarzach, a jeden z nich miał znajdować się na schodach przed wejściem do gmachu kurii biskupiej i seminarium. Musieliśmy taki ołtarz więc zaprojektować, zorganizować materiały potrzebne do jego wykonania i wreszcie samą dekorację zbudować, tylko po to, żeby od razu po przejściu procesji pośpiesznie ją rozebrać.

Tu chciałbym powiedzieć kilka słów o pracy w seminarium.

Klerycy są darmową siłą roboczą Kościoła. Dzięki ich pracy funkcjonuje samo seminarium, ale też inne centralne instytucje diecezjalne. Nieraz byliśmy wzywani do pomocy przy sortowaniu rozmaitych darów w Caritasie. Pomagaliśmy w remoncie pałacu dla biskupa emeryta. Utrzymywaliśmy teren wokół Kwadratu, obsługiwaliśmy furtę nie tylko w seminarium, lecz także – okazjnie – kurialną. Podawaliśmy do stołu przy okazji a to najrozmaitszych uroczystych posiłków w seminarium, a to opłatka dla władz wyższych uczelni w diecezji czy zjazdów organistów, katechetów, przełożonych zakonnych itd., nie potrafię wymienić, ile tego było.

Wbrew pozorom te wszystkie prace nie wychodzą alumnom na dobre, jeśli chodzi o kształtowanie ich ludzkiej kultury i spojrzenia na świat.

Do dziś pamiętam swoje zaskoczenie, kiedy po opuszczeniu seminarium podjąłem pracę ogrodnika i otrzymałem swoją pierwszą zapłatę. Oczywiście wiedziałem, że w normalnym świecie za pracę się płaci, ale zszokowało mnie, kiedy po wykonaniu konkretnej pracy ja sam dostałem za nią pieniądze.

Seminarium uczy przyszłych księży, że praca, zwłaszcza fizyczna, jest z zasady darmowa! Ba, że obywa się bez najmniejszego „dziękuję, dobra robota” itd. A więc klerycy sami pracują bez zapłaty i podziękowania, a w kuchni czy rezydencji biskupa spotykają zakonnice, które na pełny etat pracują za „Bóg zapłać”. Nieliczni świeccy pracownicy zatrudnieni na normalnych (podobno!) warunkach są czymś w rodzaju kuriozum.

Widziałem to i później doświadczyłem skutków. Widziałem, jak proboszczowie traktują organistów, kościelnych czy gospodynie parafialne. Widziałem, jak pracujące za darmo parafianki sprzątają okropny brud i bałagan pozostawiony przez księży w diecezjalnym centrum konferencyjnym mieszczącym się w jednej z legnickich parafii. A kiedy sam któregoś dnia pracowałem przy koszeniu trawników na terenie pewnego eleganckiego hotelu i przypadkiem spotkałem tam byłego kolegę z roku, zauważyłem, że spogląda on na mnie z mieszaniną wstrętu, politowania i strachu, a potem szybko ucieka.

Księża wychodzą z seminarium nauczani, że wszelka praca świecka, a zwłaszcza fizyczna, nic nie jest warta. Nie mają bladego pojęcia, co to znaczy pracować przez osiem lub więcej godzin na swoje utrzymanie. W ogóle nie rozumieją zależności między pracą a posiadaniem środków do życia! Nie potrafią nawet pojąć, że ktoś pracuje, bo musi utrzymać rodzinę. Dziwią się i naburmuszają, gdy organista ośmieli się zażądać zapłaty za swoją pracę (najczęściej w przypadku ślubów czy pogrzebów księża cedują na klientów rozliczenie się za oprawę muzyczną). Zapędzają młodzież czy członków rozmaitych grup parafialnych do pracy i są wielce oburzeni, gdy ktoś im odmawia. Nie potrafią pojąć tego, że obowiązek stawienia się o danej godzinie w miejscu pracy zarobkowej jest ważniejszy od udzielanej z dobroci serca pomocy na parafii.

Sprawia to też, że księża gardzą ludźmi, którzy muszą pracą własnych rąk zarabiać na swoje utrzymanie, i kompletnie nie rozumieją ich życia. Nie potrafią pojąć, że ktoś po tygodniu ciężkiej pracy woli pójść w góry czy do lasu, zamiast siedzieć w dusznym kościele i wysłuchiwać tyrad księdza z ambony.

To jest właśnie jeden z tych przedziwnych paradoksów, których pełne jest seminarium: praca w seminarium sprawia, że seminarzyści o prawdziwej pracy nie mają najmniejszego pojęcia.

Oczywiście to, co napisałem, nie dotyczy wszystkich księży w równym stopniu. Na ostateczny efekt ma wpływ wiele czynników. Są księża, którzy w jakimś stopniu pojmują codzienność ludzi pracy. Problem polega na tym, że w takim

wypadku jest to wyłącznie zasługa wychowania, jakie odebrali w domu rodzinnym, i prywatnych obserwacji, a nie skutek seminaryjnego formowania.

W czasie naszego drugiego roku w Kościele lokalnym i powszechnym zaszły wielkie zmiany: na emeryturę odszedł dotychczasowy pierwszy biskup legnicki Tadeusz Rybak. Na czele diecezji zastąpił go biskup pomocniczy diecezji katowickiej Stefan Cichy. Był to też rok śmierci Jana Pawła II i wyboru Benedykta XVI.

Bardzo charakterystycznym rysem Kościoła przy takich okazjach jest zapewnianie, że „będzie się kontynuowało linię poprzednika”. Ten frazes powtarza nowy proboszcz, gdy przychodzi na parafię, nowy przewodniczący episkopatu, nowy prymas, nowy biskup... Nasz nowy ordynariusz również to obiecywał podczas różnych publicznych wystąpień. My jednak wiedzieliśmy, że zmiany nadejdą. Mieliśmy nadzieję, że będą to zmiany na lepsze.

Co do śmierci Jana Pawła II, to nawet ona nie zakłóciła normalnego rytmu życia seminarium. Owszem, gdy tylko została ogłoszona, odbyło się nadzwyczajne nabożeństwo i modlitwa w kaplicy, było wspólne oglądanie pierwszego błogosławieństwa Benedykta XVI po konklawe i transmisja mszy z okazji inauguracji pontyfikatu. Wydarzenia te w żaden sposób nie wstrząsnęły jednak seminarium. Przez cały czas pobytu tam miałem wrażenie, że znajdujemy się wewnątrz jakiejś pancерnej puszki, do której nie przedostają się żadne wstrząsy z zewnętrznego świata. Nawet z Watykanu.

Rok trzeci

Trzeci rok nauki w seminarium jest szczególny, 8 grudnia bowiem alumni tego rocznika otrzymują podczas wielkiej uroczystości w katedrze prawo do noszenia stroju duchownego. Zaczynają też studiować przedmioty stricte teologiczne.

Już na początku listopada, a więc miesiąc po rozpoczęciu roku akademickiego, przełożeni seminaryjni zbierają się wraz z biskupem diecezjalnym na tzw. Radzie Moderatorów. Odbywa się ona w małym refektarzu. Co ciekawe, przed rozpoczęciem Rady odpowiedzialny za obsługę małego refektarza musiał sprowadzić do niego ekran i rzutnik – zapewne przełożeni podczas omawiania danego kleryka wyświetlali sobie jego zdjęcia. Ciekawe, czy to były tylko zdjęcia zrobione za zgodą zainteresowanego. Tego akurat nie dane mi było się nigdy dowiedzieć.

Prefekt opiekun rocznika oraz ojciec duchowny przed Radą przeprowadzają rozmowy z klerykami, zazwyczaj polegające na powiadomieniu danego kandydata, co się przełożonym w nim nie podoba.

Podczas Rady Moderatorów odbywa się coś w rodzaju głosowania nad każdym z kandydatów.

Obłóczyny są dla przełożonych okazją do pozbycia się tego kleryka, którego najbardziej nie lubią. Wcale nie muszą takiego kogoś z seminarium wyrzucać, wystarczy, że nie dopuszczą go do przyjęcia stroju duchownego. Jest to strasznym upokorzeniem: oto cały rocznik nagle zjawia się w refektarzu w sutannach, a tylko jeden na szarym końcu wciąż nosi świeckie ciuchy. Natychmiast taki ktoś staje się obiektem złośliwych plotek całego seminarium na długie tygodnie. Za plecami wytyka się go palcami, obmawia i ogólnie traktuje jak trędowatego. Wielu nie daje sobie z tym rady i po prostu odchodzi. Na własne uszy słyszałem, jak grupka seminarzystów plotkowała, że ktoś tam „nie dostał sutanny”,

ponieważ pojechał na Paradę Równości do Berlina i zabawiał się tam z homoseksualistami.

Nie muszę dodawać, że taki kleryk musi się też często mierzyć ze społecznym odrzuceniem w rodzinnej parafii, zwłaszcza jeśli pochodzi z małej miejscowości. Wciąż są wiejskie parafie, gdzie taki kleryk jest kimś w rodzaju miejscowego celebryty, i cała społeczność czeka tam na to, żeby ujrzeć swojego alumna po raz pierwszy w sutannie. Można sobie wyobrazić, co się dzieje, gdy zawiedzie on te oczekiwania.

Losy kleryków, którzy odeszli, nierzadko są w samym seminarium tematem tabu. Nie ma się temu co dziwić. Bywali tacy alumni, którzy odchodzili z uczelni, a później – po kilku miesiącach, może roku – dochodziły do nas wieści, że nie żyją. Czy popełnili samobójstwo? Nie wiemy. Na werdykt Rady Moderatorów czekano w nerwowym napięciu. Dotyczyło to większości. Wciąż bowiem obowiązywała zasada, że klerycy, których proboszczowie są ustawieni w hierarchii wpływów, znajomości, poważania i korupcji, mogą spokojnie gwizdać na Radę Moderatorów i przymierzać sutannę przed lustrem.

Na trzecim roku spoczywa obowiązek przygotowania kolejnego przedstawienia z okazji własnych obłóczyn – tym razem odgrywanego aż dwa razy: raz dla rodzin i proboszczów, którzy zjeżdżają do Legnicy na uroczystość, a raz dla przełożonych i kleryków.

Tradycja nakazuje, że nazajutrz po obłóczynach trzeci rok wyjeżdża do Częstochowy, by podziękować na Jasnej Górze za zaliczenie w poczet sutannowych kleryków. W diecezji legnickiej panuje też zwyczaj, że kandydaci do obłóczyn jeszcze przed rozpoczęciem roku akademickiego, we wrześniu, udają się w pieszej pielgrzymce z Legnicy do diecezjalnego sanktuarium maryjnego w Krzeszowie.

Obłóczynom towarzyszy jeszcze jeden szczególny zwyczaj, polegający na tym, że klerycy mający otrzymać sutanny przez tydzień poprzedzający uroczystość chodzą wszędzie – do kaplicy, na wykłady – w garniturach pod krawatem. Klerycy starszych roczników podchodzą zaś do nich i nożyczkami obcinają im te krawaty

tuż pod węzłem. W związku z tym zwyczajem przed obłóczynami nasi seniorzy zakupili ze wspólnej kasy rocznikowej cały karton starych krawatów z lumpeksu.

Nie ma więc przesady w dość sarkastycznej uwadze nowego biskupa naszej diecezji, który, gdy zobaczył, z jaką pompą obchodzi się u nas obłóczyny, powiedział:

– Myślałby kto, że nowych kardynałów ustanawiamy!



Chciał nawet wbrew swoim początkowym zapewnieniom o „kontynuowaniu linii poprzednika” zmienić dotychczasowy zwyczaj, obłóczyny miały się stać kameralną, wewnętrzną uroczystością w kaplicy seminaryjnej. Zmienił jednak zdanie, gdy zobaczył tłumy wiernych, które napłynęły z całej diecezji do katedry. I kiedy zobaczył ręce uginające się pod ciężarem zebranych tac.

Sama uroczystość obłóczyn polega na tym, że po kazaniu klerycy trzeciego roku wychodzą do zakrystii, przebierają się w sutanny, a następnie w malowniczym pochodzie podchodzą do ołtarza. Biskup każdemu po kolei nakłada komżę.

Po wyjściu z katedry od razu widać było różnice między klerykami. Do jednych przyjechały całe tłumy: po kilkadziesiąt osób ustawiało się do zdjęcia z nowo obłóczonym. Inni spotykali się z garstką osób z rodziny i kilkoma znajomymi. Byli klerycy, do których autokarem przyjechały całe grupy z parafii i po mszy wiwatowały na ich cześć.

Obłóczyny spełniają w seminarium rolę czegoś w rodzaju półmetka – hucznością dorównują im tylko święcenia kapłańskie. Mało kto się przejmuje późniejszym lektoratem, akolitem czy diakonatem, kolejnymi stopniami, po których kleryk zbliża się do kapłaństwa.

Klerycy mający prawo noszenia stroju duchownego są zobowiązani – jak już zdążyłem wspomnieć – do tego, by na przechadzki na miasto wychodzić z koloratką. Oczywiście wszyscy unikali tego, jak mogli. W Legnicy wciąż niektórzy mieszkańcy, pamiętający czasy bytności w mieście Armii Radzieckiej, złośliwie mówili: „Odeszli czerwoni, a przyszli czarni”.

Różnych sposobów chwyтали się więc obłócczeni, żeby uniknąć pojawiania się na mieście w stroju duchownym. Niektórzy na koszulę z koloratką zakładali sweter, bluzę czy kurtkę z wysokim kołnierzem i zapinali ją, gdy tylko wyszli za drzwi seminarium. Jeszcze inni, gdy znaleźli się w pobliskim podziemnym przejściu dla pieszych, po prostu wyciągali listek koloratki z koszuli i rozpinali ją, dzięki czemu nie rzucali się w oczy. A że taka mała koloratka do koszuli bywa nazywana przez

kleryków blachą, to przejście podziemne żartobliwie nazwaliśmy „przejściem im. ks. Franciszka Blachnickiego”.

Przełożeni oczywiście tępilі takie praktyki. Nieraz potrafili po cywilnemu ukradkiem przemykać po mieście w poszukiwaniu kleryków, którzy nie mieli widocznej koloratki lub spacerowali samotnie. Nie zdarzało się to często, ale się zdarzało. Oczywiście na tych, którzy zostali przyłapani, czekały rozmaite kary: od okrzyczenia po naganę wpisaną do akt. Dwie takie nagany oznaczały wyrzucenie z seminarium.

Gdy byliśmy na trzecim roku, przełożeni wprowadzili dużą zmianę: oficjalnie pozwolono nam na posiadanie telefonów komórkowych. Jak to powiedział rektor, parafrazując słowa Jezusa, zdecydowali się na to „ze względu na zatwardziałość serc naszych”.

Warunki jednak, pod którymi wolno było mieć telefon, były na tyle surowe, że właściwie niewiele różniły się od totalnego zakazu. Żeby móc posiadać telefon, należało podać jego numer przełożonemu i nie wolno było mieć go włączonego poza czasem przechadzki. W pozostałym czasie telefon miał być wyłączony całkowicie, nie wystarczyło wyciszyć dzwonka. Przełożeni potrafili wydzwaniać do kleryków w czasie zakazanym i wymierzać surowe kary, jeśli odezwał się sygnał połączenia.

Wpływ nowego biskupa dał się zauważyć w seminarium od początku naszego trzeciego roku. Zmienił się między innymi dyrektor administracyjny.

Ta akurat zmiana była dla kleryków w pewien sposób błogosławiona. Chodziło o... ziemniaki.

To pożywne warzywo było przez seminarium pozyskiwane z darów od okolicznych rolników, podobnie zresztą jak buraki czy marchewka. Dlatego też jesienią, po wykopkach, codziennie powoływana była spora grupa robocza do ich odbierania. W zawilgoconej piwnicy seminarium znajdowało się pomieszczenie, w którym usypywaliśmy z tych ziemniaków ogromną górę.

Dodam, że rolnicy oczywiście nie oddawali dla seminarium ziemniaków najwyższej jakości, ale to, co im po prostu zostało, w rezultacie często na talerzu dostawaliśmy coś, co nadawało się tylko na paszę. Odpowiedzialny za to był jednak przede wszystkim system przechowywania. Zgromadzone jesienią ziemniaki miały wystarczyć do następnej jesieni. Pod koniec roku akademickiego znów powoływano więc duże grupy kleryków do pracy: mieli z gnijącej i wypuszczającej pędy ziemniaczanej góry wybierać te, które jeszcze jako tako nadawały się do spożycia.

Nowy dyrektor rozwiązał sprawę w ten sposób, że płody rolne z darów od razu sprzedawał na paszę, a za uzyskane pieniądze sukcesywnie kupował świeże kartofle. Zagrzybiona piwnica odeszła w zapomnienie – na szczęście.

Na trzecim roku wykłady objęły już tematy typowo kościelne. Liturgika znalazła swoje miejsce już w programie studiów drugiego roku, ale wtedy miała charakter raczej ogólnego teoretycznego wprowadzenia. Od teraz była długim, ciągnącym się przez całą resztę seminarium cyklem wykładów, na których nie dowiedzieliśmy się, jak odprawiać mszę, chrzest, pogrzeb czy ślub. Ani razu – ani razu! – aż do samego końca nikt nam na tych wykładach nie pokazał, jak się trzyma kielich, jak się wystawia Najświętszy Sakrament w monstrancji ani jak namaścić chorego. Wykładowcy zapewne uważali, że skoro codziennie widzimy odprawianą mszę, nabożeństwa itp., nie potrzebujemy żadnego praktycznego przeszkolenia. Zamiast tego uczyliśmy się o zupełnie niepotrzebnych bzdurach, typu co zawierał Sakramentarz Gelazjański.



Obelisk upamiętniający 2000 lat chrześcijaństwa na skwerze przed
budynkiem kurii biskupiej WSD.



JEZUS CHRYSZTUS
WCZORAJ, DZIŚ I NA WIEKI

KU UCZCZENIU
OGŁOSZONEGO PRZEZ
PAPIEŻA JANA PAWŁA II
WIELKIEGO JUBILEUSZU
CHRZEŚCJAŃSTWA
W 2000 ROKU
W 760 ROCZNICĘ BITWY
NA LEGNICKICH POLACH
POMNIK TEN
WZNIEŚLI WIERNI
DIECEZJI LEGNICKIEJ

FIRMY SPONSORUJĄCE BUDOWĘ POMNIKA

DSI SA W LEGNICY
INKASSO REFORM SP. Z O.O. W LEGNICY
GIMSENO SP. Z O.O. W LEGNICY

PZM, PZC SA W ROLESZANCU
ZAKŁAD ENERGETYCZNY LEGNICA
TM MODERNIZACJA SP. Z O.O. W LEGNICY

Nie oznacza to jednak, że nic ciekawego nie można się było na tych wykładach dowiedzieć. Przeciwnie, historia liturgii pokazywała nam, że żadna msza ani żaden inny obrzęd nie mają nadprzyrodzonego pochodzenia i charakteru. Są zmieniającym się przez wieki, w zależności od mody, teatrem, co do którego zupełnie nie wiadomo, jak dokładnie wyglądał przez pierwszych trzysta lat istnienia chrześcijaństwa. Liturgika odsłoniła przed nami po raz kolejny tę prawdę, że chrześcijaństwo opiera się na bardzo, ale to bardzo chwiejnych podstawach historycznych, w których więcej jest legend i pobożnych życzeń niż rzeczywistych dziejów. Historia chrześcijaństwa, w tym chrześcijańskiej liturgii, w pierwszych trzech wiekach przypomina ogromny obraz złożony z dziesięciu tysięcy puzzli, z których ukradziono dziewięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt części, a żadna z pozostałych dwudziestu nie pasuje do którejkolwiek innej.

Czy to, co powiedziałem wyżej, dyskredytuje wiarę jako taką? Nie. Dyskredytuje jednak traktowanie wiary jako wiedzy i mylenie jednego z drugim, a to niestety powszedni problem teologii.

Kto wie, ile dobrego mogłoby wynikać z tego, że każdy wierzący, poznając religię swoich rodziców, od małego byłby uczony, że religia jest właśnie wiarą, a nie wiedzą. Nie upoważnia więc do twierdzenia, że ktoś, kto tej wiary nie podziela, jest głupcem czy niegodziwcem. Nie upoważnia do narzucania innym swoich poglądów na sens życia, śmierci i cierpienia.

Tak poza tym: czy zwykły wierzący, poszukujący w modlitwie do Boga pocieszenia w trudach codzienności, potrzebuje, żeby jego duchowny wiedział, czym było Breviarium Crucis albo Anafora Jana Chryzostoma?

Teologia fundamentalna jest działem teologii zajmującym się podejmowaniem prób odpowiadania na niewygodne pytania, które teologii stawia współczesna nauka. Zadziwiło mnie, jak słabe są to odpowiedzi. Niektóre mogłyby być nawet przekonujące, pod warunkiem że ktoś miałby na tyle wyćwiczony umysł, żeby pojąć karkołomne sofizmaty, jakich musi się chwycić teologia, żeby wytłumaczyć na przykład, dlaczego homoseksualizm występuje u wszystkich gatunków ssaków na Ziemi, które pod tym kątem badano – a przez ponad dwa wieki badań na ten

temat zebrało się tego bardzo, bardzo dużo. Czyżby Bóg stworzył i ustanowił coś, co zaraz potem nazwał grzechem i obrzydliwością, a osoby to praktykujące nakazał w Piśmie Świętym kamienować?

Zadziwiająca jest słabość teologii w tłumaczeniu choćby najprostszych problemów. Przez całe sześć lat studiów nie otrzymałem na wykładach żadnej odpowiedzi na pytanie, skąd na Ziemi wzięło się cierpienie, skoro zakłada się, że jej Stwórca jest czystym i najwyższym dobrem. Skąd się wzięły niegodziwość, zło, krzywda zadawana z radością i bez wyrzutów sumienia?

Tak się składa, że wcześniej bardzo dużo czytałem o historii Holokaustu, o obozach zagłady, czytałem wspomnienia i wywiady z ocalałymi i ze zbrodniarzami. I wiem jedno. Każda odpowiedź na pytanie „dlaczego Auschwitz?” z tych, którymi dysponuje teologia, jest ohydną kpina, bezwstydnie drwiącą z niewyobrażalnej głęбини cierpień, jakie ludzie zadawali ludziom. Każda z odpowiedzi, które dają chrześcijaństwo i Kościół na pytanie o to, co się wtedy wydarzyło, jest podłością w najczystszej postaci i dużo lepiej by zrobiła teologia, gdyby zamilkła i przyznała, że wstyd jej za swojego Boga.

Jestem przekonany, że lepszym duchownym byłby ktoś, kto zamiast pouczać cierpiących, że „Bóg ma w tym jakiś plan”, zapłakałby razem z nimi.

Na wykładach coraz mniej przed nami ukrywano. Coraz więcej dowiadaliśmy się, jak dziurawym i cherlawym konstruktem jest chrześcijański światopogląd. I jeśli dzisiaj jestem ateistą, to wielka w tym zasługa tego, że uważałem na wykładach w seminarium.

Większość kleryków nie traci wiary z tego prostego powodu, że oni ani nie potrafią, ani nie chce im się tego wszystkiego rozumieć. Zakuwają skrypt napisany do tego na dany egzamin, zdają i zapominają.

Teologia moralna to dział teologii, który w założeniu ma odpowiedzieć na pytanie, czego Bóg oczekuje od nas, jak powinniśmy żyć, zachowywać się i postępować. Co jest dobre w oczach Bożych, a co złe.

Problem polegał na tym, że z teologią moralną w naszym seminarium było mniej więcej tak, jak z obroną przed czarną magią w Hogwarcie. Wykładowcy zmieniali się co roku i jeden był gorszy od drugiego. Pierwszy, który uczył nas na trzecim roku, był zwyczajnie niezrównoważony: potrafił ni stąd, ni zowąd wybuchać niekontrolowanym chichotem, mówić do przypadkowych uczniów, że ich „uwali”, to znów zawieszać się i stać bez słowa całymi minutami. A potem wznosić pobożne wezwania do św. Alfonsa.

Do teraz pamiętam, jak wyglądał u niego egzamin. Dał nam skrypt przypominający katechizm dla bierzmowanych: kilkanaście stron pytań, na które każda odpowiedź zawierała się w jednym zdaniu. Powiedział, że egzamin u niego „będzie na zasadzie ping-ponga”: on zadaje pytanie, uczeń natychmiast rzuca jedno zdanie odpowiedzi – i tak dopóki nie popełni błędu lub profesor nie stwierdzi, że już wystarczy.

Jak się Czytelnik zapewne domyśla, jedynym sposobem na zdanie tego egzaminu była dobra mnemotechnika pozwalająca zapamiętać słowo w słowo każdą z odpowiedzi, a potem recytować je bez zastanowienia, na wrywki. Zupełnie nie chodziło tu o żadną wiedzę. Teologia moralna nie dała nam żadnej wiedzy, wyćwiczyła tylko pamięć.

Egzamin wyglądał równie surrealistycznie, jak sam wykładowca. Rzeczywiście był to ping-pong. I rzeczywiście wywalał z niedostatecznym każdego, kto zbyt długo się zastanawiał albo nie dał takiej odpowiedzi, jaka stała w skrypcie.

Trzy czwarte roku wylądowało już za drzwiami z oceną niedostateczną. W końcu przyszedł czas na mnie. Usiadłem przed wykładowcą, który omiótł mnie wzrokiem nieobecnego szaleńca i zaczął z szybkością karabinu maszynowego zadawać pytania. Odpowiedziałem mu pięknym za nadobne: odpowiedź za odpowiedzią, szybka, bezbłędna recytacja zdań, których nauczyłem się na pamięć, nie mając czasu na to, żeby cokolwiek z nich rozumieć.

Zadał mi już ze trzydzieści pytań i po ostatniej odpowiedzi umilkł. Nagle bez ostrzeżenia zerwał się zza biurka i podbiegł do drzwi. Otworzył je, niemal wyrywając klamkę, i zaczął wrzeszczeć na cały korytarz:

– Wszyscy do środka! Wszyscy do środka!

Cały rocznik, zarówno ci, którzy oblali, jak i ci, których dopiero to czekało, z wielkim niepokojem stłoczyli się w sali wykładowej. A profesor teologii moralnej zaczął się drzeć:

– Jest! Jest jedna piątka! Taaaak! Ten uczeń – wskazał na mnie, a ja skuliłem się ze wstydu – pokazał, że NIE BYŁO za trudne! Że jednak MOŻNA się było nauczyć! A więc od teraz będę uwaliał od razu, nawet jeśli ktoś przez sekundę się zająknie!

Cały rocznik spojrzał na mnie z nieukrywaną nienawiścią. Co do mnie, to nie muszę chyba dodawać, że nie pamiętam dziś ani jednego z tych pytań i ani jednej z odpowiedzi.

Kolejnym przedstawianym nam zagadnieniem była teologia dogmatyczna podzielona na działy, po jednym lub dwa na semestr. A więc na trzecim roku czekała nas na przykład nauka o Trójcy Świętej.

Wykładowcą był nowy ojciec duchowny, jeden z nielicznych przyzwoitych ludzi wśród księży, którego poznałem. Zaryzykuję stwierdzenie, że był naprawdę wierzący.

Co do wiary wielu, ale to wielu księży, których zdarzyło mi się spotkać, mam poważne wątpliwości. Pamiętam, że klerycy roku czwartego, a więc o rok starsi od nas, wpadli na pomysł, że kabaret na św. Mikołaja zorganizują między innymi w konwencji horroru. A więc udekorowali część korytarzy na coś w rodzaju zamku Draculi sztucznymi pajęczynami, nietoperzami i tym podobnymi rekwizytami. Niestety wpadli też na pomysł, że jako rekwizyty wypożyczą z zakładu pogrzebowego dwie trumny.

Na ich widok rektor seminarium ks. Leopold R. dostał istnego ataku hysterii. Kleryków starszych od nas o rok było, o ile pamiętam, kilkunastu. Niedługo po mikołajkach zostało ich zaledwie... dwóch.

Nigdy przedtem ani potem nie spotkałem nikogo poza naszym rektorem, kto by się tak jak on bał śmierci. Reagował napadem to paniki, to wściekłości na każde

wymówienie słowa „śmierć”. Była to jakaś całkowicie nieracjonalna, paranoiczna fobia. Jak on ją godził z wiarą w zmartwychwstanie i życie wieczne – pozostaje dla mnie tajemnicą.

Z jeszcze gorszym przykładem niewiary księdza dane mi się było spotkać nieco później.

Na piątym roku, gdy już byliśmy akolitami, a więc między innymi mogliśmy rozdawać komunię, zdarzyło się przy okazji jednej z uroczystości w katedrze, że biskup zarządził, iż komunია ma być rozdawana pod dwiema postaciami wszystkim wiernym obecnym na tej mszy. Do rozdawania komunii zatrudniono więc bez mała cały nasz rocznik.

Ja dostałem wtedy jeszcze jeden dodatkowy obowiązek: miałem po rozdaniu komunii dyżurować w kaplicy Najświętszego Sakramentu i odbierać od kolegów pateny z niewykorzystanymi hostiami, następnie zsypywać je do cyboryów, które na koniec miałem wstawić do tabernakulum, zamknąć i odnieść klucz do zakrystii.

Gdy to zrobiłem i zjawiłem się z kluczem od tabernakulum w zakrystii, podszedł do mnie wikary parafii katedralnej. Zanim przytoczę, co do mnie powiedział, przypomnę, zwłaszcza Czytelnikom nieorientowanym w podstawach katolickiej wiary, że każda hostia konsekrowana na mszy jest rzeczywistym ciałem Jezusa Chrystusa, Jezusem Chrystusem rzeczywiście z ciałem i duszą obecnym, czyli literalnie tym Bogiem, do którego każdy katolik z księdzem na czele się modli, w którym pokłada nadzieję i od którego oczekuje zbawienia.

Tymczasem od wikarego usłyszałem następujące słowa:

– A posprawdzałeś, czy nie są pozalewane winem? – zapytał mnie napastliwym tonem. – Bo wiesz, potem się zlepiają i ja muszę później żreć to... (tu padło słowo niecenzuralne) przez cały tydzień.

Co ciekawe, jeden z moich kolegów z seminarium, który znał tego księdza, twierdził, że to bardzo pobożny kapłan.

Trzeci rok to także przedmioty związane z Biblią: a więc Stary Testament – Pięcioksiąg, oraz Nowy Testament – Ewangelie synoptyczne i Dzieje Apostolskie.

Wykładowcą Nowego Testamentu został pewien podlegnicki proboszcz, który na wykładach więcej mówił o remoncie dachu swojego kościoła niż o przedmiocie swojego wykładu, a na egzaminie wypijał kawę z rocznikiem i wpisywał wszystkim „bdb”. Stary Testament mieliśmy z wicerektorem, który dla odmiany był bardzo merytoryczny i wymagający, rozpisывał nam co ważniejsze wyrażenia i pojęcia biblijne po hebrajsku i sprawił w efekcie, że nasz rocznik bardziej się nadawał na rabinów niż na chrześcijańskich duchownych. Tak mizernie wyglądała nasza wiedza o Nowym Testamencie w porównaniu ze Starym.

Każdy, kto ma jako takie pojęcie o zadaniach, które czekają księdza w pracy na parafii, przyzna, że niezwykle ważnym przedmiotem była pedagogika i dydaktyka – przecież przyszli duchowni mieli być też katechetami.

Z całego wykładu zapamiętałem tylko jedno zdanie – i wcale nie żartuję, brzmiało ono dokładnie tak, jak je przytaczam: „Jan Paweł II był wielkim pedagogiem ludzkości”.

Naszym wykładowcą był zblazowany dyrektor Caritasu, który z całą powagą jako pożyteczne pozycje bibliograficzne do tematu swojego wykładu podał nam Katedrę i sześcian oraz Odwagę bycia katolikiem autorstwa swojego ukochanego pisarza George’a Weigela.

Nie uczyłem się do egzaminu z tego przedmiotu. Na zadane mi pytanie naopowiadałem wykładowcy mnóstwo bzdur, co drugie zdanie wstawiając wyrażenia typu: „Jak to powiedział największy pedagog ludzkości Jan Paweł II...”, „Jan Paweł II, który był wielkim pedagogiem ludzkości, nauczał że...”.

Wykładowca był wniebowzięty.

Nawet muzyka kościelna, dotąd poświęcona przydatnemu poznawaniu zarówno znanych, jak i zapomnianych pieśni kościelnych, przeszła w fazę wykładów o chorale gregoriańskim. A więc musieliśmy się nauczyć, jak zaśpiewać Missa de Angelis po łacinie, z neum (średniowieczna wersja nut), a to wszystko wiedząc, że ani razu nie użyjemy tego w pracy parafialnej. Bo nie używa tego już nikt. Czy ktoś słyszał, żeby proboszcz na wiejskiej parafii zamiast Pod twą obronę, Ojcze na

niebie zaintonował Salve Regina (tonus solemnis)? Kiedy jeden z kolegów z roku, organista, podczas wyjazdu do domu zaproponował proboszczowi, że w trakcie pokropienia zagra i zaśpiewa gregoriańską antyfonę Asperges me, proboszcz odpowiedział mu:

– Jak wrócisz do seminarium, to będziesz mógł sobie nawet Vidi aquam zaśpiewać. A tutaj proszę mi nie wydziwiać!

Vidi aquam to wielkanocna wersja antyfony na pokropienie, dłuższa i o jeszcze bardziej skomplikowanej melodii od Asperges me.



Gmach Wyższego Seminarium Duchownego i kurii biskupiej oraz ich otoczenie.



Wspomniany rektor wykladał nam patrologię, czyli przegląd pisarstwa i poglądów wielkich teologów pierwszych wieków chrześcijaństwa, zwanych Ojcami Kościoła. Oczywiście nie nauczyliśmy się o kontrowersyjnych wypowiedziach tych pisarzy, typu stwierdzenie Grzegorza Wielkiego, że stosunek przerywany jest większym grzechem niż spółkowanie z własną matką. Wykład koncentrował się raczej na ogólnym poznaniu ich pisarstwa i poglądów, a że większość Ojców Kościoła polemizowała z którąś z wczesnochrześcijańskich herezji, również i o nich się nauczyliśmy.

Rok trzeci to także początek pisania pracy magisterskiej. I tutaj pojawia się pewna ciekawostka. Nasza diecezja nie posiadała promotorów z większości dyscyplin. Co więcej, chociaż seminarium jako instytucja formacyjna było autonomiczne, to jako studia stanowiło filię wrocławskiego Papieskiego Wydziału Teologicznego. Z tych względów we wtorki nie było wykładów, za to klerycy od trzeciego roku do piątego mogli w tym czasie wyjechać do Wrocławia na konwersatorium z wybranym promotorem.

Przełożeni jednak też tam jeździli i skrycie śledzili kleryków. Jeden z kolegów z roku został usunięty z seminarium za to, że przeszedł się po rynku z jakąś dziewczyną, trzymając ją za rękę.

W drugim półroczu, w marcu, klerycy trzeciego roku otrzymują tzw. posługę lektoratu. Obrzęd ten jest żalosną i zupełnie niepotrzebną resztką z czasów, gdy przed Soborem Watykańskim II obowiązywało łącznie aż dziewięć stopni święceń, przy czym to, co dzisiaj nazywa się święceniami: diakon, prezbiter, biskup, określano jako święcenia wyższe. Święcenia niższe rozporządzeniem Pawła VI zredukowano właśnie do lektoratu i akolitu i nazywano odtąd posługami.

Dziś lektorami są starsi ministranci w każdej parafii i wielu z kleryków otrzymało już dawniej taką posługę. Do czytania lekcji mszalnych zresztą wcale nie jest ona potrzebna, bo przeczytać czytanie może każdy. Ot, taki relik, którego nikt już nie traktuje poważnie, nawet przełożeni: obrzęd nadania godności lektora klerykom trzeciego roku miał miejsce wieczorem, podczas mszy, w dzień powszedni w katedrze.

Gdy byłem na trzecim roku, miało miejsce pewne wydarzenie, o którym muszę wspomnieć, gdyż znakomicie ilustruje ono, jak działa wszelka „dobroczynność”, którą tak chlubi się Kościół, jednocześnie broniąc się rękami i nogami przed „zepchnięciem” do roli instytucji dobroczynnej właśnie.

Z inicjatywy któregoś z przełożonych – już nawet nie pamiętam którego – otwarto dla kleryków legnickiego seminarium możliwość swoistego wolontariatu na terenie Domu Pomocy Społecznej w Legnicy. Chętni seminarzyści w wyznaczonym czasie (głównie w trakcie nieco wydłużonej niedzielnej przechadzki) mogli odwiedzać obłożnie chore starsze osoby przebywające w tym ośrodku. Nie chodziło o wolontariat ściśle pielęgniarstwa czy opiekuńczego, gdyż DPS w Legnicy miał wykwalifikowany do tych celów personel. Idea była taka, żeby ktoś do tych ludzi – często spędzających całe dnie i miesiące beczynnie w łóżkach – przyszedł i po prostu z nimi porozmawiał, poświęcił im trochę czasu.

Idea była jak najbardziej godna pochwały, a przyszłość pokazała, że i bardzo potrzebna. Problemem okazała się realizacja.

Na wolontariat zapisało się bez mała trzydziestu–czterdziestu kleryków, w tym wielu ceremoniarzy i innych wewnątrzseminaryjnych „szych”. Zjawili się na pierwszym spotkaniu z pensjonariuszami DPS, narobili wokół siebie mnóstwo szumu, zrobili wreszcie piękną fotkę ze staruszkami, którą zamieściły potem „Echo Seminarium”, diecezjalne wydania „Niedzieli” i „Gościa Niedzielnego”. Och, jak pięknie, jacy cudowni klerycy, jacy święci!

Tak. I z tych trzydziestu–czterdziestu zapisanych na listę obłudników i – nie waham się w tym kontekście użyć tego słowa – potworów na następnym wyjściu wolontariatu obecnych było trzech. Tak, trzech. W tym ja. A przez większość roku czwartego, piątego i szóstego chodziłem tam sam.

Tak, nie waham się nazwać tych kleryków potworami, bo potwornością jest dać starszym ludziom – tak samotnym w obliczu swoich chorób, podeszłego wieku i opuszczenia przez rodziny – tyle nadziei, że ktoś do nich przyjdzie, że coś się będzie działo, a następnie w okrutny i bezrefleksyjny sposób zawieść tę nadzieję.

Bo już zdjęcie poszło, bo już w gazetach widać, jacy to oni nie są super – więc można umyć ręce i na cierpienie tych ludzi się wypiąć.

A przez te trzy lata wiernego uczęszczania co tydzień do Domu Pomocy Społecznej w Legnicy miałem okazję trzymać za rękę umierających, wysłuchiwać ich historii i widzieć w tych gasnących starczych oczach bezdenną głębię radości, gdy wchodziłem do pokoiów na choćby chwilę rozmowy. Przez większość tego czasu „wolontariat” obsługiwałem sam, a DPS był duży i miał wielu pensjonariuszy – siłą rzeczy nie mogłem odwiedzać wszystkich, a tym, których odwiedzałem, mogłem poświęcić tak niewiele czasu. Bo jeszcze inni czekali, czekali cały tydzień na te jedyne pięć, dziesięć czy piętnaście minut rozmowy.

Spokojnie starczyłoby tam ludzi do odwiedzenia dla całego seminarium – ale całe seminarium za nic miało ich oczekiwania.

Na piątym roku zainterweniowałem u przełożonego. Byłem oburzony i wściekły, gdy po raz dziesiąty, dwudziesty szedłem do DPS sam, gdy widziałem tylu ludzi, których musiałem z braku czasu ominąć, zostawić bez odwiedzin... A tymczasem na liście „wolontariuszy” w najlepsze figurowali ci wszyscy obłudnicy!

Owszem, przełożony zareagował, w trakcie bodajże ogłoszeń na obiedzie napomknął o problemie, ale i mnie nie omieszkał zbesztać, że, a jakże, wykazałem się „pychą” w stosunku do „współbraci”. No bo jak tak można: krytykować lepszych od siebie, bo pochodzących od lepszych proboszczów, lepiej ustawionych, podlizujących się, a tym samym lepszych w tym, co w Kościele najważniejsze – posłuszeństwie, dworactwie, donosicielstwie i obłudzie.

Rok czwarty

Ten rok jest najgorszy w ciągu całego seminarium. Jest najwięcej egzaminów na obu sesjach, a przygotowanie uroczystości związanych z dniem św. Mikołaja stanowi potwornie trudne i złożone przedsięwzięcie. Nie będzie przesady, jeśli powiem, że jest to w kalendarzu seminaryjnym najbardziej rozbudowane święto, obrosłe mnóstwem zwyczajów i tradycji, tak że dorównuje mu chyba tylko ceremonia więzienny.

Pierwszym z punktów programu tego dnia jest przygotowanie pobudki dla kleryków drugiego roku. Jest to coś na kształt studenckich chrzcin. Nieco przed dzwonkiem budzącym seminarium czwarty rok zrywał na nogi rok drugi, czyli najmłodszych w Dużym Domu, bo pierwszorocznicy byli od nas oddzieleni, i urządzał im krótkie przedstawienie: a to czwartorocznicy przebierali się za żołnierzy i odgrywali coś w rodzaju porannego apelu w jednostce, a to ci starsi od nas o rok poprzebierali się za duchy straszące po nocy. Było przy tym sporo śmiechu.

Przy tej okazji chciałbym wspomnieć o tym, jak wygląda kwestia traktowania w seminarium młodszych kleryków. Nie ma żadnej fali ani niczego w tym stylu. Różnie starsi traktują młodszych. Jedni z wyniosłą obojętnością, inni z sympatią, zwłaszcza gdy do starszego kleryka dołącza jakiś młodszy z tej samej parafii lub rodzinnej miejscowości.

Gdy w seminarium przebywa jednocześnie wielu kleryków z jednej parafii, dochodzi oczywiście do zjawiska podobnego do nepotyzmu i tworzenia się czegoś na kształt kamaryli. W moich czasach była taka parafia w Jeleniej Górze, która miała aż pięciu kleryków z różnych roczników, a w dodatku jej proboszcz miał ogromne wpływy wśród władz seminaryjnych i kurialnych. Nie muszę chyba mówić, że obsiedli stanowiska ceremoniarzy jak muchy i nikt nie mógł im nic zrobić. Kasty tej nie byli w stanie rozbić nawet przełożeni.

Zwyczaj mikołajowy nakazuje, żeby rano każdy z kleryków zastał naklejoną na drzwiach pokoju swoją karykaturę. Oczywiście nie chodzi o karykatury rysowane, bo nawet gdyby był na danym roku ktoś na tyle utalentowany, nie dałby rady ich wykonać dla każdego kleryka. Są to zawsze karykatury wykonywane metodą wklejania czyjegoś zdjęcia na jakiś obrazek, tak by kontekst był śmieszny i nawiązujący do czegoś, czym dany kleryk się wyróżnia.

Karykatury wiesza się także na drzwiach przełożonych. I tutaj ujawnia się kolejna zaleta grafiki komputerowej: zapewnia anonimowość. Pewien rocznik miał w swoich szeregach bardzo utalentowanego rysownika i koledzy namówili go, żeby tylko dla przełożonych wykonał karykatury rękodzielne. I choć wszystkie były bardzo, ale to bardzo sympatyczne i nie były ani trochę obraźliwe, kleryk ten nie dotrwał do końca studiów.

Kolejnym punktem programu jest mikołaj dla dzieci z domu dziecka w Legnicy. Również i tutaj należy przygotować odpowiednią oprawę, poczęstunek, prezenty, któryś z kleryków musi oczywiście przebrać się za św. Mikołaja itd.

Podczas obiadu zapowiada się specjalnie przygotowaną krótką scenką występy wieczornego kabaretu, zakończone zaproszeniem seminarzystów i przełożonych na wieczorną uroczystość.

Po obiedzie należy przygotować refektarz na wieczór – ustawić dekoracje do kabaretu, świąteczne nakrycia stołowe itd., itd.

Wieczorem przełożeni z biskupami na czele oraz całym seminarium udają się do dużej auli i tam ma miejsce najpierw przedstawienie poważne. Odegrane zresztą wtedy już drugi raz, bo premiera odbyła się w domu dziecka podczas mikołajek.

A potem następuje wreszcie wyczekiwany przez wszystkich kabaret.

Całe dwa miesiące biedziliśmy się z kolegą, żeby napisać scenariusz idealny: taki, który sprawi, że klerycy będą się pokładać ze śmiechu, ale jednocześnie taki, żeby przełożeni, będący obiektem żartów, się nie obrazili. A uwierzcie mi, są to jegomoście bardzo, ale to bardzo czuli na punkcie swojej godności.

Za ostrzeżenie służył nam los starszych od nas o rok alumnów. Zostało ich tylko dwóch i niektóre wykłady mieliśmy razem.

Przyszedł nam do głowy jednak bardzo szczęśliwy pomysł. Wykorzystaliśmy mianowicie to, że wielu z nas było ulubieńcami przełożonych. Ułożyliśmy więc obsadę tak, że danego przełożonego grał ten kleryk, którego on najbardziej lubił. Ponadto postawiliśmy na żarty bardzo filozoficzne, więc przypuszczam, że gdyby nasz kabaret oglądał ktoś spoza seminarium, nie umiałby dostrzec w nim nic śmiesznego. W tym zamkniętym środowisku w zupełności to jednak wystarczyło.

Dobrze dobraliśmy też konwencję całego kabaretu, przenosząc karykaturę seminarium na grunt neutralny: przedstawiliśmy, jak wyglądałoby seminarium, gdyby było starożytną Grecją, a przełożeni – bogami Olimpu.

Pomogła nam też trochę klęska naszych starszych kolegów. Dzięki temu udało nam się trafić w dziesiątkę. Seminarzyści się zaśmiewali, przełożeni zrozumieli tylko te żarty, które mieli zrozumieć, a przeważało zdanie otoczonego wielkim szacunkiem (choć niemającego wielkich wpływów) ojca duchownego ks. Marka Adaszka, który o kabarecie wielokrotnie się wypowiadał, chwalać nas za widowisko „inteligentne, kulturalne i na poziomie”.

Nikt z nas nie został w związku z mikołajowym kabaretem zmuszony do odejścia.

To, co opisałem, powinno dać obraz ogromu pracy, jaką klerycy czwartego roku muszą wykonać, by zapewnić reszcie seminarium jeden dzień krotchwili, często własnym kosztem.

Z tym większym smutkiem piszę te słowa. Nic tak nie łączy ludzi jak ogrom pracy, którą się wspólnie wykonuje. Chyba nawet największe animozje na naszym roku odeszły wtedy na bok. Dziś jednak żaden z tych ludzi, którzy ze mną wtedy studiowali, jedli, mieszkali i trudzili się, nie zniżyłby się do podania mi ręki. Oddzieliło nas to, że jako pierwszy diakon w historii tej diecezji na miesiąc przed święceniami kapłańskimi zostałem z seminarium usunięty. Już to wystarczyło, żeby wszyscy skulili się ze strachu i zerwali ze mną wszelkie kontakty. Ja sam ich także

nie szukałem, bo wiedziałem, że to nie ma sensu. A dziś, kiedy jestem ateistą i prowadzę stronę internetową, na której nawołuję do kultu Przyrody w miejsce chrześcijańskiego Boga, mur między nami jest nie do pokonania. No chyba że przyczołgałbym się publicznie na kolanach do Kościoła posypany popiołem i pozwolił się poniżyć do końca życia.

Na szóstym roku – ale wspomnę o tym już teraz – jednym z przedmiotów jest ekumenizm. Pojęcie to wymyślili protestanci różnych denominacji, którzy zaczęli przeciwdziałać rozbiciu i jednoczyć się we wspólnej modlitwie i współpracy. Widziałem, jak się ten ekumenizm odbywa. Zobaczyłem, jak rozmawiają ze sobą ci poróżnieni, którzy przyznają, że nie są nieomylni i że nie mają racji ostatecznej. Problem w tym, że Kościół katolicki żywi właśnie takie przekonanie. Dlatego żaden ekumenizm ze strony Kościoła katolickiego nie jest szczery, bo nie ma po jego stronie nic poza oczekiwaniem, że to inni z pokorą nawrócą się na jego jedynie słuszne zdanie.

Dlatego też ekumenizm wśród protestantów owocuje rzeczywistymi porozumieniami: wspólnie sprawowanymi sakramentami, wspólnie opracowanymi modlitewnikami, liturgią, wzajemną posługą duchownych jednego kościoła dla wyznawców innego itp. Kościół Ewangelicko-Augsburski w Rzeczypospolitej Polskiej na przykład nie zdecydował się jeszcze na ordynowanie kobiet na pastorów. Nie oznacza to jednak, że ewangelik z Polski nie może pójść na nabożeństwo do pastorki w Szwecji. Konsystorz polski, choć się na ordynację kobiet nie zgodził, uczynił tak tylko warunkowo w imię dotychczasowego zwyczaju, wyraźnie oświadczając, że to tylko zwyczaj, nie ma żadnych przeszkód teologicznych do ordynacji kobiet i gdy wierni w Polsce będą gotowi na takie rozwiązanie, również i tutaj zostanie ono wprowadzone. Nikt nie obstaje przy jakichś bzdurnych dogmatach, twierdząc, że na mocy Ducha Świętego jest nieomylny.

Naprawdę da się wtedy rozmawiać. A każdy, komu kiedykolwiek zdarzyło się dyskutować na jakikolwiek temat z kimś, kto uważa się za nieomylnego, przyzna mi rację, że taka dyskusja nie ma żadnego sensu. Dlatego też nie ma sensu szukać

jakiegokolwiek pocieszenia, jakiegokolwiek sprawiedliwości i pomocy duchowej w instytucjonalnym Kościele. Nie ma sensu szukać tam przebaczenia. Ten, kto uważa się za nieomylnego, nie przebacza nigdy. Chyba że się zaspokoi żarłoczność jego pychy, upadlając się i poniżając. Lecz i to nie daje gwarancji. Miałem się jeszcze o tym w przyszłości przekonać.

Czwarty rok przyniósł wiele przedmiotów teologicznych, na których wciąż dowiadaliśmy się, w czym to jeszcze Kościół uważa się za posiadacza ostatecznej prawdy. Wśród przedmiotów znalazły się takie jak teologia dogmatyczna – eklezjologia (nauka o Kościele) czy teologia dogmatyczna – sakramentologia.

Nigdy nie zapomnę, jak wykładowca eklezjologii podzielił tablicę na trzy części i powiedział nam, że cała teologia chrześcijańska ma trzy modele. A więc jest – według niego – model protestancki, który głosi – jeszcze raz podkreślam, że tylko według tego wykładowcy! – że natura ludzka jest zniszczona przez grzech i w człowieku nie ma nic dobrego. Że zbawienie odbywa się w tym modelu tylko z łaski, czyli de facto z widzimisię Boga, a wiernym wolno grzeszyć, ile się im podoba, bo Bóg i tak zbawi, kogo zechce. Że Maryi odmawia się w tym modelu wszelkiego szacunku, no bo przecież musiała być grzesznicą jak wszyscy. Te i wiele jeszcze innych totalnych bzdur opowiadał nam o protestantyzmie wykładowca, nim zaczął się pastwić nad trzecią kolumną tabeli. Ta znów przedstawiała model prawosławny – według wykładowcy panteistyczny, a więc na wpół pogański, bo głoszący, że wszystko jest święte, Bóg jest we wszystkim i we wszystkich. Grzechu też nie traktuje się w tym modelu poważnie, bo uznaje się go tylko za zewnętrzny brud, który łatwo obmyć.

Każdy, kto choć trochę poznał sposób, w jaki zarówno Kościoły prawosławne, jak i protestanckie przeżywają swoją wiarę, będzie wiedział, że są to straszne banialuki, żywcem wyjęte z satyrycznych rozprawek katolickich bojowników doby kontrreformacji.

Na końcu z wielką błogością na twarzy wykładowca odmalował nam na środkowej kolumnie, że w przeciwieństwie do tych jakże okropnych, drepczących

po skrajnościach modeli model katolicki jest najlepszy, najwspanialszy, wypośrodkowany, pełen mądrości z nieba, stojący ponad tymi jakże wstrętnymi herezjami...

Niepotrzebny był mi już wykład o ekumenizmie na szóstym roku. Już na czwartym się dowiedziałem, że jakikolwiek ekumenizm ze strony Kościoła katolickiego jest niemożliwy. Możliwe są tylko kurtuazyjne i nic w praktyce nieznaczające gesty.

Na marginesie dodam, że ten sam ksiądz profesor powiedział nam kiedyś:

– W Apokalipsie św. Jana czytamy, że Jezus powiedział: „Byłem umarły, a oto jestem żyjący”. ALE SIĘ POMYLIŁ! Bo wcześniej też był żyjący.

Jak widać, katoliccy teologowie potrafią poprawić nawet Boga.

Po raz pierwszy na poważnie do programu naszej nauki weszło prawo kanoniczne. Wprawdzie taki przedmiot był już na trzecim roku, tam jednak miał on jeszcze charakter ogólnego wprowadzenia. Teraz zaczęło się przerabianie poszczególnych ksiąg kodeksu prawa kanonicznego. Na czwartym roku na przykład dowiadywaliśmy się o normach dotyczących udzielania sakramentów.

Prawo kanoniczne jest bardzo ciekawym zjawiskiem. Obowiązuje, gdy ktoś chce dokonać czegoś, co elegancko nazywa się „stwierdzeniem nieważności małżeństwa”, a potocznie, choć dużo właściwiej – „kościelnym rozwodem”. Natomiast poza tym przypadkiem obowiązuje tylko wtedy, gdy się to biskupowi podoba.

I tak uczyliśmy się na przykład, że duchowny, który dopuścił się pewnych zabronionych przez prawo czynów – wśród nich Kodeks prawa kanonicznego, co ciekawe, NIE WYMIENIA sięgania dzieciom do majtek – musi zostać ukarany najpierw upomnieniem kanonicznym, czyli takim zaprotokołowanym w kurii. Jeżeli nie wykaże poprawy, można go ukarać suspensą, czyli odebraniem prawa do sprawowania części bądź całości prerogatyw wynikających ze święceń. Dopiero gdy i wówczas się nie poprawi, można przeprowadzić proces usunięcia ze stanu duchownego.

Pięknie to brzmi? Ale nie obowiązuje. Bo jest jeszcze tzw. droga administracyjna, czyli po ludzku i po imieniu rzecz nazywając – widzimy się biskupa. Biskup diecezjalny nie ma żadnego obowiązku oglądania się na normy prawa kanonicznego, gdy chce się kogoś pozbyć. Przełożeni nie mają obowiązku oglądania się na jakiekolwiek normy religijne, ludzkie ani boskie, gdy chodzi o ich władzę nad klerykami.



Po raz kolejny marnowaliśmy więc mnóstwo czasu na uczenie się o czymś tylko po to, żeby się dowiedzieć, że tak naprawdę to nie obowiązuje.

Studia teologiczne w seminarium naprawdę są stratą czasu. Wszystko, co księża głoszą na kazaniach, biorą z tego, co sami przeczytali, albo z tego, czego siostra zakonna nauczyła ich na religii w podstawówce. W seminarium nie nauczyli się niczego, co byłoby przydatne w życiu, niczego, co można by opowiedzieć parafianom z ambony, niczego, co by im samym wytłumaczyło, że to jednak nie w porządku upijać ministranta i się do niego dobierać.

Nauczyli się za to pychy, cwaniactwa, a co najważniejsze – bezkrytycznego, bezwzględного, rozanielonymi, maślanymi oczami podziwianego POSŁUSZEŃSTWA.

Posłuszeństwo to jest podszyte strachem. Prawo kanoniczne nie uchroni kleryka czy księdza przed gniewem i samowolą przełożonego. Władza w Kościele zawsze jest władzą absolutną, a czy będzie to absolutyzm oświecony, zależy wyłącznie od dobrej woli tego, kto tę władzę sprawuje. Jedyną więc nadzieją jest posłuszeństwo, służalczość właściwie, okazywane wszędzie i zawsze, przechodzące czasami w aż niesmaczne wazeliniarstwo.

Jeden z moich kolegów z roku, zresztą ceremoniarz, przeżył istny kryzys wiary. Przyszedł do mnie pewnego razu po uroczystości w katedrze, do której zjechali księża z całej diecezji. Opowiedział mi, co widział w czasie zakończenia mszy, gdy biskup diecezjalny przechodził od ołtarza do zakrystii, po drodze pozdrawiając zgromadzonych księży. Jako ceremoniarz szedł zaraz za biskupem. I zobaczył, jak księża przybierali rozanielone, pełne przesłodzonej pokory miny, ale natychmiast zmieniali je na szydercze bądź pełne nienawiści, gdy tylko biskup ich minął.

Teologii moralnej „uczył” nas nowy wykładowca. Ks. Adam O. przychodził na wykład, wyjmował plik kartek jakiegoś skryptu, po czym po prostu odczytywał go najnudniejszym w świecie głosem kogoś, komu cała teologia zwyczajnie zwisa. Cały rocznik przynosił na wykłady książki i gazety i wszyscy jawnie czytali sobie

coś innego, a profesorowi w ogóle to nie przeszkadzało. O ile wiem, już wtedy potajemnie szykował się on do odejścia z kapłaństwa.

Czwarty rok przyniósł też naukę katechetyki. Tutaj muszę powiedzieć, że wykładowca starał się, jak mógł: pokazywał nam przeróżne metody dydaktyczne, zarówno drobne sztuczki, jak i te poważne, dzięki którym można uczynić lekcje ciekawymi i je urozmaicić. Uczył nas, jak należy organizować naukę dzieciom, jak gimnazjalistom, jak starszym; zabierał nas do szkół w Legnicy, gdzie w praktyce ćwiczyliśmy nasze umiejętności podczas prawdziwych lekcji religii.

Problem w tym, że to nie metody dydaktyczne, choćby i najbardziej barokowe, sprawiają, że uczeń cokolwiek z lekcji zapamięta, i to nie do sprawdzianu, ale na zawsze. Decyduje o tym osoba nauczyciela: jego charyzma, dobroć, sprawiedliwość i mądrość. Uczniowie, czy to dzieci, czy to starsi, potrzebują mistrzów, a nie wyrobników.

Różnica w tej kwestii między księżmi a nauczycielami polega na tym, że ksiądz, jeśli jest charyzmatyczny, to w służbie złej sprawie. Nie w służbie wiedzy – bo jej teologia katolicka nie ma – ale w służbie przesądów i uprzedzeń. To, co jest dobrego w religii, może z niej wydobyć i przekazać uczniom tylko wybitny intelektualista, geniusz nieledwie, a tacy zdarzają się bardzo rzadko. Ksiądz katecheta to najczęściej ktoś, kto wszystko, czego nauczył się w seminarium, zakuł, zdał i zapomniał, a na lekcjach religii przekazuje dzieciom tylko własne przeświadczenia, uprzedzenia, własne neurotyczne utyskiwania i przesady. Pół biedy, jeśli czyni to wyrobniczo, w nudny i niezrozumiały sposób. Biada jednak tym uczniom, którzy wpadną na charyzmatycznego przekaziciela własnych lęków i niewiedzy.

Wspiera takich katechetów Kościół, który dobrze wie, że postawił na nietęgę głowę, gdyż takie są bardziej posłuszne. Stąd kuriozalne, co rusz przez kogoś wychwytywane kwiatki z podręczników do religii i programów.

To jest wielki problem Kościoła, że cała jego przeintelektualizowana teologia jest tak naprawdę bezproduktywnym, odizolowanym pałacykiem Sanssouci, w którym się przyjemnie dyskutuje i pisze nieczytane przez nikogo tomy,

a tymczasem Kościół opiera się na wierze w opowiadki pani katechетки z przedszkola. Teologów katolickich nikt nie słucha, z biskupami na czele. I nie bez powodu.

Gdy byliśmy na czwartym roku, wybuchła głośna sprawa odejścia z kapłaństwa i od wiary ks. prof. Tomasza Węclawskiego. Ks. prałat dr Józef L., kanclerz kurii i najpotężniejszy człowiek w diecezji, a przy okazji nasz wykładowca jednej z części prawa kanonicznego, niemal zapłuł się z wściekłości, gdy o tym opowiadał. Zresztą nie tylko on. Wielu przełożonych i wykładowców potraktowało byłego teologa jako znakomitą pomoc dydaktyczną.

Mówili mniej więcej tak: „Patrzcie, taki był pyszny, zarozumiały, krnąbrny i – o zgrozo! – nieposłuszny. Na wielkiego męczennika, świętego arcybiskupa Paetza szczekał, na jeszcze bardziej świętego i umęczonego pod PZPR-em arcybiskupa Wielgusa napadał... i co? Teraz jest nikim, zwykłym świeckim, co z kobietą poszedł, ateistą, pod którym wrota piekła się otwierają, sługą Szatana i plugawym kundlem na przenajświętszy Kościół ujadającym” – tym ostatnim sformułowaniem posłużył się sam ksiądz kanclerz.

I chyba tylko ja zadałem sobie trud, żeby przeczytać artykuł na dwie strony, który napisał były ksiądz Węclawski w uzasadnieniu swojego odejścia od wiary. Wtedy jeszcze nie dopuszczałem do siebie słuszności tego, co napisał o kruchości podstaw teologii i wiary w historyczność przekazów ewangelicznych. Jednak wiedziałem już, że ten wybitny teolog odszedł od wiary z innych względów, niż katolickie duchowieństwo zwykło przedstawiać.

Nieco wcześniej na polskim rynku ukazała się książka Richarda Dawkinsa Bóg urojony. Przełożeni zareagowali na nią z pełnym pychy lekceważeniem.

– Nic tam takiego nie ma – zapewniali, choć żaden z nich jej nie przeczytał. – To taki łabędzi śpiew ateizmu, taki wiecie, dla podniesienia upadającego entuzjazmu.

Dzisiaj, czternaście lat po tym, jak padły te słowa, Kościół w Polsce drogo płaci za swoje zarozumiałstwo. A mimo to wciąż nie jest w stanie z niego zrezygnować.

Na zakończenie roku czwartego klerykom jest udzielana kolejna posługa – akolitat. Zyskują tym samym prawo do rozdawania komunii, otwierania i zamykania tabernakulum itp. Żeby było ciekawiej, mniej więcej rok później przełożeni, w tym biskup liturgista, nagle się obudzili, że według przepisów liturgicznych akolita jest szafarzem nadzwyczajnym eucharystii, co oznacza, że tak naprawdę wyżej wspomniane czynności może sprawować tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, takich jak na przykład duża liczba przystępujących do komunii. Kiedy jednak my otrzymywaliśmy akolitat, nikt na to nie zwracał uwagi.

Przy tej okazji wypłynął ciekawy problem, a mianowicie żaden z nas nie miał pojęcia, jak się rozdaje komunię, jak to w sensie praktycznym prawidłowo zrobić. Dopiero w ostatniej chwili ks. Marek Adaszek, który prowadził nasz dzień skupienia przed otrzymaniem akolitatu, odpowiednio nas poinstruował.

– Nie wpychajcie ludziom łapsk do gęby. Nie potrzeba. Patrzcie. – Wziął jeden komunikant i włożywszy go do ust, pokazał nam język. – Widzicie? Przykleja się. Wystarczy delikatnie upuścić.

Przypomnę tylko, że byliśmy wówczas już po sześciu semestrach liturgiki.

Udzielenie akolitatu odbywa się w katedrze, znów jednak bez wielkiej uroczystości, na zwykłej mszy, w ostatni dzień roku akademickiego.

Rok piąty

W wakacje poprzedzające piąty rok, we wrześniu, klerycy udają się na pierwszą praktykę na parafii. Dostają podpisane i opieczetowane tabelki, w których muszą wpisywać każdą poprowadzoną lub obserwowaną lekcję religii – temat, datę, podpis katechety opiekuna. Łącznie trzeba było zebrać dwieście godzin.

Wikary w parafii, do której mnie przydzielono, dość otwarcie romansował z pewną młodą katechetką. Znamienne jest to, że ksiądz ten był jednocześnie istnym tyranem dla swoich uczniów. Był to czas, kiedy na krótko wprowadzono w gimnazjach sławetne mundurki. Na pierwszej katechezie ksiądz ani razu nie wypowiedział słowa „Bóg”, „Jezus” ani im podobnego. Pierwsza katecheza była w całości o mundurkach.

– Za brak mundurka na lekcji jest pięć punktów karnych – mówił do uczniów głosem zadowolonego sadysty. – Więc proszę bardzo, policzcie sobie, ile będziecie mieli punktów karnych, jeżeli w danym dniu będzie siedem lekcji? – Odczekał, powiódł wzrokiem po klasie, a potem ze złośliwą uciechą rzekł: – Trzydzieści pięć punktów karnych.

O tym księdzu można powiedzieć tylko tyle dobrego, że z pewnością nie był pedofilem. On jawnie nienawidził ministrantów i swoich uczniów w szkole.

Któregoś dnia poszedłem na kolację do jadalni na plebanii i zastałem tam tylko proboszcza. Mijały minuty, a wikary się nie zjawiał. Proboszcz kazał mi więc po niego pójść. Po kilku minutach dobijania się drzwi się uchyliły i wyjrzała zza nich pełna wściekłości twarz wikarego.

– Ja teraz spowiadam! – powiedział i zatrzaskał drzwi. Zdążyłem jednak zauważyć, że przynajmniej do pasa był goły. Godzinę później jego mieszkanie opuściła wspomniana katechetka.

A jego kazania! Któregoś razu nie mogłem się już powstrzymać i powiedziałem mu, że ludzie mają dość wydzierania się na nich i wydawania poleceń. Tego mają już wystarczająco dużo w pracy, a od Kościoła oczekują chyba jednak czegoś innego.

W czasie mojej praktyki odbył się odpust parafialny. Po uroczystej sumie wydawano oczywiście obiad dla wszystkich księży. Pamiętam, jak dzień wcześniej proboszcz rozmawiał z kucharką:

– Jaką zupę pani przygotowała na odpust?

– Rosół, proszę księdza...

– Nie! Nie! – krzyknął proboszcz z paniką w oczach. – Muszą być flaki! Koniecznie! Bo u św. Jadwigi mieli flaki na odpuście! To teraz modne! Co księża powiedzą, jeśli u nas flaków nie będzie? Niech pani w tej chwili robi flaki na jutro!

Oprócz rzeczonych flaków na stole nie zabrakło drogich alkoholi. Nalewałem księżom piwo, z wódką radzili sobie sami.

Rok piąty w seminarium przynosi sporą ulgę, jeśli chodzi o liczbę wykładów. Jednakże w tym właśnie roku podczas letniej sesji klerycy bronią pracy magisterskiej. Żeby było ciekawiej, tytuł magistra jeszcze im wtedy nie przysługuje. Otrzymują go dopiero wraz ze święceniami kapłańskimi.

Wciąż kontynuowane były teologia dogmatyczna, katechetyka, prawo kanoniczne, teologia moralna... Już od poprzedniego roku przerabialiśmy także homiletykę, czyli naukę wygłaszania kazań. Był to jeden z nielicznych przedmiotów, które mają rzeczywiste znaczenie praktyczne. Obejmował ćwiczenie figur retorycznych, budowy kazań, homilii. Jeden wykład był nawet poświęcony sztuce wygłaszania... toastów. Jako zadanie domowe wykładowca zadał nam napisanie takiego toastu z dowolnej okazji. Na następnym wykładzie każdy musiał swoją pracę odczytać. Pamiętam, że napisałem toast na cześć grabarza z okazji pogrzebania stutysięcznego zmarłego w jego karierze.

Gdyby na wykładzie był obecny rektor, dostałby chyba zawału.

Teologia pastoralna to bardzo ciekawy przedmiot. Przed Soborem Watykańskim II pod tym pojęciem rozumiano wykład prowadzony przez jakiegoś starszego, doświadczonego proboszcza, który dzielił się z klerykami swoim doświadczeniem w zarządzaniu parafią. Naprawdę wiele Kościołów stracił na tym, że od tego odszedł. Dzisiaj teologia pastoralna to kolejne czysto abstrakcyjne i zupełnie niepotrzebne bzdury. Duże poczucie humoru miał ktoś, kto nazwał tę dyscyplinę „teologią praktyczną”.

W założeniu ten przedmiot miał poszukiwać odpowiedzi na pytania o to, jak człowiek wierzący, duszpasterz, wreszcie cały Kościół powinien funkcjonować we współczesnym świecie. Problem polega na tym, że aby znaleźć odpowiedź na jakieś pytanie, potrzebne są dane. W tym wypadku – wiedza o tym, jak świat współczesny wygląda i jak funkcjonuje, z jakimi boryka się problemami i trudnościami. Żeby zaś taką wiedzę zdobyć, trzeba po prostu wyjść na zewnątrz i otworzyć oczy. Patrzeć. Słuchać. Rozmawiać z ludźmi i starać się ich zrozumieć.

Tymczasem co robi kościelna teologia pastoralna? Odpowiedzi na to, jaki jest współczesny świat, szuka w... encyklikach Jana Pawła II i dziełach Tomasza z Akwinu.

To tak samo, jakby astronom konstruował model ruchu planet, obserwując muchy latające wokół żyrandola.

Na wykładzie tym, co ciekawe, byli tzw. księża robotnicy, czyli księża francuscy, którzy w ramach pewnego eksperymentu duszpasterskiego pracowali w zwyczajnych fabrykach czy nawet kopalniach i swoją posługę pełnili niejako na miejscu, wśród ludzi. Oczywiście teologia skwitowała ten pomysł jako „niewłaściwy z pastoralnego punktu widzenia” – cokolwiek by to znaczyło.

To mnie uderzyło w seminarium od samego początku: straszliwa niechęć do wszystkiego, co na zewnątrz. Ta niechęć to też lęk przed wszelką praktyką, życiowym podejściem, otwarciem się na rzeczywistość. Bez przerwy powtarzano nam, że tu, w seminarium, jest prawdziwe królestwo Boże, podczas gdy „za tymi murami” zaczyna się „zły, przeklęty i nurzający się w grzechu świat”. Każdy kleryk, który nawiązywał zbyt dobre relacje ze zwykłymi ludźmi, był z miejsca

traktowany bardzo podejrzliwie. Ciągłe słyszeliśmy, jakie to „zagrożenia duchowe” czyhają na nas zewsząd. Rektor z całą powagą twierdził, że „wszystkie telefony w seminarium są na podsłuchu”, a takie gazety, jak „Fakty i Mity”, „Nie” czy „Gazeta Wyborcza”, mają wśród nas swoich szpiegów.

Dodajmy teraz do siebie paranoiczne spojrzenie na świat człowieka, który ani nosa, ani umysłu nie chce wyściubić z murów seminarium, i rozwlekłe lanie wody w encyklikach papieskich, przyprawmy to sporą dozą strachu, poczucia obłąkania i zagrożenia, a otrzymamy wszystko, co Kościół katolicki myśli o świecie, czyli o nas, ludziach.

Żadnemu bezstronnemu psychologowi nie pozwolono zbadać tego, czym jest polskie seminarium. Ja sam psychologiem nie jestem, ale ośmielę się stwierdzić, że bardzo rzadko się zdarza, żeby do seminarium wstępowali świadomi swoich preferencji pedofile z myślą o tym, żeby zdobyć zawód dający im stały dostęp do dzieci. O wiele łatwiej jest przecież zostać nauczycielem czy opiekunem kolonii.

Do seminarium trafiają jeszcze niedojrzali psychicznie chłopcy, którzy są nieobcy z seksualnością własną i innych. Zadbala o to religia: bigoteryjne rodziny albo przemożny autorytet księdza. A najczęściej zadbali o to koledzy w szkole, którzy wmówili swojej ofierze, że jest gorsza, zepchnęli ją na margines normalnego życia. A tam już czyha religia ze swoimi pocieszeniami i pruderią.

Taki to niedojrzały i podatny na kształtowanie nastolatek zostaje zamknięty z kilkudziesięcioma tak samo niedojrzałymi jak on chłopcami, a wszystko to pod przewodnictwem przeżywających kryzys wieku średniego mężczyzn opętanych paranoicznym strachem przed „światem” i „mocami ciemności”, przed „cywilizacją śmierci”, a nade wszystko przed pokusami ciała.

To, czego człowiek się panicznie i irracjonalnie boi, ma na niego większy wpływ niż to, co kocha, lubi i szanuje. Przedmiot irracjonalnego strachu łatwo staje się przedmiotem równie irracjonalnej, wykoślawionej fascynacji.



Księża bardzo, ale to bardzo boją się młodzieży. Ich kolorowego, trochę dekadenceckiego, nacechowanego wolnością w doborze wartości i autorytetów świata. Panicznie boją się tego, że wychodząc z seminarium, stają do walki.

Twierdzą więc, że gdyby taki chłopak nie poszedł do seminarium, tylko na zwykłe studia, szybko nadrobiłby zaległości i stał się zwyczajnym mężczyzną, umiejącym kochać – bez znaczenia, czy kobietę, czy innego mężczyznę – po ludzku i bez krzywdzenia kogokolwiek. Ale skoro wstępuje do zamkniętego lochu paranoi, skrajnie obłudnej pruderii i wszechobecnego strachu, naprawdę może się przeistoczyć w potwora, zafascynowanego zabawianiem się genitaliami dojrzewających chłopców.

Podobno wielu psychologów twierdzi, że takie postawy kształtują się w okresie dojrzewania lub nawet we wczesnym dzieciństwie. Ale oni nie byli w seminarium. Nie widzieli, jak się zmiękcza ludzi, żeby byli podatni na dowolne formowanie, nie widzieli, że naprawdę da się zrobić z nie do końca dojrzałego chłopaka psychiczną plastelinę. A potem w tej plastelinie odciska się cała nienormalność i patologia seminaryjnego świata.

Jestem pewien, że większość księży pedofilów nie tknęłaby dziecka, gdyby nie poszli oni do seminarium. To ta właśnie instytucja jest za ich czyny w głównej mierze odpowiedzialna. To ona ponosi winę.

Dodam, że seminarium jest środowiskiem wybitnie homofobicznym. I to mimo że wielu homoseksualistów w nim studiowało. Jednak kimś innym jest ktoś świadomy swojej orientacji, akceptujący samego siebie i realizujący na swój sposób ludzkie pragnienie miłości, a kimś zupełnie innym rozdarty wewnętrznie kryptogej, który święcie wierzy, że homoseksualizm jest czystym diabelskim złem, a każdy mężczyzna odczuwający pociąg seksualny do innego mężczyzny jest z definicji przeklęty przez Boga i przeznaczony na wiekuiste potępienie. Taki ktoś żyje wstrętem do samego siebie podsycanym przez nauczanie Kościoła i uzewnętrznia ten wstręt w postaci histerycznego ataku na wszelką odmienność.

Nie muszę dodawać, że w połączeniu z obłudą i udawaniem wobec samego siebie, które jest klerykom wpajane od samego początku, skutkuje to takimi absurdami, jak ksiądz chyłkiem wyjeżdżający do klubów gejowskich czy korzystający z męskich usług seksualnych, który jednocześnie święcie wierzy, że gejem nie jest, a to, że się przespał z mężczyzną, jest wyłącznie chwilową klęską w walce z Szatanem, i który następnego dnia z ambony gromi „ideologię” LGBT.

Na piątym roku po raz pierwszy usłyszałem w seminarium słowo „celibat”. Z jakiegoś powodu żaden wykładowca teologii tej czy innej nie zrobił wykładu na temat tego, co celibat dokładnie oznacza. Wielu księży czy nawet kleryków cynicznie twierdziło, że celibat znaczy tyle, co niezawieranie związku małżeńskiego. A że według Kościoła katolickiego coś takiego jak seks pozamałżeński istnieć nie ma prawa, w domyśle – ale tylko w domyśle! – celibat oznacza także brak seksu.

Na pierwszym roku raz jeden któryś z wykładowców powiedział, żebyśmy uważali, bo wiosna idzie, będzie cieplej i niektóre kobiety specjalnie ubierają się i zachowują w wyzywający sposób, żeby księży usidlić. Bez komentarza.

Skutki? Klerycy wymykający się z pokojów do toalety, żeby sobie ulżyć. Klerycy, którzy choć bardzo się pilnują, to widać ich okropny wysiłek, gdy tylko rozmawiają lub przebywają z jakimkolwiek obiektem swojego podniecenia. Klerycy, którzy nie potrafią mówić o niczym innym niż o seksie, zwłaszcza homoerotycznym. Klerycy, którzy nie potrafią się zachować wobec kobiet, dzieci, innych mężczyzn. Wreszcie: klerycy, a później księża rozchwiani emocjonalnie, leczący swój duchowy rozstrój alkoholem, hazardem, narkotykami.

Pamiętam doskonale kazanie, które wygłosił nam ks. Marek Adaszek na temat samej instytucji seminarium. Powiedział, że niegdyś, w czasach przed Soborem Trydenckim, miejscem narodzin, wzrostu i wychowania nowych powołań była wspólnota parafialna. Kandydaci do kapłaństwa wyłaniali się i kształtowali w parafii, a więc także wśród kobiet, pod okiem proboszcza i starszych kapłanów. Jednakże – ciągnął ks. Marek – parafie utraciły tę „płodność”, gdyż przestały być wspólnotami w sensie rzeczywistej społeczności, połączonej więzią miłości do

Boga i ludzi. Trzeba je było zastąpić seminariami, które są niejako sztucznym, zastępczym rozwiązaniem w stosunku do tej pierwotnej wspólnotowości.

Ktoś z nas po wysłuchaniu tego kazania skwitował: „Skoro parafia to takie łono matki dla powołanych, to seminarium stanowi odpowiednik zapłodnienia in vitro”. I co najlepsze, w takim razie do instytucji seminarium odnoszą się wszystkie te zarzuty, które Kościół stawia metodzie sztucznego zapłodnienia, czyli że jest nienaturalna, pociąga za sobą konieczność niszczenia większości zarodków i nie leczy bezpłodności.

Zarzuty, które Kościół stawia in vitro, powinien postawić instytucji seminarium. Niestety, choć hierarchowie prześcigają się w pouczeniu wiernych co do alternatywnych metod leczenia bezpłodności, nie mają żadnych pomysłów na zastąpienie seminariów. Co więcej, oni tej patologii nie chcą w ogóle widzieć.

Jeszcze na drugim roku kazano mi przeprowadzić wywiad z ks. biskupem Damianem Zimoniem, ordynariuszem diecezji, z której przybył do nas biskup Stefan Cichy. Pytania ułożyli przełożeni, ja miałem tylko się z księdzem biskupem spotkać i spisać jego odpowiedzi na użytek publikacji w czasopiśmie „Echo Seminarium”. Wśród pytań, które miałem biskupowi zadać, znajdowało się takie: „Mówi się, że seminarium jest pupilla oculi (źrenicą oka) biskupa diecezjalnego. Jak Ksiądz Biskup widział rolę seminarium w swojej posłudze ordynariusza diecezji?”.

Odpowiedź biskupa była taka, że seminarium jest „źrenicą oka” ordynariusza nie tylko w sensie obiektu jego szczególnej troski, lecz także jako okno, probierz i papierek lakmusowy stanu Kościoła lokalnego. W seminarium odbijają się wszystkie problemy diecezji, problemy wiernych i wspólnot parafialnych.

To jest właśnie charakterystyczne w spojrzeniu Kościoła na problem, jakim są seminaria: to nie one są winne, winni są wierni. Rodziny, z których klerycy pochodzą. Ksiądz jest nieprzygotowany do posługi parafialnej? To wina jego parafii rodzinnej i środowiska. Ksiądz jest pedofilem? Wina jego rodziców. Ksiądz politykuje i ciągle chce pieniędzy? To wina trudnej sytuacji materialnej w jego domu. Ale nigdy, przenigdy i w żadnym wypadku – wina seminarium.

Kiedyś rektor powiedział do nas:

– Ciągłe niektórzy narzekają: „seminarium nie przygotowuje” do życia, posługi na parafii, do rzeczywistości... Seminarium nie ma do tego przygotowywać! Seminarium ma dać podstawę teoretyczną, zapewnić ludzką formację na prawdziwych mężczyzn, dobrych chrześcijan i wykształconych teologów. Do życia nie można się przygotować.

Cóż. Jeżeli seminarium ma formować „prawdziwych mężczyzn”, to z miejsca trzeba uznać porażkę tego systemu. To samo się tyczy „podstawy teoretycznej” czy formowania „dobrych chrześcijan”. Jak niby powyższe cele ma spełnić miejsce, w którym niedojrzali emocjonalnie chłopcy zanurzeni są w seksualnej i społecznej patologii zamkniętych koszar duchownych, w których nauka jest traktowana jako uciążliwy dodatek, inteligencja – jako akt pychy, innowacyjność – jako podszyta zarozumiałstwem krnąbrność, a pobożność – jako szkodliwy indywidualizm?

Piszę o tym wszystkim przy okazji rozdziału poświęconego piątemu rokowi, gdyż ten rok jest tak naprawdę rekapitulacją całej formacji. Pod jego koniec alumni otrzymują święcenia diakonatu, pierwszy stopień sakramentu święceń, który włącza ich w szeregi – według prawa – duchowieństwa nieodwołalnie i na zawsze.

Same święcenia odbywają się uroczyście, w katedrze. Niewiele się różnią od święceń kapłańskich: jest Litania do Wszystkich Świętych, podczas której przyjmujący święcenia leżą krzyżem na posadzce świątyni; jest średniowieczny gest homagium – włożenia rąk w ręce biskupa na znak lennego poddaństwa – i przysięga posłuszeństwa; jest wreszcie nałożenie rąk na kandydatów, uznawane w katolicyzmie za najistotniejszy składnik udzielenia sakramentu święceń. Jest nałożenie święconym stuły przewieszanej przez prawe ramię oraz dalmatyki – odpowiednika ornatu dla diakonów.

Mniej znana jest tajna, kameralna uroczystość, która odbywa się za zamkniętymi drzwiami w kaplicy seminaryjnej w przeddzień święceń. To tzw. przyrzeczenia diakonów, podczas których kandydaci chórem wypowiadają tekst trzech przysięg. Przysięgi wierności doktrynie Kościoła, przysięgi celibatu i przysięgi posłuszeństwa.

Trzy przysięgi, trzy akapity. Pierwszy i ostatni są obszerne, szczegółowe i obejmują wierność doktrynie kościelnej zawartej tak w orzeczeniach dogmatycznych, jak i w tzw. nauczaniu zwyczajnym oraz wszelako rozumiane posłuszeństwo papieżowi i przełożonym z biskupem diecezjalnym na czele.

Środkowy akapit, ten traktujący o celibacie, składa się z jednego zdania: „Uświadamiam sobie, czego wymaga ode mnie prawo celibatu, które z pomocą Bożą postanawiam zachować do końca życia”.

Trzy przysięgi, trzy akapity. Drugi rażąco kontrastuje z pozostałymi ze względu na lapidarność i brak jakiegokolwiek uszczegółowienia. Jest to oczywiście logiczne następstwo kościelnej pruderii: nie mówi się w tekście uroczystej przysięgi o tym, CO właściwie się pod słowem „celibat” rozumie – bo nie wypada.

Po odczytaniu tekstu każdy kandydat do święceń podchodzi do ołtarza, kładzie rękę na umieszczonym tam ewangeliarzu i mówi: „Tak przyrzekam, tak ślubuję, tak przysięgam. Tak niech mi dopomoże Bóg i Jego święta Ewangelia, której dotykam swoimi rękami”.

Mówi się o „rękach”, a dotyka się jedną. Nie ma chyba lepszej ilustracji połowiczności, nieдомówień i jednej wielkiej symboliczności tego, jak się podchodzi w Kościele do kwestii seksualności seminarzystów, a później księży.

Święcenia diakonatu są poprzedzane przez trwające tydzień rekolekcje. Odbываły się w należącym do seminarium ośrodku w Szklarskiej Porębie. I tutaj nie obyło się bez kuriozalnej sytuacji, wprost powiązanej z systemem kształcenia duchownych. Już w trakcie rekolekcji stwierdziliśmy, że oto za niecały tydzień będziemy diakonami, a... nie mamy bladego pojęcia o tym, co diakon robi podczas mszy! Po czterech latach liturgiki! Wstyd. Jeden wielki wstyd.

Interwencyjnie poprosiliśmy niezawodnego ks. Marka Adaszka o pomoc. Przyjechał specjalnie dla nas na rekolekcje, urządził nam szybkie przeszkolenie w funkcjach liturgicznych diakona i pokazał, jak je prawidłowo sprawować.

Doprawdy, czasami dochodzę do wniosku, że to wszystko, co z całej sześcioletniej nauki w seminarium przydaje się później w kapłaństwie, dałoby się

zmieścić w kilkudniowym kursie. I kto wie, czy taki krótki kurs nie wydałby lepszych duchownych niż wieloletnie przebywanie w fizycznym i intelektualnym zamknięciu.

A co z teologią? Ktoś mógłby zapytać, jak potem taki ksiądz będzie mówił kazania, skoro nie pozna zasad egzegezy Pisma Świętego, historii Kościoła itp., itd. Odpowiem na to, że do kazań, które zwykle można usłyszeć w kościołach, w zupełności wystarczy to, czego się księża jako dzieci nauczyli na religii w podstawówce. A lepszych przecież wygłaszać nie wolno, bo przełożeni zaraz zaczną podejrzewać delikwenta o „brak pokory” i skłonność do nieposłuszeństwa.

Rok szósty

Ostatni rok w seminarium to rok szczególny. Diakoni są wyraźnie inaczej traktowani niż cała reszta seminarzystów. W zasadzie nie są już klerykami – są duchownymi. Nie są też już w sensie ścisłym studentami, gdyż studia magisterskie jako takie ukończyli na roku piątym. Tak jak rok pierwszy jest traktowany jako „dodatkowy”, bo przygotowawczy, tak rok szósty jest traktowany jako końcowe doszlifowanie.

I tak diakoni w czasie roku szóstego wyjeżdżają na aż trzymiesięczne praktyki do parafii: we wrześniu (a więc jeszcze przed rozpoczęciem roku akademickiego), w styczniu i w czasie Wielkiego Postu z Wielkim Tygodniem i Wielkanocą włącznie.

Diakoni mają też wyjątkowy przywilej: mogą wracać z przechadzki zawsze o godzinę później niż reszta kleryków.

Wykładowcy szóstego roku w większości nie traktują swojego obowiązku poważnie – przychodzą na wykłady mocno spóźnieni lub mają niewiele do powiedzenia na temat danego przedmiotu. Więcej jest luźnej rozmowy albo mówienia o wszystkim i o niczym, a konkretny temat wykładu traktuje się na zasadzie: „a co ja wam będę mówił, jesteście diakonami, prawie księżmi, to już wszystko wiecie”.

Weźmy na przykład taki przedmiot – niewątpliwie bardzo praktyczny i potrzebny – jak praktyka kancelaryjna. Jest to temat tym bardziej przydatny, że w Polsce ślub kościelny stanowi jednocześnie państwowy akt prawny. Dodatkowo prawo kanoniczne stawia mnóstwo warunków i pełne jest rozmaitych kruczków, na które trzeba uważać, gdyż inaczej małżeństwo będzie nieważne (nic dziwnego, że za odpowiednią cenę zawsze można znaleźć powód, żeby stwierdzić nieważność ślubu).

Tymczasem nauka spisywania wszystkich skomplikowanych protokołów przedmażeńskich wyglądała tak, że wykładowca przyniósł dla każdego gruby na kilkadziesiąt kartek plik kserokopii formularzy, w ciągu jednego (sic!) wykładu w ekspresowym tempie wszystko omówił i uznał temat za zamknięty.

Jestem pewien, że gdyby przyszli do mnie narzeczeni i zgłosili chęć pobrania się, nie miałbym najmniejszego pojęcia, co należy robić.

Był też i taki wykład: teoria i praktyka spowiedzi. Pomijając błędne potoczne użycie słowa „teoria” w nazwie przedmiotu (wszak teoria nie jest przeciwieństwem praktyki – przeciwieństwem praktyki są założenia, a teoria to wynikająca właśnie z praktyki wiedza naukowa), cała „praktyka” zawierała się w nauczaniu się na pamięć sakramentalnej formuły spowiedzi. Ni mniej, ni więcej.

No cóż, ale nie czepiajmy się wykładu! Życie seminaryjne dostarczyło nam mnóstwa przykładów tego, jak wygląda spowiedź. Na przykład wtedy, gdy pewien kleryk w czasie porannego rozmyślania udał się do dyżurującego w konfesjonale ojca duchownego do spowiedzi. W panującej w kaplicy absolutnej ciszy przez chwilę słychać było niewyraźny szept naszego kolegi na przemian z mamrotaniem spowiednika. Nagle ni stąd, ni zowąd ojciec duchowny zapytał penitenta tak głośno, że całe seminarium usłyszało:

– A ONANIZM BYŁ?



Niejeden raz zdarzało się także, że przełożony zewnętrzny nagle pytał kleryka w czasie indywidualnych rozmów o sprawy, o których ten kleryk powiedział tylko któremuś z ojców duchownych w czasie spowiedzi.

Tak, „praktykę spowiedzi” zaliczaliśmy na co dzień przez sześć lat.

A co z pocieszaniem grzeszników czy cierpiących? Czy tego nie powinien się nauczyć adept kapłaństwa?

W seminarium co prawda nie miałem okazji wysłuchać żadnego wykładu na ten temat, ale z nawiązką zrekompensowała mi to praktyka w jednej z parafii.

Proboszcz tej parafii, gdy mu powiedziałem, że nie czuję się dobrze przygotowany do pracy w kancelarii parafialnej, zaprosił mnie, żebym towarzyszył mu w czasie jego urzędowania. Przyszły więc pewnego razu dwie kobiety: starsza i młodsza. Jak się okazało, były to matka i córka, a przybyły załatwić pogrzeb: zmarł ich mąż i ojciec.

Oto, czego się nauczyłem o tym, jak się traktuje takich ludzi. Proboszcz w trakcie całej rozmowy wypowiedział do obydwu kobiet tylko trzy zdania:

1. Czego tu?
2. Do kościoła nie chodził!
3. Piętnaście minut przed pogrzebem samochodem po księdza trzeba przyjechać, bo nie będzie nikt na was benzyny tracił.

Po pewnym czasie proboszcz uznał, że dość się napatrzyłem i mogę z powodzeniem poradzić sobie w kancelarii samodzielnie. Wyzaczył mi więc dyżur w sobotę, gdy urząd parafialny otwarty był tylko przez godzinę – ot, żeby nie wystawiać moich umiejętności na zbyt ciężką próbę. Ostrzegł mnie jednak:

– W sobotę czasami przychodzi tu taka zdzira, wariatka jedna. Poznasz ją bez trudu, taka stara, rozczochrana, zawsze zapłakana i będzie ci próbowała coś pieprzyć o swoim synu. Wywal ją za drzwi od razu. Możesz zagrozić, że wezwiesz policję, jakby się stawiała.

Przyszła, gdy siedziałem w kancelarii. Dokładnie taka, jak ją opisał proboszcz. Rzeczywiście można było pomyśleć, że jest przynajmniej lekko pomyłona. Ale ja – młody, głupi, jeszcze pełen ideałów – nie wyrzuciłem jej za drzwi. Wysłuchałem. A ona mi pokazała zdjęcia z tomografii swojego syna. Pokazała mi raka mózgu, który go zabijał. Przyszła tylko się wypłakać. Chciała, żeby ktoś jej wysłuchał.

Popeliłem straszliwą zbrodnię wtedy, w to sobotnie przedpołudnie. Nie tylko nie okazałem posłuszeństwa proboszczowi, ale co gorsza, przyjąwszy tę nieszczęśliwą kobietę, płaczącą nad swoim synem matkę, nie poinformowałem jej o tym, że „Bóg tak chciał i ma w tym zapewne jakiś plan”. Zamiast tego – o zgrozo! – trzymałem tę kobietę za ręce i płakałem razem z nią.

Informacja o mojej karygodnej niesubordynacji została przekazana do seminarium.

Mój szósty rok był też czasem wielkiego wydarzenia w diecezji. Jeden z naszych wykładowców, o którym już wcześniej wspomniałem, został wyświęcony na biskupa pomocniczego diecezji.

Ks. Marek M. to bardzo dziwna postać. Pamiętam, jak któregoś dnia na wykładzie powiedział, cytuję:

– Bardzo lubię jeździć, wiecie, incognito na baseny. Tyle tam radości! Można pooglądać kąpiące się dzieci...

Nie zamierzam tutaj w żaden sposób insynuować, że obecny biskup miał coś złego na myśli, gdybym był jednak rodzicem jednego z takich dzieci, poczułbym się trochę nieswojo.

Innym razem, a było to tuż przed wyborami parlamentarnymi, ks. Marek napisał na tablicy „PO” oraz „PiS”.

– Ja wam absolutnie nie mówię, na kogo macie głosować – powiedział, pukając znacząco w miejsce na tablicy, gdzie napisał „PiS”.

Ogólnie trzeba powiedzieć, że był to człowiek straszliwie wyniosły i jednocześnie jako szef wydziału katechetycznego kurii biskupiej mocno się dawał

katechetom we znaki. Dziś, w dobie masowych rezygnacji młodzieży z lekcji religii w szkole, ani trochę nie spuścił z tonu.

Uroczystość jego święceń była taka jak cała kościelna hierarchia: pompatyczna, nadęta i przyprawiona obłudą i służalczością dworaków.

Jeden z biskupów uczestniczących w święceniach tak się zwrócił do nowego kolegi, nawiązując do słów Pawła Apostoła z Drugiego Listu do Tymoteusza:

– Głoś naukę, nastawaj w porę i nie w porę, wykaz błąd, poucz. Tak, wykaz błąd, poucz! Bo to jest misją biskupa w Kościele.

Słuchając wypowiedzi i obserwując sposób bycia nowego biskupa, trzeba przyznać, że najwyraźniej bardzo wziął sobie te słowa do serca. Tak, to jest misja biskupa w Kościele: ma być wiecznie niezadowolonym dyktatorem, przed którym drżą dworacy, duchowni jego diecezji. Ma być tym, który „wykaże błąd” – bo wszędzie błędów będzie się dopatrywał i ze złośliwą satysfakcją tudzież okrucieństwem za nie karał.

Kiedy kilka lat później obejmował najwyższą władzę w diecezji świdnickiej, w czasie całej uroczystości ostentacyjnie zlekceważył obowiązujące wówczas przepisy pandemiczne, pokazując, że jest w pełni przedstawicielem tego właśnie, dobrze nam w Polsce znanego, pełnego pychy i wyniosłości episkopatu, który za nic ma prawo obowiązujące wszystkich obywateli i wciąż domaga się nowych przywilejów.

Na szóstym roku odbywają się też trzy egzaminy wieńczące całą naukę w seminarium, zdawane przed komisją złożoną z kilku wykładowców, przy udziale biskupa. Są to: egzamin jurysdykcyjny – z całości prawa kanonicznego, egzamin duszpasterski – ze wszystkich przedmiotów rzekomo praktycznych, oraz egzamin ex universa, to znaczy z całej teologii.

Brzmi groźnie, ale w praktyce te egzaminy, podobnie jak obrona pracy magisterskiej rok wcześniej, są wyłącznie formalnością. Klerycy otrzymują przed każdym z nich jedną stronę A4 tez, na które muszą umieć zwięźle odpowiedzieć. Po tylu latach pamięciowego opanowywania najprzeróżniejszych bełkotliwych

bzdur nawet najgorszy uczeń seminarium jest w stanie zdać taki egzamin bez najmniejszych problemów.

Oczywiście większość szóstego roku diakoni spędzają nie na praktykach czy wykładach, ale na przygotowaniach do prymicji.

W czasie nauki w seminarium kleryk widzi przynajmniej pięć mszy prymicyjnych, oczywiście nie licząc własnej na sam koniec. Co roku diakoni dzielą między siebie kleryków pozostałych lat i kiedy dzień po święceniach odbywają się uroczyste pierwsze msze w kościołach parafialnych nowo wyświęconych kapłanów, każdy kleryk jest u któregoś z nich.

Po mszy prymicyjnej zawsze organizowana jest wielka impreza, porównywalna z niejednym weselem. Diakon musi wcześniej zamówić salę i catering, wydrukować eleganckie zaproszenia itd. Co więcej, musi się bardzo pilnować, żeby nie zapomnieć zaprosić choćby najmniej istotnego przełożonego, byłego czy obecnego, z seminarium czy kurii ani nie pominąć żadnego z wykładowców. Oczywiście nikt z przełożonych czy dostojników diecezjalnych nie bywa na wszystkich przyjęciach prymicyjnych naraz i u wszystkich, ale zaprosić trzeba każdego.

I tutaj muszę wspomnieć o pewnym problemie, przed którym staje każdy diakon przygotowujący taką imprezę. Problem ten zresztą nieobcy jest także młodym parom.

Do przeszłości należą takie prymicje jak na przykład pierwsza msza Karola Wojtyły w kaplicy w krypcie św. Leonarda na Wawelu. Gdyby któryś z neoprezbiterów tak zrobił, miałby bardzo, ale to bardzo poważne kłopoty, a zamknięte środowisko kapłanów diecezjalnych uznałoby taki akt za skandaliczną zniewagę. Tradycja nakazuje zorganizować bogatą, wielkopańską ucztę na miarę przedrozbiorowego magnata kresowego. O poszczególnych imprezach prymicyjnych plotkuje cała diecezja, od biskupów począwszy, na klerykach pierwszego roku skończywszy. Gdyby któryś z neoprezbiterów nie dorównał innym wystawnością przyjęcia, gdyby zorganizował jakiś ledwie skromny poczęstunek albo – o zgrozo! – zadowolił się obiadkiem z rodzicami, wujkiem i ciocią, byłby

skończony. Mógłby od razu wystąpić o wydalenie ze stanu kapłańskiego. Księża poczuliby się tak obrażeni, że nawet gdyby taki neoprezbiter uniknął jakiegś oficjalnej odpowiedzialności, byłby upokarzany na każdym kroku swojej kapłańskiej kariery.

Żeby było śmieszniej, rektor seminarium i wychowawca diakonów nieraz narzekał na wystawność tych przyjęć, odwołując się do ideału ubóstwa czy do wspomnianego Karola Wojtyły. Jestem jednak przekonany, że pierwszy zaatakowałby młodego księdza, który by jego słowa wziął na poważnie i wcielił w życie.

Tak to impreza prymicyjna jest symbolem owego rozdwojenia jaźni, które bez przesady można nazwać fundamentalną cechą Kościoła.

Naraz wzywa on do ubóstwa i pławi się w bogactwach. Naraz apeluje o pokój i błogosławi wojnę. Wiele mówi o miłosierdziu i przebaczeniu, pozostając organizacją mściwą i pamiętliwą. W tym samym czasie naucza o wstrzeźliwości seksualnej i pławi się w najgorszych zboczeniach. Bez najmniejszego wahania mówi o absurdalnych przesądach i mitach rodem z epoki brązu, by chwilę później powoływać się na współczesną naukę. Wzywa do poszanowania i tolerancji, przeciwko „dyktaturze tolerancji” protestując. Potępia „cywilizację śmierci”, na śmierci bezwstydnie zarabiając. Naraz mówi o równości wszystkich ludzi i praktykuje feudalną, despotyczną hierokrację. Obiecuje wolność, żądając bezmyślnego posłuszeństwa. Sławi rozum, nakazując bezdyskusyjnie wierzyć. Zwie się „powszechnym”, a sprzymierza się z nacjonalistami. Głosi miłość, a praktykuje nienawiść. Oto Kościół: święty, katolicki, apostołski.

Nieważne w Kościele są nauczanie Jezusa, wiara, miłość czy cokolwiek podobnego. Ważne, żeby za żadną cenę się nie wychylać, nie odstawać. Każda głowa wystająca ponad poziom zostanie ścięta.



Więźniowie obozów koncentracyjnych, zapożyczwszy słowo z języka swoich oprawców, nazywali taki stan glajchsztowaniem.

Jeden ze starszych ode mnie seminarzystów, gdy był diakonem, na spotkaniu z rektorem zapytał, czy może podczas tradycyjnej procesji prymicyjnej z domu rodzinnego do kościoła parafialnego nawiedzić mijany po drodze zbór ewangelicki. Wrzaski rektora, który ordynarnie go za ten pomysł zbeształ, słychać było aż na drugim końcu gmachu seminarium. Tak wygląda w Kościele ekumenizm.

Wśród duchownych można robić tylko to, co robią wszyscy. I nie wolno nie robić tego, co robią wszyscy. Nieważne, czy to będzie coś dobrego, czy największa i najohydniejsza podłość. Kleryka wyrzuca się więc z seminarium za to, że w chwili słabości potrzywał się za rękę z dziewczyną, ale toleruje się księży gwałcących dzieci, bo jest ich odpowiednio dużo. Przebojowego, uwielbianego przez wiernych księdza się usuwa, bo w Kościele roi się od miernot.

Nie wdaję się w dyskusję na temat: „Jeśli nie Kościół, to co?”. Nie uważam religii za niezastąpiony sposób na bezsilność wobec losu, cierpienia i śmierci. Rozumiem jednak, że wielu ludzi nie potrafiłoby bez religii żyć. Tylko czy Kościół w tej pocieszającej, podtrzymującej na duchu funkcji religii pomaga, czy raczej przeszkadza? Rozważanie takich spraw daleko wykracza poza ramy tej książki. Jasne jest dla mnie – człowieka, który widział to wszystko na własne oczy i przeżył sześć lat seminarium dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku – że w instytucji Kościoła instytucja seminarium jest sama w sobie źródłem wielkiego zła. Kto wie, jak bardzo zmieniłoby się oblicze dzisiejszego Kościoła, tego nacjonalistycznego, plującego nienawiścią i potępieniem, unurzanego w biznesie i deprawacji, gdyby usunąć z niego nowotwór, jakim są seminaria duchowne.

Wiele Kościołów chrześcijańskich obywa się bez seminariów. W Kościele Ewangelicko-Augsburskim na przykład chętny do posługi duchownej odbywa w normalnym trybie studia teologiczne – tak samo jak ktoś, kto chce zostać weterynarzem, uczęszcza na studia weterynaryjne. Tak samo w obu wypadkach

otrzymanie dyplomu nie równa się zyskaniu stanowiska w zawodzie, trzeba się o nie postarać. Parafia, której brakuje duchownego, zatrudnia księdza, biskup jest tylko kimś w rodzaju outsourcingowego pośrednika. Proboszcz jest zarządcą parafii jako instytucji wraz z infrastrukturą, ale jego pracodawcą są wszyscy parafianie. To oni go nadzorują, to oni go formują, a nie skostniała, oderwana od życia, zamknięta w swoim świecie hierarchia.

Niestety widoki na to, żeby Kościół zdecydował się na takie rozwiązanie, są właściwie żadne. Wciąż obowiązują ustalenia Soboru Trydenckiego, który nakazał tworzenie seminariów. Biskupom trudno byłoby się rozstać ze statusem udzielnego monarchy, otoczonego kołem przerażonych i posłusznych do upodlenia dworaków. Księżom zbyt drogie jest poczucie jakościowej różnicy między nimi a wiernymi, zbyt ukochali pozycję bogatego mości pana, jedyne go samotnego pośrednika między trzódką a Bogiem.

Czy da się w takim razie na tyle zreformować samą instytucję seminarium, żeby pozbawić ją tych wszystkich wypaczeń? Jestem głęboko sceptyczny. Nie można wieżowca zbudować na bagnie bez fundamentów, a potem łudzić się, że kilka drewnianych podpórek uratuje sytuację. Coś, co jest wadliwe w samym swoim założeniu, nie może być zreformowane. Kościół musiałby wynaleźć jakiś nowy, zupełnie różny od seminarium sposób kształcenia kapłanów.

Seminarium stwarza jeszcze jeden problem, o którym nie wspomniałem, ale który wyraźnie uwidacznia się w każdym neoprezbiterze zaraz po otrzymaniu święceń. Oto nagle znika rygor seminarium, nagle but przełożonych nie przygina karku do ziemi. Następuje EFEKT SPRĘŻYNY.

Widziałem kleryka, który miał silną skłonność do mistycyzmu, głębokiej, indywidualnej pobożności i pogłębionej duchowości. Przez całe seminarium musiał się z tym kryć, bo – jak już wspominałem – przełożonym nie w smak było jakiegokolwiek wybijanie się pod tym względem. Gdy otrzymał święcenia, po mszy prymicyjnej uciekł z wielkim płaczem i nie potrafił przyjść na zorganizowaną przez siebie imprezę. Potrzebował kilku godzin na modlitwę, żeby móc normalnie funkcjonować.

Widziałem kleryka, który przyszedł do seminarium z wielkimi ideałami, ale tam zobaczył, że na żaden z nich nie ma miejsca w Kościele. Stał się tak potwornym cynikiem, że kiedy przewodniczył wraz z kolegami z roku mszy neoprezbiterów w kaplicy w seminarium, we wstępie do nabożeństwa jawnie wyszydził wiarę i pobożność pierwszorocznych, nazywając ich „naiwnymi dzieciątkami, które wkrótce się przekonają...”.

Widziałem kleryka, który choć nie miał wielkich zdolności intelektualnych, był bardzo pracowity i bardzo pilnie się uczył, zakuwał wręcz, i jeszcze dodatkowo nauczył się w seminarium kilku języków. Niedługo po otrzymaniu święceń biskup suspendował go z powodu alkoholizmu.

Widziałem kleryka, który odznaczał się nadzwyczajną – nawet jak na seminaryjne warunki – pruderią. Niedługo po święceniach poszedł do prostytutki i zamówił u niej niecodzienną zabawę: zażyczył sobie ostrego seksu nago, ale z biretem kapłańskim na głowie, i to w rytm puszczonego na cały regulator Marsza torreadora z opery Carmen Bizeta. Wiem o tym z pierwszej ręki, gdyż osobiście mi o tym opowiedział.

Widziałem wreszcie kleryka, który przez całe sześć lat słynął ze słabego zdrowia. Przetrwał seminarium tylko po to, żeby umrzeć miesiąc po święceniach.

Jak się wyrzuca kleryka

Na dziesięciu kleryków, którzy wstąpili do seminarium, sześciu nie dotrwało do święceń. Wbrew temu, co mówią ludzie świeccy, zdecydowana mniejszość z nich odchodzi z powodu poznania dziewczyny i zakochania się.

Większość kleryków nie kończy seminarium, bo została z niego wyrzucona.

Wyrzucenie z seminarium poza bardzo, ale to bardzo rzadkimi przypadkami nie odbywa się na zasadzie relegowania, jak na zwykłych uczelniach. Nie jest tak, że rektor czy inny przełożony wzywa kleryka i mówi mu: „Z tego a tego powodu uważamy, że nie nadajesz się do stanu duchownego, i w związku z tym dziękujemy ci za czas spędzony tutaj. Idź się pakować”.

Wyrzucanie kleryka to proces trwający wiele miesięcy, czasami lat, w zależności od jego wytrzymałości psychicznej. Zaczyna się niewinnie – przełożeni po prostu kogoś nie lubią i zaczynają go gnębić, najpierw nieznacznie, potem w miarę potrzeby coraz bardziej. Krzyczą na niego, kontrolują go o wiele skrupulatniej niż innych, szukają najmniejszego pretekstu, żeby go zwyzywać, publicznie upokorzyć, niesprawiedliwie ukarać dodatkową pracą, ale, co znamienne, unikają jakiegokolwiek formalnego wymiaru kary w postaci nagany wpisanej do akt czy czegokolwiek przewidzianego w regulaminie seminarium.

Kleryk taki jest coraz częściej wzywany to przez ojca duchownego na rozmowę, to przez prefekta czy rektora. Stawia mu się – z całą powagą! – absurdalne zarzuty. Jednemu z moich kolegów ojciec duchowny powiedział:

– Mam wątpliwości, czy nadajesz się na księdza. Ruszasz się jak pedał. Masz pedalskie ruchy, rozumiesz?

Inny znów usłyszał, że musi być obciążony psychicznie i prawdopodobnie jest homoseksualistą, a to dlatego, że wychowywał się bez ojca.

Z biegiem czasu naciski psychiczne się zaostrzają, aż zaczynają nosić znamiona tortur. W moim wypadku procedura przebiegała dość szybko, bo przełożeni mieli niewiele czasu: na pozbycie się mnie zdecydowali się niecałe pięć miesięcy przed święceniami kapłańskimi. Wiem jednak, że w przypadku kleryków trzeciego czy czwartego roku potrafili gnębić człowieka nawet dwa razy dłużej.

Doszło do sytuacji, że rektor wezwał mnie na rozmowę i kazał czekać przed rektorem o 22.00. Przyszedł o wpół do drugiej w nocy. Świecił mi lampką w twarz jak na przesłuchaniu i wydzierał się na mnie na cały głos, że... nie podoba mu się mój sposób mówienia. Że za bardzo przeciągam samogłoski i mówię odrobinę za wolno. Ta żałosna scena trwała półtorej godziny.

Sztuka polega na tym, że tak potraktowany kleryk albo sam nie wytrzymuje i odchodzi, albo zniszczony psychicznie w końcu popełnia jakiś błąd, dostarcza odpowiedniego pretekstu, żeby go z pompą i hukiem wyrzucić. Wreszcie jeżeli sam nie odejdzie ani takiego pretekstu nie dostarczy, przełożeni go fabrykują.

Miałem kolegę, który wytrzymał kilka stopni tortur psychicznych, aż w końcu przełożeni zniecierpliwili się i zarzucili mu ni stąd, ni zowąd, że ukradł jednemu z księży pracujących w kurii dwieście złotych z jego biura. Oczywiście nie przedstawili żadnych dowodów. To on miał udowodnić, że jest niewinny. A ponieważ nie był w stanie tego zrobić, wyrzucili go, po całym seminarium i diecezji rozpuszczając plotki, że jest złodziejem.

Często zdarza się, że zmaltretowany psychicznie kleryk nie jest w stanie zdać sesji egzaminacyjnej. Przełożeni każą mu więc powtarzać rok, a na samą myśl o przedłużonej męce większość rezygnuje. Łagodniejszą formą takiej procedury jest arbitralne wysłanie kleryka na roczny urlop dziekański. Wyznacza mu się parafię, w której ma ten rok spędzić, obiecując mu, że po odbyciu „kary” do seminarium powróci. I rzeczywiście wraca, ale na dalsze tortury.

Wobec najbardziej niezłomnych przełożeni stosują starą stalinowską praktykę: ogłaszają, że kleryk jest chory psychicznie. Wmawiają mu to tak usilnie, że niejednen rzeczywiście kończy z rozstrojonym umysłem. Co gorsza, przyklejają mu łatkę wariata w rozmowach z księżmi z diecezji, w plotkach seminaryjnych, ba,

potrafią wezwać jego rodziców i zakomunikować, że ich syn powinien się leczyć psychiatrycznie.

W moim wypadku i tego było za mało, więc rektor podczas jednego ze swoich wystąpień w dużej auli, przemawiając do wszystkich przełożonych, wykładowców, kleryków, studentów świeckiego wydziału dla katechetów, sióstr zakonnych i kucharek, stwierdził, że w mojej skromnej osobie sam Szatan, Pan Piekła i Księżę Ciemności, nawiedził seminarium w Legnicy.

Żartowałem później, że rektor, a poprzez niego sam Kościół, obdarzył mnie wyższą godnością od papieża: w końcu papieży może być dwóch, jak to się zdarzyło w przypadku emeryta Benedykta i urzędującego Franciszka, a Szatan zawsze jest tylko jeden.

Homoseksualizm w seminarium

Zdaję sobie sprawę z sensacyjności tytułu tego rozdziału, ale spragnionym widowiskowych opisów męsko-męskich orgii w seminariach jestem zmuszony sprawić zawód. Pod tym tytułem kryje się bowiem wcale niespektakularna, cicha tragedia wielu dusz naznaczonych piętnem, które młodym duszom jest w stanie wypalić religia jako taka, a seminarium duchowne w szczególności.

Dziś jako biolog wiem, że homoseksualizm jest naturalnym elementem strategii życiowej tych organizmów, które wydają jednorazowo nieliczne, a więc bardzo cenne potomstwo, tak cenne, że dla jego wykarmienia i ochrony warto poświęcić indywidualne potrzeby przekazania własnych genów. W przyrodzie homoseksualizm jest sposobem na to, żeby zjeść ciastko i mieć ciastko, czyli żeby każdy osobnik danego gatunku był w każdej chwili zdolny do płodnej kopulacji i rozrodu, ale jednocześnie w danej chwili nie produkował potomstwa, lecz pracował nad tym, żeby potomstwo na przykład przywódcy stada miało pod dostatkiem jedzenia i było wspólnym wysiłkiem skrzętnie chronione do czasu, aż samo dojrzeje i będzie w stanie o siebie zadbać.

Dziś wiem, że homoseksualizm jest dziełem Przyrody i nie może być rozpatrywany jako „choroba” ani tym bardziej „zboczenie”.

Niestety, na takie osiągnięcia wiedzy naukowej Kościół katolicki (i nie tylko on – dotyczy to wielu odłamów chrześcijaństwa i wielu religii na świecie) jest troglodycko odporny.

A więc w katolickich rodzinach i na finansowanych z publicznych pieniędzy lekcjach religii po dziś dzień wkłada się dzieciom do głów lęk i obrzydzenie wobec homoseksualizmu. Zasiewa się w umysłach ten strach – co ważne! – zanim to dziecko będzie w stanie odkryć własną seksualność, na długo przedtem, zanim

umieszczone w nim przez prawa natury preferencje się ujawnia i rozwija. A wszystko po to, żeby je w zarodku zduszać, tłamsić, niszczyć.

Dlatego wychowany w religii nastolatek, gdy sam zaczyna doświadczać pierwszych objawów „niewłaściwej” orientacji, natychmiast je odrzuca, spycha do podświadomości, stara się sam sobie udowodnić, że gejem czy lesbijką nie jest, i za wszelką cenę próbuje przybrać „normalną” preferencję.

A wszystko to odbywa się straszliwym, jeśli nie najstraszliwszym kosztem, jaki może ponieść w swoim życiu psychiczny człowiek: kosztem utraty zdolności do kochania i bycia kochanym.

Wiem, co mówię, i przysięgam, że tak jest. Przysięgam, że religia katolicka popełnia zbrodnię, straszną i niewybaczalną zbrodnię, zmuszając młodych ludzi do dokonywania gwałtu na własnej naturze. Za tę zbrodnię nigdy nie zostanie rozliczona, bo niepoliczalny jest ogrom krzywdy, jaką wyrządza nauczanie Kościoła, jaką wyrządzają te czy inne fragmenty Biblii oraz kulturowe, głęboko zakorzenione rzeczywiste zboczenie, zboczenie nienawiści do wszelkiej „inności”.

Wiem, co mówię, bo sam jestem homoseksualistą, który skutecznie nauczył się zabijać w sobie każdą miłość, jaka się w jego życiu pojawiła – no bo przecież Bóg zabrania chłopakowi pokochać chłopaka! Za to idzie się do piekła, a jedyne, co ma do zaoferowania Kościół takim osobom jak ja, to parę ogólnikowych, nic nieznaczących frazesów o „mimo wszystko” szacunku i ewentualnej możliwości zbawienia, ale pod warunkiem całkowitej psychicznej autokastracji.

Było moim przekleństwem i zbawienną okolicznością jednocześnie to, że należę do osób, których potrzeby w tej sferze życia były zawsze dość skromne, więc miałem mało okazji, żeby się z tym problemem w sobie zmagać.

Tym łatwiej było mi sobie wmówić, że zakochanie się w tym czy innym mężczyźnie jest wyłącznie, jak to się zabawnie w testosteronowej kulturze chrześcijańskiej określa, „prawdziwą męską przyjaźnią”. Tym łatwiej było mi trzymać własne preferencje w ryzach, a prawdę mówiąc – zwyczajnie zabijać w sobie miłość, zanim przekroczyła narzucone przez Kościół granice.

Oczywiście nie pozostaje to bez wpływu na człowieka. Gdybym miał znaleźć coś, z czym mógłbym porównać to, co musi zrobić ze sobą homoseksualista, żeby móc być wierzącym katolikiem i żyć w pełni w zgodzie z nauką swojego Kościoła, to odwołałbym się do znanego fanom książek i filmów o Harrym Potterze pojęcia horkruksów. W książkach pani Rowling czarodziej może dokonać tak nazywanego mrocznego i okrutnego rytuału, w którym poprzez zamordowanie kogoś rozdziera własną duszę na części, a taką część może zakląć w martwy przedmiot, zapewniając sobie namiastkę nieśmiertelności.

Tak samo okrutnym wobec samego siebie, rozdzierającym duszę do głębi rytuałem naprawdę czarnej magii jest mordowanie w sobie miłości w imię Chrystusa tylko dlatego, że jest zakazana przez zmurszały autorytet biblijnych, liczących tysiące lat frazesów. Tylko dlatego, że ta zbrodnicza tradycja jest przez wieki przekazywana, pielęgnowana i wciąż głoszona przez kolejne pokolenia tak samo okaleczonych przez samych siebie ludzi.

Niski poziom moich potrzeb seksualnych był dla mnie szczęśliwą okolicznością o tyle, że musiałem tak okrutnego samookaleczenia dopuszczać się w życiu ledwie pięć razy, podczas gdy wielu ludzi obok mnie miało za sobą – i przed sobą! – jeszcze dziesiątki takich wypadków.

Dopiero wiele lat po opuszczeniu seminarium, po wyleczeniu się z wiary, miałem odwagę nie tylko przyznać się przed samym sobą do tego, kim jestem, lecz także pokochać to w samym sobie i bez lęku pokochać drugiego człowieka. Chcę w tym miejscu powiedzieć z całą mocą, że jeżeli cokolwiek z tego, czego doznałem od Kościoła, mogę rozpatrywać w kategoriach krzywdy, to właśnie te stracone na skutek jego obskuranckiej doktryny lata. I jednocześnie wiem, jak niewielkie straty w tej kwestii poniosłem w porównaniu z ogromną większością kleryków, którzy znaleźli się w podobnej jak ja sytuacji.

To, że sprawa dotyka mnie osobiście, sprawia jednak, że mogłem w trakcie pobytu w seminarium po pewnych delikatnych, czasem wręcz intuicyjnie wyczuwanych symptomach poznać człowieka, który tak samo jak ja musiał takich okaleczeń na sobie dokonywać – i mogłem zobaczyć, co czeka tych, którzy takie

samookaleczenie swojej psychiki i seksualności zastosują nie pięć, ale kilkadziesiąt czy choćby kilkanaście razy.

Trzeba jednak zaznaczyć, że do seminarium wstępują z reguły dziewiętnastolatki po maturze, a więc ludzie, którzy tak bogatych doświadczeń nie mają. Kiedy do seminarium wstępowałem, miałem za sobą tak naprawdę tylko jedną zabita miłość. Inni, których o podświadomy homoseksualizm podejrzewam, mieli takich wypadków, jak sądzę, niewiele więcej. Większość tego mrocznego rytuału samookaleczenia się psychicznego dokonuje się albo w seminarium, albo niedługo po nim.

Jak już wiele razy podkreślałem, nie jestem psychologiem, ale obserwując siebie i innych, podejrzewam, że człowiek, który okalecza swoją seksualność odpowiednio wiele razy, może zrobić sobie krzywdę na tyle wielką, że zacznie też krzywdzić innych.

Dlatego nie zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że za problemy w Kościele katolickim odpowiada jako taki homoseksualizm księży, zwłaszcza wysoko postawionych.

Nie homoseksualizm jest problemem, ale to, co z nim Kościół i chrześcijaństwo robi – coś, co zresztą jest w stanie zrobić także z heteroseksualnymi osobami: obrzydzić ludziom tak ważny i sięgający tak głębokich pokładów psychiki element samych siebie, jakim jest seksualność.

Nauka Kościoła produkuje wewnętrznie rozerwanych ludzi, którzy są w stanie robić jedno, mówić drugie, a myśleć trzecie, w ogóle nie zauważając rozbieżności między tymi elementami. Seminarium zaś jest miejscem, gdzie taką postawę się od samego początku pielęgnuje, i to nie tylko wobec seksualności, ale wobec każdego możliwego elementu życia.



Masz złe oceny – jesteś leniem, masz dobre oceny – jesteś pyszałkiem. Modlisz się mało – jesteś niewierzący, modlisz się dużo – jesteś chory psychicznie. Czytasz kazania z kartki ściągnięte z internetu – jesteś złym duszpasterzem, masz zdolności retoryczne i umiesz coś powiedzieć bez przygotowania – jesteś niebezpiecznym heretykiem.

W Kościele nie ma trzeciej drogi pomiędzy skrajnościami, bo wszystko, co zrobisz, będzie ocenione jako jedna z nich, a to dlatego, że nie zmieści się w ciasnych pojęciach twoich przełożonych.

Temat homoseksualizmu w seminarium chcę jednak zamknąć akcentem nadziei. Mimo ran i okaleczeń zdołałem wiele lat później na nowo pokochać i na nowo zaznać miłości. Wszystko, co odebrała mi wiara, co odebrał mi Kościół, co odebrał mi Jezus Chrystus, zostało mi zwrócone. Dziś, pisząc te słowa i wspominając te okropne lata, mogę spoglądać na swoją przeszłość bez żadnego lęku, bo wiem, że zwyciężyłem. Że ja, przeklęty przez Boga i skazany, odzyskałem – jak pewnie Kościół stwierdzi: mocą diabelską – wszystko, co utraciłem, mało tego, los zwrócił mi to w dwójnasób.

Dlatego na koniec opowiem o tym, jak doszło do tego, że opuściłem seminarium, i jak zdołałem odbudować swoje życie. Ta opowieść jest najważniejszym, co napisałem w tej książce, i pragnę, żeby była przesłaniem nadziei dla tych, którzy tak jak ja doznali od Kościoła krzywdy.

Wilk, który mnie wywiódł z seminarium, z domu niewoli

Pewne problemy miałem już na trzecim roku, przed obłóczynami. Przez trzy lata wakacje – te przed pierwszym, przed drugim i przed trzecim rokiem – spędziłem na rekolekcjach oazowych. I na wszystkich trzech mój styl pracy z grupą nie spodobał się księdzu prowadzącemu rekolekcje.

Jak każdy animator na tych rekolekcjach miałem pod opieką kilkusobową grupę, w której odbywały się spotkania biblijne. Każda z grup pełniła też w określone dni dyżur przy zmywaniu czy przygotowywaniu modlitwy wieczornej.

Rozczarowany Ruchem Światło–Życie, a zwłaszcza sznytem dyscypliny, wymaganiem „elitarności” itp., całkowicie zmieniłem swoje podejście do tego obowiązku. Animatorzy mieli w zwyczaju, gdy następował na przykład dyżur przy zmywaniu po posiłkach, wyznaczać każdemu z członków swojej grupy zadania, po czym zostawiać ich i iść na kawę. Ja zmywałem i pracowałem razem ze swoimi podopiecznymi. Na pierwszym spotkaniu mówiłem zawsze:

– Jestem od was starszy zaledwie o kilka lat. Dopiero zaczynam seminarium. Nie czuję się kompetentny, żeby wami dowodzić, rozkazywać wam czy cokolwiek w tym stylu. Mogę być tylko waszym przyjacielem, o ile wyświadcycie mi ten zaszczyt. Cokolwiek się stanie, cokolwiek zrobicie, odpowiem za to ja, ale nie boję się tej odpowiedzialności. Ważne, żebyśmy ten czas przeżyli razem i przyjemnie.

Oczywiście od razu zostałem przez nich pokochany, jak każdy przełożony, dowódca, nauczyciel czy ktokolwiek podobny, gdy jest dla powierzonych sobie ludzi po prostu dobry.

Jednocześnie jednak powstał taki dysonans między mną i pozostałymi animatorami, że zauważyli to wszyscy uczestnicy rekolekcji. Młodzież jest wymagająca i bezlitosna w doborze autorytetów. Uczestnicy i uczestniczki

niebędący w mojej grupie ciszej lub głośniejsz zaczęli szemrać na traktowanie przez innych animatorów, a na drugich rekolekcjach zdarzyło się wręcz, że jeden z co niesforniejszych chłopców zamiast do przypisanego sobie animatora przychodził do mnie na spotkania i głośno oświadczył, że jeśli kogokolwiek tu będzie słuchał, to tylko mnie.

Oczywiście natychmiast miałem przeciw sobie wszystkich pozostałych animatorów, a w konsekwencji także księdza moderatora rekolekcji. Łącznie trzech takich księży wysłało za mną do seminarium po kartce A4 zarzutów, jakoby „zniszczył wspólnotę” na rekolekcjach.

Cała afera przeszła jednak wówczas nade mną, nie wyrządzając mi najmniejszej szkody. Pomógł mi autorytet ks. Marka Adaszka, ojca duchownego w seminarium i współzałożyciela ruchu oazowego. Udałem się do niego i opowiedziałem o wszystkim, co zdarzyło się na rekolekcjach. Z miejsca przyznał mi rację. Pamiętam jeszcze, jak ten sędziwy, sterany chorobą ksiądz potarł czoło i westchnął:

– Co to się teraz dzieje. Jeszcze trzydzieści lat temu, pamiętam, to tak nie było, a teraz... – Machnął ręką z wyrazem dezaprobaty.

Przez pozostałe lata seminarium aż do półrocznego szóstego roku nie słyszałem od przełożonych żadnych uwag pod swoim adresem. Były tylko dwa wyjątki, na które nie zwróciłem wówczas większej uwagi. Raz, a było to po czwartym roku, wezwał mnie rektor i powiedział:

– Tak patrzę, przez te wszystkie dotychczasowe semestry miałeś najlepsze oceny na roku. Zastanów się, czy nie jesteś pyszny!

Z kolei pod koniec czwartego roku usłyszałem od wicerektora, że przełożeni są zaniepokojeni moim „indywidualizmem”.

W porównaniu z szykanami, jakie spadały na głowy moich kolegów, starszych, młodszych czy ode mnie z roku, były to nic nieznaczące incydenty. Prawdziwa burza zaczęła się w styczniu 2009 roku, na cztery i pół miesiąca przed wieńczącymi naukę w seminarium święceniami.

Tuż przed wyjazdem do domu na święta Bożego Narodzenia niemal w biegu wręczono nam jako diakonom listę asyst, czyli listę uroczystości w katedrze na najbliższy czas, na których ktoś z nas miał być obecny. Zostałem wyznaczony do pełnienia liturgicznej funkcji diakona w czasie uroczystości Objawienia Pańskiego 6 stycznia.

Tuż po Bożym Narodzeniu wszyscy diakoni zostali wysłani na miesięczną praktykę w parafii. Mnie umieszczono w parafii Matki Bożej Królowej Polski w Legnicy. Listę asyst wręczono nam w ostatniej chwili, tak że w ferworze przygotowań do wyjazdu do domu, przeżywania świąt, wyjazdu na praktykę do nieznanej mi jeszcze parafii najzwyczajniej w świecie zapomniałem o tym, że miałem się stawić w katedrze na mszy.

Nie będzie żadnej przesady, podkreślam: żadnej przesady, w tym, jeśli powiem, że dokładnie przez tę drobnostkę, przez taki głupi błąd z mojej strony nie zostałem wyświęcony na kapłana. A to dlatego, że ten drobny incydent uruchomił całą lawinę wydarzeń.

Biskup dostał szoku, że musiał odprawić mszę bez diakona u boku. Przełożeni seminarium oczywiście natychmiast skulili się ze strachu i z najwyższą gorliwością zabrali się do ukarania mnie za tę jakże straszliwą zbrodnię.

Nie pomogło osobiste przeproszanie biskupa. Kościół, instytucja twierdząca, że wywodzi się od tego, który powiedział: „Nie siedem razy masz wybaczyć, ale siedemdziesiąt siedem razy”, sam nie wybaczają nigdy.

Wyznaczono mi „karę” w postaci tego, że w trakcie najbliższej kilkudniowej przerwy semestralnej miałem zostać w seminarium i nie mogłem wyjechać do domu.

Niestety w Kościele nie może się to odbyć tak prosto, że jest przewinienie, jest kara, a po jej odbyciu sprawa jest skończona. Przeciwnie, sprawa wtedy dopiero się zaczyna.

Ważne jest, że zwróciłem na siebie uwagę. Znalazłem się pod lupą. Od razu powrócił temat zastrzeżeń, które zgłaszali moderatorzy oazowi. Ojciec Marek

Adaszek już nie żył, a nawet gdyby żył, wątpię, czy zapytano by go o zdanie.



Jeden z ojców duchownych objechał, o ile wiem, wszystkie parafie, w których dotychczas byłem na praktyce, i przeprowadził dokładne śledztwo. Szczególnie dużo materiału znalazł w Złotoryi, gdzie decyzją proboszcza przez miesiąc wygłaszałem chyba wszystkie kazania przy wszystkich możliwych okazjach. Teksty każdego z tych kazań zostały skrzętnie odtworzone z zeznań świadków (sic!) i z miejsca uznano, że były one zbyt wybijające się, zbyt odważne i zbyt zwracające na siebie uwagę, a to w Kościele „nie przystoi”.

Wzrok przełożonych czułem na sobie odtąd na każdym kroku. Co rusz dochodziły do mnie takie czy inne strzępki informacji świadczących o zbierającej się nade mną burzy.

Kiedy w lutym rektor zabrał nas na wyjazd do Szklarskiej Poręby, znalazła się nowa okazja do podpadnięcia.

Któregoś wieczoru, po długiej wycieczce w góry i kolacji, zamiast odpoczynku czekało nas zebranie z rektorem. Zaczął on wygłaszać bezdennie nudne tyrady na temat czekającego nas kapłaństwa, o którym sam miał znikome pojęcie, zważywszy na to, że w całej swojej karierze może dwa lata spędził na parafii. Przysnąłem w trakcie przemowy rektora, a on stwierdził, że zrobiłem to „specjalnie” i „ostentacyjnie”.

Niedługo później wypłynął na wierzch kolejny problem. Jesienią, bodajże w październiku poprzedniego roku, w Szklarskiej Porębie, w ośrodku należącym do seminarium, zorganizowano rekolekcje dla księży z diecezji. Zostałem jako jedyny wyznaczony do obsługi tego wydarzenia.

Co znaczyła w tym wypadku owa obsługa? Miałem robić wszystko poza gotowaniem posiłków: a więc musiałem przygotowywać liturgię (szaty liturgiczne, księgi, paramenty – i wszystko, co z liturgią związane), nakrywać księżom do łącznie czterech posiłków, w trakcie nich obsługiwać gości, a potem po nich zmywać i w ogóle spełniać wszystkie ich życzenia.

Łącznie w rekolekcjach uczestniczyło ponad czterdziestu księży, więc pani kucharka i ja mieliśmy z nimi naprawdę mnóstwo roboty. Dwoilem się i troilem, żeby dogodzić tym rozleniwionym starym kawalerom.

Oni nie omieszkali tego zauważyć.

– Nie wiedziałem, że takich wspaniałych diakonów mamy! – zawołał jeden z nich, gdy wreszcie spostrzegli, że mają wszystko podsunęte pod nos i że jest to zasługą ledwie dwóch osób.

Niestety dokładnie ci sami księża, którzy mnie chwalili, zaraz po wyjeździe udali się do biskupa ze skargą na to, że... zwyzywałem ich publicznie w czasie rekolekcji!

A chodziło o taką sprawę. Rekolekcjonista – jezuita z Warszawy – zdecydował, że nie będzie do liturgii mszy dobierał specjalnych tekstów z Pisma Świętego, jak to zwykle na rekolekcjach bywa, ale mam korzystać ze zwykłego lekcjonarza.

Pech chciał, że według zwykłego cyklu czytań liturgii słowa któregoś dnia rekolekcji miał zostać odczytany fragment Ewangelii według św. Mateusza z dwudziestego trzeciego rozdziału:

Wówczas przemówił Jezus do tłumów i do swych uczniów tymi słowami: „Na katedrze Mojżesza zasiedli uczeni w Piśmie i faryzeusze. Czyńcie więc i zachowujcie wszystko, co wam polecą, lecz uczynków ich nie naśladujcie. Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Wiążą ciężary wielkie i nie do uniesienia i kładą je ludziom na ramiona, lecz sami palcem ruszyć ich nie chcą. Wszystkie swe uczynki spełniają w tym celu, żeby się ludziom pokazać. Rozszerzają swoje filakterie i wydłużają frędzle u płaszczów. Lubią zaszczytne miejsca na ucztach i pierwsze krzesła w synagogach. Chcą, by ich pozdrawiano na rynkach i żeby ludzie nazywali ich Rabbi. (...) Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy, bo zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi. Wy sami nie wchodzicie i nie pozwalacie wejść tym, którzy do niego idą. (...)”.

Księża więc oskarżyli mnie, że nazwałem ich w czasie mszy „obłudnikami”, mimo że odczytałem im tylko słowa... Jezusa, przewidziane w normalnym cyklu

czytań liturgicznych na ten właśnie dzień. Kiedy kilka miesięcy później biskup okrzykał mnie za „arogancję”, zwróciłem mu uwagę na ten absurd. Przecież to było czytanie mszalne, fragment Ewangelii, a jakby księża tego nie wiedzieli, to przecież przed odczytaniem tego tekstu wyraźnie, jak nakazuje liturgia, odśpiewałem: „Pan z wami. Słowa Ewangelii według św. Mateusza”! Biskup na chwilę umilkł, ale po chwili odzyskał rezon.

– Widocznie przeczytałeś ten fragment zbyt ekspresyjnie! – powiedział.

Atmosfera wokół mnie gęstniała z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Podejrzliwość przełożonych, coraz otwarciej wypowiedane pretensje, przytyki – to wszystko nie pozostawało bez wpływu na mnie. Coraz trudniej było mi zwyczajnie funkcjonować, a tym samym popełniałem kolejne drobne błędy, błędy, których seminarium nie wybacza, na każdy rzuca się z wściekłością, zadaje ból, upokorzenie, cierpienie. Tak, przełożeni w seminarium pastwią się nad tymi, których upatrzają, kochają to, kochają widzieć ból. Ale nie jest to w żadnym wypadku ich wina. To wina instytucji seminarium, której są bezwolnymi trybami, nie mają wyboru – od Kościoła zależy ich byt, ich życie i śmierć. Przełożony w seminarium musi być sadystą albo sam stanie się obiektem tortur.

Coraz częściej wzywano mnie na coraz bardziej absurdalne rozmowy. Ojciec duchowny powiedział z całą powagą, że „przełożeni stwierdzili”, iż nie podoba im się mój „sposób chodzenia”. Co dokładnie mieli na myśli, pozostanie dla mnie tajemnicą, bo na moje pytanie, o co właściwie chodzi, słyszałem odpowiedzi typu: „Ty sam powinienesz wiedzieć! Jak nie wiesz, to się nie nadajesz!”.

Nie jestem w stanie opisać łącznie trzech miesięcy nieustających, ale bardzo subtelnych tortur, jakie mi zadawano. Wiem, że komuś, kto nigdy nie był w seminarium, może się wydawać niepojęte to, jak takimi absurdalnymi drobnostkami można doprowadzić człowieka do psychicznej ruiny. Myślę, że najlepiej wyjaśnię to, odwołując się do podobno prawdziwej anegdoty z czasów Stalina. Ponoć radziecki dyktator miał w zwyczaju tu i ówdzie „zażartować” z przypadkowych osób, mówiąc do nich:

– Towarzyszu! To wy jeszcze żyjecie?

Taką drobną odzywką był w stanie doprowadzać ludzi do samobójstw i załamania, a wszystko przez kontekst nieustannej niepewności i wszechobecnego terroru.

Dokładnie tak samo działa seminarium. I nie tylko seminarium, ale cała instytucja Kościoła.

W ciągu kilku miesięcy stałem się bezsilnym wrakiem człowieka. Kiedy w kwietniu zebrała się Rada Moderatorów i niemal jednogłośnie, bo tylko przy jednym głosie wstrzymującym się, zadecydowała o nieudzieleniu mi święceń prezbiteratu, właściwie przyjąłem to już z kompletnym otępieniem i obojętnością.

Wtedy też wydarzyła się wspomniana wyżej scenka nocnego „przesłuchania” przez rektora.

Doszło do tego, że kiedy pojechałem na ostatnią praktykę do parafii w Bolesławcu, nie byłem w stanie prowadzić tam lekcji religii. Podczas jednej z nich stanąłem przed klasą i powiedziałem:

– O czym mam wam mówić? O Bogu, który mnie opuścił, czy o Kościele, który mnie odrzucił?

Ale ostateczny finał miał dopiero nadejść. Do tego momentu wersja mojej przyszłości rysowała się tak, że miałem przez rok jeszcze jako diakon być na jakiejś parafii na praktyce. Prawdopodobnie zesłano by mnie do Szklarskiej Poręby, do parafii dziekańskiej, która powszechnie była znana jako praktyka karna, miejsce zesłania dla tych, którzy dopuścili się największych przewinień wobec machiny kościelnej hierarchii, a to ze względu na to, że proboszcz tej parafii był bliskim przyjacielem rektora i bez przerwy gościła u niego cała śmietanka diecezjalnej wierchuszki, z biskupami na czele.

Niestety na tym sprawa się nie skończyła.

Jesienią, jeszcze zanim zaczęło się to wszystko, o czym opowiedziałem, spędzaliśmy kolejne dni w seminarium na ostatnich wykładach. Niestety wyglądały one tak, że wykładowcy albo nie przychodzili na zajęcia, albo się mocno spóźniali, a jeśli przyszli, to stwierdzali:

– A co ja wam będę mówił, jesteście diakonami, już wszystko wiecie. – I zaczęli mówić o wszystkim i o niczym.

Seminarium to nie zwykłe studia, na których na wykład można sobie nie przyjść. Klerycy, w tym także diakoni, w godzinach przewidzianych na zajęcia mają być na sali wykładowej niezależnie od tego, czy wykład się odbywa, czy nie, czy wykładowca przyjdzie, czy nie przyjdzie, czy się spóźni, czy nie.

Długie godziny totalnej nudy tej bezsensownej atrapy studiów każdy wypełniał, jak umiał. Jedni skrycie czytali książki, inni podrzemywali, jeszcze inni po prostu jakoś starali się to przetrwać.

Był ze mną na roku kleryk pochodzący jak ja z Jeleniej Góry, Sebastian S. Siłą rzeczy od pierwszego roku trzymaliśmy ze sobą w ramach tej czy innej paczki. Mieliśmy podobne zainteresowania literackie, co też zaowocowało współpracą na przykład przy scenariuszu opisywanego w jednym z poprzednich rozdziałów kabaretu seminaryjnego.

Sebastian wynalazł ciekawy sposób radzenia sobie z nudą nieodbywających się wykładów szóstego roku. Zaczął spisywać różne bzdurne opowiadania o... pijaczkach, żebrakach i bezdomnych napotykanym na ulicach Legnicy.

Oczywiście opisywał prawdziwe lub tylko inspirowane rzeczywistością anegdoty ze spotkań z takimi ludźmi. Dość szybko opisywani żule zaczęli w tych opowiadaniach przejawiać pewne rysy niektórych przełożonych lub dostojników kościelnych.

Zainspirował mnie. Stwierdziłem, że jest to znakomity sposób na bezsens zajęć seminaryjnych. Same zalety: oto wykładowca mówi jakieś bzdury, a kleryk skrzętnie pisze, czas mija mu bardzo szybko i wszyscy są zadowoleni.

Również zacząłem więc pisać takie idiotyczne opowiadanka. Oto w jednym z nich nastolatek palący marihuanę w parku spotyka menela, który zaczyna go pytać o całą rzeczywistość – dia ti, po grecku: „dlaczego”. A potem w szkole widzi tego żula w sali od matematyki na portrecie z podpisem: Tales z Miletu. Było to nawiązanie do jednego z wykładów z antropologii filozoficznej z drugiego roku.

W innym sportretowałem nieżyjącego już wtedy ks. Marka Adaszka jako dobrego starego szkolnego profesora, którego młody uczeń spotyka w parku, kiedy daje wykład o filozofii bezdomnym pijakom. Na pytanie młodego ucznia, dlaczego naucza takich ludzi, ten odpowiada, wskazując na szkołę (oczywisty przytyk do seminarium), że wszystko w niej się zepsuło i że większy będzie pożytek z wykładu dla meneli niż dla tych, którzy obecnie tą szkołą rządzą.

W jeszcze innym opisałem obecnego biskupa świdnickiego, wspomnianego Marka M., jak grzebie w śmietnikach i z szaleństwem w oczach rusza na miasto zwalczać dzieci bawiące się w Halloween.

Między typową groteską zawarłem w tych opowiadaniach całą swoją gorzką wizję seminarium jako domu absurdu. Co gorsza, bohaterowie mówili slangiem młodzieżowym, a wszystkie opowiadania zawierały mniejszą lub większą pochwałę tego, co w seminarium nazywano „złym światem, który jest pod panowaniem Szatana”.

Gdzieś w styczniu przyszedł do mnie Sebastian z pewną propozycją. Wpadł na pomysł, żebyśmy nasze opowiadania zebrali razem, wydrukowali u jego znajomego, właściciela jakiejś małej poligrafii, w dwóch oprawionych egzemplarzach i zachowali dla siebie na pamiątkę seminaryjnych lat.

Zgodziłem się i oddałem mu swoje opowiadania. Sebastian przyszedł do mnie gdzieś po miesiącu i zawołał do swojego pokoju. Ku swojemu zdziwieniu ujrzałem tam dwie wielkie paczki.

– Co to jest? – zapytałem.

– Nasza książka – powiedział z dumą.

– Zdurniałeś? – zawołałem. – Przecież miały być dwa egzemplarze...

– Maszyna drukarska nie robi mniej niż sto. No to po pięćdziesiąt dla ciebie i dla mnie.

– Ale po co mi pięćdziesiąt egzemplarzy tych bzdur? Co ja z tym zrobię?

– Możesz komuś dać.

Stwierdziłem, że to bardzo głupi pomysł, wziąłem swoją paczkę i rzuciłem na dno szafy. Sebastian zaczął rozdawać swoje książki, gdzie tylko mógł. Dopóki dawał je kolegom z roku czy młodszych lat, było to niebezpieczne, ale o niczym nie przesądzało. Wpadł niestety na idiotyczny pomysł, żeby taką książkę sprezentować jednemu z wykładowców, Arturowi K., który skończył seminarium, gdy my byliśmy na drugim roku. Rok spędził na parafii, a potem został wysłany na studia na KUL, z których zdążył wrócić na nasz szósty rok jako wykładowca jednego z fakultetów.

Problemami Artura K. były jego mściwość i konflikt z rektorem Leopoldem R. Gdy przeczytał naszą książkę, zrozumiał, że oto wpadło mu w ręce idealne narzędzie zemsty. Wykorzystał fakt, że jeden z niepochlebnie sportretowanych wykładowców – zresztą w moim opowiadaniu – jest z Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu, a więc uczelni, przy której legnickie seminarium było afiliowane. Niezwłocznie pokazał temu wykładowcy opowiadanie z komentarzem, że takie oto rzeczy piszą na jego temat i wydają w formie książkowej klerycy z legnickiego seminarium.

Cała wrocławska uczelnia teologiczna zawrzała gniewem i zagroziła legnickiej filii, że ją usunie, że wyciągnięte zostaną surowe konsekwencje. Przerażony biskup legnicki powołał specjalną komisję (sic!), która przez ponad miesiąc studiowała cały nasz idiotyczny tekst słowo po słowie, żeby dociec, kto dokładnie został w tej książce obrażony i kto kryje się za pseudonimami autorów.

Tak, drodzy Czytelnicy, nie przecierajcie oczu, nie myślcie, że coś źle zrozumieliście z akapitu powyżej. Poważna kościelna komisja śledcza dokonała wnikliwej egzegezy sztubackich, głupkowatych wypocin dwóch studentów, analizowała nasz wygłup, jakby chodziło co najmniej o jakieś Vatileaks czy inną poważną aferę.

Dziwię się, że aż miesiąc im zajęło dojście, kto jest autorem. Sebastian zbyt nie wysilił, dobierając pseudonim, bo zwyczajnie przetłumaczył swoje nazwisko na angielski. Co do mnie, mój pseudonim raczej nic śledczym kurialnym

nie powiedział, ale książka była ilustrowana rysunkami mojego autorstwa, a o ile wiem, byłem wówczas jedyną osobą w seminarium umiejącą rysować.

Już pod koniec marca, tuż przed ostatnią praktyką, pojechaliśmy całym seminarium na pielgrzymkę maturzystów na Jasną Górę. Tam spotkałem pewnego znajomego księdza. Wziął mnie na stronę i powiedział:

– Czy wiesz coś o jakiejś książce, takie jakieś opowiadanka, takie tam? – Gdy potwierdziłem, szepnął z naciskiem: – Jeżeli cię będą o to pytać, przysięgaj na wszystkie świętości, że tego nie pisałeś. Przysięgaj! Zapieraj się! Bo jeśli nie, to... to nigdy nie będziesz księdzem! Zniszczą cię! Może nawet zrobią ci wypadek. Kuria już od miesiąca prowadzi śledztwo w tej sprawie.

Był to czas, kiedy już postanowiono, że moje święcenia zostaną odroczone. Tydzień po Wielkanocy miały odbywać się w seminarium dni skupienia dla rodzin naszego rocznika. Ze względu na to, że w tym roku do święceń mnie nie dopuszczono, nie musiałem przyjeżdżać do Legnicy już w piątek, dotarłem w niedzielę, razem ze wszystkimi klerykami.

W piątek wieczorem zadzwonił do mnie Sebastian.

Przeraził mnie jego głos. Sebastian pochodził z parafii dobrze ustawionego proboszcza, w szkole średniej chodził na posiłki z księżmi, parafianki już wtedy mówiły do niego „proszę księdza”, zawsze był pewny siebie i obeznany z meandrami kościelnego życia. Po raz pierwszy usłyszałem, że Sebastian stracił rezon.

– Dowiedzieli się! – krzyknął histerycznym głosem. – Dowiedzieli się o książce! Oni... oni mnie pytali o nią... Przysięgłem im na krzyż i Ewangelię, że tego nie pisałem! Ciebie też będą pytać w poniedziałek... Nie wydaj mnie!

Następnego dnia wybrałem się w góry. Poszedłem do lasu zastanowić się, co mam zrobić. Miałem trzy opcje. Po pierwsze, mogłem przysięgać, że nie mam z książką nic wspólnego – to rozwiązanie z miejsca odrzuciłem. Uważałem, że nic dobrego nie może wyjść z kapłaństwa zdobytego kłamstwem. Poza tym nie miałem żadnej gwarancji, że przełożeni mi uwierzą, przecież już wówczas byłem dla nich

podejrzany. Po drugie, mogłem powiedzieć całą prawdę: o sobie i o udziale Sebastiana. Tę opcję również odrzuciłem jako czystą podłość i obrzydliwe wkopywanie kolegi. Do tego właśnie wychowywało nas seminarium, do donosicielstwa, wstrętnego szpiegowania jeden drugiego, co zawsze uważałem za czystą niegodziwość.

Pozostała trzecia opcja: powiedzieć, że sam napisałem całość, a drugi pseudonim jest tylko dla zmyłki. Innymi słowy, mogłem wziąć wszystko na siebie.

I tak zrobiłem. W poniedziałek rzeczywiście zawołano mnie do rektoratu. Za biurkiem siedział rektor w towarzystwie wicerektora. Pokazał mi egzemplarz książki i powiedział:

– Czy wiesz, co to jest?

– Tak, wiem – odpowiedziałem beczelnym tonem. – Ja to pisałem.

– Kto jest drugim autorem? – zapytał rektor.

– Nie ma drugiego autora. Dwa pseudonimy to tylko taki ozdobnik. Napisałem wszystko i wydrukowałem u znajomego.

Rektor bez słowa wręczył mi kartkę, długopis i powiedział lodowatym głosem:

– Napisz tutaj to, co teraz powiedziałeś, i podpisz.

Zrobiłem, co mi kazał. Wtedy wybuchnął. Rozemocjonowanym głosem zaczął wyzywać mnie od chorych psychicznie, wariatów, schizofreników i degeneratów. Kazał mi się natychmiast pakować i wynosić.

Tak zrobiłem. Pamiętam, jak po raz ostatni szedłem korytarzem seminarium i widziałem, jak wszyscy kulą się ze strachu na mój widok, jak mijają mnie z bojaźnią i wstrętem zarazem, jakby bali się, że zarażą się niełaską Kościoła.

Na tym się nie skończyło, bo kiedy wyjechałem z Legnicy, rektor wysłał za mną jednego z ojców duchownych z zadaniem, żeby udał się do moich rodziców i wytłumaczył im, że ich syn jest chory psychicznie.

Co ciekawe, niedługo potem poszedłem do zwyczajnej przychodni do psychologa i poprosiłem o zbadanie mnie i napisanie opinii na ten temat. Lekarz zbadał mnie wszelkimi standardowymi metodami i napisał, że nie stwierdził u mnie

żadnych oznak odstępstwa od normy. Kiedy przyniosłem tę opinię biskupowi, ten ją podarł i powiedział, że jest nic niewarta.

– Świecki psycholog nie zna naszych realiów! – krzyknął.

Po pół roku wezwał mnie i powiedział, że jest skłonny zapomnieć o całej sprawie, jednakże z uwagi na „straszliwe zło, jakie wyrządziłem Kościołowi” – cokolwiek by to miało znaczyć – mam rok pozostawać w dotychczasowym zawieszeniu, po roku powtórzyć ostatni semestr seminarium i przystąpić do święceń.

Niestety, uwierzyłem mu. Po roku jednak usłyszałem nagle, że jednak nie, jeszcze nie teraz, a nawet może i w ogóle.

Łącznie pięć lat czekałem i walczyłem o to, żeby to wszystko, co poświęciłem Kościołowi katolickiemu, nie było czasem straconym. Kiedy któregoś razu czekałem na korytarzu kurii na kolejną bezsensowną i nic niewnoszącą rozmowę z biskupem, minął mnie biskup pomocniczy i powiedział:

– Ty sobie uważaj, nie takich jak ty Kościół niszczył!

Zdarzyło się któregoś dnia, że przechodziłem ulicą i napotkałem niespodziewanie nieznanego mi człowieka, który podszedł do mnie i zapytał:

– Czy chcesz w twarz?

Nie czekając na odpowiedź, kastetem zgruchotał mi kość podczołową i uciekł. Teraz zaczyna się najciekawszy element tej historii, bo gdy zalany krwią, podniosłem się z ziemi, udałem się wprost do domu. Przez cały następny dzień nie ruszałem się nigdzie, a do lekarza poszedłem dopiero kolejnego dnia. Nikt poza samym napastnikiem i mną nie wiedział o całej sprawie aż do drugiego dnia po wypadku.

Tymczasem już nazajutrz biskup diecezjalny na spotkaniu księży napomknął o tym, że mnie pobito.

Po pięciu latach odszedłem z Kościoła katolickiego, zostając z niczym. Pracowałem jako ogrodnik, stolarz, kontroler jakości. Dziś, po latach, z trudem odzyskuję to, co straciłem przez seminarium i instytucję Kościoła.

Kościół doprowadził mnie do momentu, kiedy niemal odebrałem sobie życie. Uratowało mnie samotne spotkanie z wilkiem w lesie. Wzrok tego zachwycającego zwierzęcia rozbudził we mnie dawną miłość do biologii, do nauki, do przyrody. Dał mi nowy pomysł na życie, który dziś z radością realizuję. Znalazłem w życiu cel, znalazłem miłość, znalazłem spokój i szczęście. A wszystko to wbrew Kościołowi, wbrew władzom seminarium, które najchętniej widziałyby mnie na dnie albo i martwego.

Dziś studiuję biologię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Poznaje złożoność życia, które przyozdobiło naszą zagubioną w ciemnościach Wszechświata planetę nieogarnionym pięknem nieskończenie przewyższającym wszystko, co religia kiedykolwiek mi obiecywała i ukazywała. Odnalazłem szczęście i wolność kochania drugiego człowieka – w moim wypadku drugiego mężczyzny – bez chorych ograniczeń skoncentrowanej na seksie katolickiej moralności. Odnalazłem więź z lasem i ze zwierzętami, które mogę badać, obserwować, uczyć się o ich życiu i uczyć się życia od nich.

Dopiero to krótkie spotkanie z wilkiem gdzieś w Borach Dolnośląskich ostatecznie uwolniło mnie od seminarium i otworzyło drogę do odbudowania mojego życia z ruin, do których doprowadziła mnie wiara. Dlatego nie waham się przewrotnie mówić o tym właśnie, przypadkowo napotkanym wilku: ten, który mnie wyprowadził z seminarium, z domu niewoli.

Chcę, żeby moja historia przyniosła nadzieję tym wielu cichym nieszczęśnikom, którzy tak jak ja przez instytucję Kościoła stracili czas, zdrowie czy miłość. Niezależnie od tego, czy jak ja dojdą do porzucenia wiary, czy nie, mogę im powiedzieć: nie poddawajcie się! Nie traćcie nadziei! Ale nie oczekujcie od Kościoła, od seminariów, od biskupów i od papieży, że wasza nadzieja dzięki nim się spełni. Nie, spełnić się może ona nie dzięki, ale tylko wbrew nim.

No więc czego oni uczą?

Nie roszczę sobie pretensji do obiektywizmu, udzielając odpowiedzi na pytanie zadane na początku tej książki. Z wieloma moimi interpretacjami można się nie zgadzać. Wielu przeciw nim zaprotestuje. I nie ma się czemu dziwić.

Oto bowiem moja odpowiedź jest gorzka, tak jak gorzkie jest te sześć lat seminarium. Gorzkie nie tylko dla tych, którzy go nie ukończyli. Dotyczy to także tych, którzy święcenia otrzymali i z powodzeniem wykonują nadal posługę kapłańską wśród wiernych – jedni lepiej, inni gorzej. Wielu z nich – co prawda chyłkiem, prywatnie, półgębkiem – przyznaje się do tej goryczy.

Seminarium uczy donosicielstwa i zdradzania przyjaciół. Uczy, że nie ma absurdu, którego nie dałoby się uznać za logiczne prawidło – i z całym przekonaniem w tenże absurd uwierzyć. Uczy wyrzeczenia się własnej godności, samounicestwienia swoich talentów, inteligencji i rozumu.

Seminarium uczy, jak bliźniego maltretować, krzywdzić czy nawet gwałcić – a potem bez żadnych wątpliwości, wyrzutów sumienia, z całym przekonaniem wierzyć, że działa się w imię dobra tego bliźniego. Tego nastolatka. Tego dziecka.

Na uczelni tej dowiesz się, że twoja wiara nie ma podstaw, które jej przypisywałeś. Dowiesz się, że twoje najpiękniejsze ideały są nic niewarte, a nawet szkodliwe. Nauczą cię tam, jak się nie wychylać. W seminarium możesz opanować sztukę kamuflażu, której ośmiornica by się nie powstydziała. Nauczysz się, jak okłamać samego siebie tak skutecznie, że zapomnisz, jaka była prawda i że w ogóle jakaś była.

W seminarium nie nauczysz się, jak odprawić mszę ani jak pocieszyć załamane psychicznie człowieka, który do księdza przyjdzie ze swoimi rozterkami i bólem. Nauczysz się za to, jak się na krzyk cierpiącego uodpornić, jak skamienieć wobec cudzego bólu. Nauczysz się, jak cierpiącym rzucić prosto

w twarz obelgę: „Bóg ma w tym jakiś plan!”, „Taka jest wola Boża!” czy nawet „Bóg cię sprawiedliwie ukarał!”.

W seminarium nauczysz się, jak kochać Jezusa Chrystusa, jednocześnie w bezczelny sposób gwałcąc wszelkie przykazania zostawione przez Niego w Ewangeliach. Przełożeni wpoją ci, że wiara w Boga nie wyklucza bezbożnictwa, którego u wojujących ateistów byś nie znalazł.

Przygotowanie do kapłaństwa przygotowuje cię w istocie do bycia dobrym dworakiem biskupa, dziekana, prałata, proboszcza... Pokaże ci, jak się obłudnie uśmiechać, kłaniać, tytułować. Nauczy cię, że pal lichu Pana Boga, ważne, żeby biskup był zadowolony!

Nauczysz się w seminarium wielu rzeczy bardzo cenionych w niektórych branżach świeckich. Pewien menedżer dużej placówki znanej firmy ubezpieczeniowej gorąco zapewniał mnie, że najlepszymi agentami ubezpieczeniowymi są byli księża.

I nic dziwnego. Przez całe sześć lat seminarium nikt nie zapyta cię, czy w ogóle jesteś wierzący. Ważne jest tylko to, ile zysków przysporzysz korporacji. Nie musisz wierzyć w Boga, żeby być księdzem. Powiem więcej, w kapłaństwie wiara w Boga bardziej przeszkadza, niż pomaga. Masz wtedy tyle niepotrzebnych skrupułów! Ale spokojnie – seminarium skutecznie cię od nich uwolni.

Seminarium to uczelnia iście magiczna. Dokonują się tam cuda, o jakich nie śniliby uczniowie Hogwarty. Uczelnia ta potrafi bowiem wyprodukować żyjącego świętego, którego ludzie po rękach będą całować, który wzniesie się na wyżyny teologii, mistyki czy heroicznej dobroczynności – i który na rozgrzewkę przed mszą świętą bawić się będzie genitaliami ministranta.

Tak, seminarium to miejsce odsłaniające tę właściwość ludzkiej natury, o której ludzie woleliby nie wiedzieć. Nie odkrywam Ameryki, mówiąc, że człowiek potrafi pomieścić w sobie skrajne i wykluczające się przeciwieństwa. Ludzkość przerobiła już w bolesny sposób tę właściwość swojej natury, wystarczy wspomnieć historię samego tylko dwudziestego wieku. I jeżeli studiujący tę zadziwiającą moc

człowieka psycholodzy doszli do jakiegokolwiek pewnego wniosku wobec tak niepojętego i wstrętnego zarazem cudu, to będzie nim przestroga, żeby unikać tego, co budzi w nas potwora.

Seminarium nie tylko budzi potwora w człowieku. Ono go utrwała, ubiera w złote szaty, wypachnia i wieńczy mu skroń aureolą. A kto się nie podda, kto nie zechce tego swojego wewnętrznego potwora oddać na służbę Kościołowi, tego seminarium zniszczy, odrze z godności i zdrowia.

Popularna legenda miejska mówi, że nazwa góry Otorten na Uralu – pod którą zdarzyła się słynna i tajemnicza tragedia na przełęczy Diatłowa – w narzeczu tubylców oznacza „Nie idź tam”. I chociaż w przypadku tej góry nie jest to prawdą, w całej rozciągłości to właśnie znaczenie można przypisać słowu „seminarium”.

Wyższe Seminarium Duchowne. Nie idź tam.

Słowniczek niektórych pojęć seminaryjnych i kościelnych

Alumn – patrz: kleryk.

Animator – w Ruchu Światło–Życie członek, który odbył co najmniej rekolekcje drugiego stopnia i jest uprawniony do prowadzenia grupy uczestników na rekolekcjach organizowanych przez ruch.

Annus propaedeuticus – rok przysposób mieliśmy pożegnać siedrok seminarium duchownego.

Asysta – ogół kleryków lub ministrantów zaangażowanych w przeróżne funkcje liturgiczne w czasie szczególnie uroczystych mszy.

Biskup – duchowny, który otrzymał najwyższy stopień święceń, uprawniający między innymi do udzielania sakramentu bierzmowania i wszystkich stopni święceń, w tym wyświęcania innych biskupów, aczkolwiek tylko za zgodą i poleceniem papieża.

Biskup diecezjalny – biskup dowodzący diecezją, będący w niej najwyższą władzą.

Biskup pomocniczy – duchowny będący biskupem, niezarządzający własną diecezją, ale przypisany do pomocy innemu biskupowi.

Brewiarz – patrz: Liturgia godzin.

Caritas – kościelna organizacja charytatywna.

Ceremoniarz – kleryk odpowiedzialny za przygotowanie i przebieg uroczystości liturgicznych. Przygotowuje asystę, wyznacza role w liturgii poszczególnym jej uczestnikom, pod jego kierownictwem przeprowadzane są próby i ćwiczenia bardziej skomplikowanego przebiegu liturgii. W czasie samej uroczystości czuwa nad jej przebiegiem.

Cyborium – inaczej puszka, naczynie w kształcie dużego kielicha z pokrywką, wykonane z metalu i przynajmniej połączane, służące do przechowywania konsekrowanych hostii.

Czytanie duchowne – obowiązkowe codzienne czytanie Biblii przez piętnaście minut i literatury religijnej przez kolejne piętnaście minut. Także czas w programie dnia przeznaczony na tę praktykę.

Dekanat – podokręg administracyjny diecezji, złożony z kilku sąsiednich parafii.

Diakon – najniższy stopień święceń, włączający w szeregi duchowieństwa. Diakon ma prawo do udzielania niektórych sakramentów, na przykład chrztu, błogosławienia, przewodniczenia nabożeństwom, mówienia kazań, czytania Ewangelii w czasie mszy.

Diecezja – jednostka podziału administracyjnego Kościoła, mniej więcej odpowiednik świeckiego województwa. Na czele diecezji stoi biskup diecezjalny. Każdy duchowny przydzielony do jakiejś diecezji podlega całkowicie władzy biskupa diecezjalnego, nie może też zmienić samowolnie diecezji.

Duchowny – człowiek, który otrzymał przynajmniej najniższy stopień święceń, czyli diakonat.

Dyrektor administracyjny – w zakonach nazywany ekonomem, jeden z przełożonych seminarium odpowiedzialny za materialną stronę funkcjonowania uczelni, finanse i zaopatrzenie.

Dziekan – 1) kleryk piątego roku wybrany na przewodniczącego wszystkich kleryków, odpowiedzialny za wyznaczanie grafiku dyżurów na dany tydzień i kontakty z przełożonymi w sprawach dotyczących wszystkich kleryków; 2) jeden z proboszczów wyznaczany przez biskupa na przewodniczącego podokręgu diecezji, czyli dekanatu, odpowiedzialny za kontakty podległych sobie proboszczów z władzami diecezji.

Eucharystia – inaczej msza, czyli najważniejszy obrzęd religijny w Kościele katolickim, podczas którego uroczyście odczytuje się wyznaczone na dany dzień fragmenty Biblii, mówi się kazanie i dokonuje przemiany hostii w Jezusa Chrystusa, a następnie spożycia jej w trakcie komunii.

Ewangeliarz – księga liturgiczna, najczęściej w bogato zdobionej oprawie, zawierająca tekst czterech Ewangelii, używana w czasie uroczystych mszy do odczytywania z niej wyznaczonego na dany dzień fragmentu Ewangelii.

Filialny kościół – świątynia katolicka niebędąca siedzibą osobnej parafii, ale służąca parafianom mieszkającym w większej odległości od głównej świątyni parafialnej.

Furta – recepcja w seminarium lub kurii biskupiej.

Furtianin – kleryk albo świecki pracownik seminarium lub kurii obsługujący furtę. To furtianin otwiera drzwi i wpuszcza tych, którzy chcą wejść do budynku.

Homilia – forma kazania polegająca na objaśnieniu wiernym czytanych w danym dniu na mszy fragmentów Biblii. W praktyce często synonim kazania w ogóle.

Hostia – opłatek w kształcie koła, według wiary katolickiej po konsekrowaniu go w czasie mszy zmieniający się w rzeczywistość i literalnie obecnego w takiej postaci Jezusa Chrystusa.

Jutrznia – jedna z modlitw Liturgii godzin, przeznaczona do odmawiania rano, złożona z hymnu, trzech psalmów, pieśni Zachariasza z Ewangelii, krótkiego czytania i prośb.

Katedra – świątynia katolicka położona w stolicy diecezji, będąca siedzibą biskupa diecezjalnego.

Kierownik duchowy – ksiądz na stałe wybrany przez kleryka bądź wiernego świeckiego jako rodzaj mistrza duchowego, u którego najczęściej się on spowiada oraz z którym rozmawia o swoim życiu religijnym. Kierownik duchowy ma prowadzić kleryka bądź wiernego, doradzać w kwestiach pracy nad sobą, modlitwy, relacji z Bogiem itp.

Kleryk – inaczej alumn, uczeń seminarium do piątego roku włącznie, nieposiadający jeszcze święceń diakonatu.

Kompleta – modlitwa z Liturgii godzin, przeznaczona do odmawiania jako ostatnia modlitwa przed snem, złożona z hymnu, jednego psalmu, pieśni Symeona z Ewangelii, modlitwy końcowej i krótkiego wezwania do Maryi.

Konfesjonał – mebel w formie zamkniętej szafy z oddzielnymi miejscami dla księdza i dla wiernego służący do odbywania spowiedzi. Może występować w formie uproszczonej – klęcznika z kratką.

Konsekracja – 1) święcenia biskupie; 2) część mszy, w trakcie której według wiary katolickiej wskutek wypowiedzenia przez księdza nad winem i hostią słów Jezusa: „Bierzcie i jedzcie, to jest bowiem ciało moje” oraz „Bierzcie i pijcie z niego wszyscy, to jest bowiem kielich krwi mojej, która za was będzie wylana” – wino staje się krwią, a hostia ciałem Jezusa Chrystusa i tym samym Jezus Chrystus staje się fizycznie w takiej postaci obecny.

Kuria biskupia – centralny urząd administracyjny diecezji, złożony z duchownych i czasem także pracowników świeckich pomagających biskupowi diecezjalnemu w zarządzaniu diecezją. Do kurii biskupiej należy sąd biskupi, notariat, referat katechetyczny, referat sztuki i muzyki kościelnej i inne.

Liturgia – ogół obrzędów religijnych w Kościele katolickim.

Liturgia godzin – inaczej brewiarz, zespół siedmiu odmawianych w różnych porach dnia modlitw, innych na każdy dzień roku. Mogą one być odmawiane indywidualnie bądź w formie wspólnego nabożeństwa. Wszyscy duchowni są zobowiązani do ich odmawiania.

Moderator – 1) synonim przełożonego w seminarium; 2) w Ruchu Światło–Życie ksiądz prowadzący komórkę ruchu w danej parafii bądź wakacyjne rekolekcje.

Monstrancja – przeszklone naczynie na metalowej nóżce, często złoczone i zdobione, przeznaczone do tego, żeby umieścić w nim konsekrowaną hostię w celu modlenia się do niej.

Nabożeństwo – forma wspólnotowej modlitwy, w Kościele katolickim niebędąca mszą. Może to być nabożeństwo Słowa Bożego, w czasie którego czyta się różne fragmenty Biblii; nabożeństwo majowe, którego centralną częścią jest Litania do Maryi; nabożeństwo czerwcowe – podobnie, tylko że z Litaniami do Najświętszego Serca Pana Jezusa; nabożeństwo październikowe – w czasie którego odmawiany jest różaniec; nabożeństwo wystawienia Najświętszego Sakramentu – w czasie którego na ołtarzu w monstrancji stawia się konsekrowaną hostię i odmawia do niej różne modlitwy.

Neoprezbiter – w żargonie seminaryjnym zwany „neonem”, nowo wyświęcony prezbiter.

Nieszpory – modlitwa z Liturgii godzin, przeznaczona do odmawiania wieczorem, złożona z hymnu, trzech psalmów, pieśni Maryi z Ewangelii, krótkiego czytania i prośb.

Oaza – potoczny synonim Ruchu Światło–Życie.

Odpust parafialny – dzień w roku, w którym czci się świętego patrona danej parafii, a także odbywająca się z tej okazji uroczysta msza połączona z wystawną ucztą dla księży z całej okolicy.

Ojciec duchowny – przełożony w seminarium odpowiadający za pobożność, życie religijne, modlitwę i rozwój relacji z Bogiem u kleryków.

Patena – naczynie liturgiczne w kształcie niewielkiego metalowego talerzyka bądź płaskiej miseczki. W nim w czasie mszy znajdują się hostie przeznaczone do konsekracji.

Portator – kleryk pełniący dyżur przy podawaniu kolegom posiłków do stołu i odpowiedzialny za sprzątanie stołów i refektarza.

Prałat – wysoki tytuł honorowy, forma odznaczenia duchownego za zasługi, wiążąca się z przywilejem noszenia odpowiednio ozdobionej sutanny.

Prefekt – jeden z przełożonych seminarium, odpowiedzialny za dyscyplinę i opiekujący się którymś z roczników kleryckich.

Prezbiter – drugi stopień święceń, wyższy od diakona, niższy od biskupa. Prezbiter ma prawo odprawiania mszy i sprawowania większości sakramentów, nie może jedynie wyświęcać innych duchownych ani – poza rzadkimi wypadkami – udzielać bierzmowania.

Przechadzka – w zakonach zwana rekreacją, czas po obiedzie, kiedy klerykom wolno wyjść z budynku seminarium na miasto.

Puszka – patrz: cyborium.

Rada Kapłańska – forma diecezjalnego sejmiku duchownych, mająca jedynie symboliczną funkcję doradczą dla biskupa diecezjalnego.

Rada Moderatorów – odbywające się cyklicznie zebranie przełożonych seminarium, w trakcie którego poprzez głosowanie decydują oni, czy

danego kleryka dopuścić do kolejnego etapu nauki w seminarium.

Refektarz – jadalnia w seminarium.

Rekolekcje – trwający kilka dni cykl intensywnych modlitw, nauk oraz kazań, służący pobudzeniu życia religijnego w parafii lub w seminarium, odbywany przed najważniejszymi świętami bądź uroczystościami udzielenia święceń.

Rektor – najwyższy przełożony i zwierzchnik pozostałych przełożonych w seminarium.

Rezydent – ksiądz przydzielony do danej parafii w celu zamieszkiwania w niej, ewentualnej pomocy proboszczowi lub wikaremu, pełniący jednak przede wszystkim funkcję wykładowcy w seminarium lub urzędnika kurii biskupiej.

Rozmyślanie – forma medytacji nad Biblią lub tekstami religijnymi polegająca na rozważaniu danego tekstu, modlitwie, podjęciu postanowień na dany dzień itd., odbywająca się co rano w seminarium.

Ruch Światło–Życie – założona przez ks. Franciszka Blachnickiego organizacja wewnątrzkościelna przygotowująca dla młodzieży i rodzin drogę kilkustopniowej formacji poprzez rekolekcje, spotkania biblijne, wspólną modlitwę itp.

Sacelan – kleryk odpowiedzialny za obsługę zakrystii w seminarium.

Senior – kleryk wybierany przez kolegów na przewodniczącego roku.

Silentium sacrum – czas świętej ciszy, trwający od początku czytania duchownego do rozpoczęcia mszy lub Jutrzni następnego dnia rano. W czasie tym zakazane jest rozmawianie i w ogóle odzywanie się do siebie, słuchanie muzyki itd.

Silentium studiorum – czas ciszy w różnych porach dnia przeznaczonych na naukę. Zakazane jest rozmawianie oraz słuchanie muzyki.

Socjusz – kleryk współlokator w jednym pokoju w seminarium.

Spowiednik – ksiądz, u którego kleryk lub wierny stale się spowiada; może być kierownikiem duchowym, ale nie musi.

Tabernakulum – ozdobna szafka w kościele, w której zamykane są cyboria z konsekrowanymi hostiami.

Wikary – ksiądz zastępca i pomocnik proboszcza parafii.

WSD – Wyższe Seminarium Duchowne.

Zakrystia – pomieszczenie przy kościele lub kaplicy, gdzie przechowuje się sprzęty i szaty liturgiczne, przygotowuje potrzebne do obrzędów przedmioty i gdzie duchowni wraz z asystą przygotowują się do obrzędu religijnego.

Spis treści:

Karta tytułowa

Przedmowa | Artur Nowak

Czego oni ich uczą w tych seminariach?

Kto idzie do seminarium

Dlaczego poszedłem do seminarium

Kim są przełożeni

Plan dnia

Funkcje i dyżury

Rok pierwszy

Rok drugi

Rok trzeci

Rok czwarty

Rok piąty

Rok szósty

Jak się wyrzuca kleryka

Homoseksualizm w seminarium

Wilk, który mnie wywiódł z seminarium, z domu niewoli

No więc czego oni uczą?

Słowniczek niektórych pojęć seminaryjnych i kościelnych

Karta redakcyjna

Robert Samborski
Sakrament obłudy. Wspomnienia z seminarium
Warszawa 2021

Copyright © by Robert Samborski, 2021
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2021

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67075-03-9

Przedmowa: Artur Nowak

Redakcja: Halina Zalewska

Korekta: Aleksandra Czyż | tessera.org.pl

Opieka redakcyjna: Jaś Kapela

Projekt graficzny makiety: Marcin Hernas | tessera.org.pl

Zdjęcia w książce oraz zdjęcie autora: Jakub Szafrński

Zdjęcia na okładce: z archiwum autora

Przygotowanie zdjęć do druku: Basia Budniak



Wydawnictwo Krytyki Politycznej

ul. Jasna 10, lok. 3

00-013 Warszawa

redakcja@krytykapolityczna.pl

www.krytykapolityczna.pl

Książki Wydawnictwa Krytyki Politycznej dostępne są w redakcji Krytyki Politycznej (ul. Jasna 10, lok. 3, Warszawa), Świetlicy KP w Trójmieście (Nowe

Ogrody 35, Gdańsk), Świetlicy KP w Cieszynie (al. Jana Łyska 3) oraz księgarni internetowej KP (wydawnictwo.krytykapolityczna.pl), a także w dobrych księgarniach na terenie całej Polski.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek